

ZESZYT STO SIEDEMNASTY

**ZESZYTY
HISTORYCZNE**

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1996

ZESZYT STO SIEDEMNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1996

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 495

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0163-0

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

ROZMOWA Z INŻ. ZDZISŁAWEM JULIANEM STAROSTECKIM*

W grudniu 1995 roku, 51 lat po zakończeniu walk pod Monte Cassino, mieszkając w zaśniewionym stanie Delaware dowiedziałam się, że w Sarasocie na Florydzie mieszka były żołnierz, uczestnik tych walk. Temat Monte Cassino był mi bliski od dawna, kiedyś poświęciłam mu rozdział w swojej książce „Na tropach Wańkowicza” (Warszawa 1989). W moim posiadaniu jest archiwum Melchiora Wańkowicza z relacjami nadsyłanymi jako uzupełnienia do dawno powstałej książki. Ciekawa byłam losów wojennych i powojennych obecnego mieszkańca Florydy, i postanowiłam zatelefonować.

Rozmowa niemal od początku zdumiała mnie, bo zaczynałam się dowiadywać rzeczy dla mnie nieznanych, nowych... więcej: rzeczy przykrych. I tak zaczęła się moja swoista przygoda z tematem, który zmobilizował mnie do pisania.

Rozmówca mój miał niezwykle życiorys: wybitne dokonania i w czasie wojny jako żołnierz, i po wojnie, w cywilu. Był przy tym skromny, powściągliwy, z pewnym trudem wydobywałam z niego wiadomości. Z wielu przyczyn miał powody by być pełnym goryczy, ale nie gorycz przeważała

* Żołnierz II Korpusu, uczestnik walk pod Monte Cassino, potem konstruktor głowicy rakiety „Patriot”.

gdy mówił o sprawach przeszłych, o nadużyciu, które powstało, kłamstwie, które się rozpowszechniło i utrwalone zostało w popularnej książce znakomitego reportażysty. A także o przedziwnym ignorowaniu całej sprawy przez dowództwo jego pułku i utrzymywaniu jej w tajemnicy w czasie wojny, jak też po jej zakończeniu.



ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM: – *Jak trafił Pan do 2 Korpusu generała Andersa?*

JULIAN STAROSTECKI: – Gdy Niemcy napadli na Polskę los sprawił, że dane mi było jako ochotnikowi walczyć pod dowództwem generała Kleeberga pod Kockiem. Po klęsce próbowałem najpierw przez Słowację, a później przez Węgry przedostać się do Francji. Dwukrotnie uciekałem po zatrzymaniu przez patrole NKWD. Za trzecim razem nie udało się – z wyrokiem 8 lat wylądowałem w Gułagu. Za próbę ucieczki dołożono mi 2 lata. Zostałem skierowany do obozu karnego w Komi, a stamtąd do podbiegunowej kopalni złota na Kołymie. Dopiero w końcu 1941 roku, w konsekwencji podpisania układu Sikorski-Majski mogłem znowu zobaczyć polski mundur. Po zwolnieniu z sowieckich łagrów byłem jednym z pierwszych ochotników w batalionie pancernym w Tockoje przy 6-tej dywizji piechoty generała Michała Karasiewicza-Tokarzewskiego. W listopadzie 1941 roku raport przyjmował tam Antoni Dzieciołowski, zawodowy oficer wojsk pancernych, wciąż w łagiernych łachmanach. Było nas z początku kilkunastu, wynędzniałych niedawnych więźniów Gułagu. Wraz z bratem mego dowódcy, Kubą Dzieciołowskim, byłem autorem słów naszego pułkowego marsza „Gdy grają motory” do muzyki kolegi Władka Gryksztasa. Marsz ten stał się oficjalnym hymnem broni pancernej – wpierw Brygady a potem 2-giej Warszawskiej Dywizji Pancernej.

A.Z.-B.: – *Jest Pan byłym żołnierzem walki o Monte Cassino. W czasie gdy leżał Pan ranny w szpitalu,*

dowódca plutonu, ppor. Jan Kochanowski (był Pan jego zastępcą w czołgu dowodzenia) opowiedział Melchiorowi Wańkowiczowi, który zbierał relacje żołnierzy pisząc swoją książkę, nieprawdziwy przebieg wypadków. W trzytomowej „Bitwie o Monte Cassino” jest więc podana nieprawdziwa historia. Proszę opowiedzieć jak naprawdę przebiegały te wydarzenia.

J.S.: – 15 maja 1944 roku, po krótkiej przerwie w akcji, 3-ci pluton 3-go szwadronu 4-go pułku pancernego „Skorpion”, otrzymał zadanie zajęcia Widma, dominującego punktu na prawej flance obrony klasztoru, zdobytego przez 5-tą Dywizję Kresową Dzieci Lwowskich w pierwszym natarciu i ponownie zajęтым przez nieprzyjaciela. Następnego dnia o 6-ej rano rozpoczęliśmy natarcie rozbiciem kamiennego muru w dolinie Maiola, uniemożliwiającego wejście czołgom na jedyną ścieżkę prowadzącą serpentyną do szczytu. Naszym zadaniem było opanowanie Widma i zniszczenie punktów oporu nieprzyjaciela na Mas Albaneta, Dużym i Małym San Angelo, oraz rozbicie bunkrów na tzw. Balkonie.

Plutonem dowodził ppor. Jan Kochanowski. Byłem jego zastępcą. Pięliśmy się wolno po stromym zboczu, gdy po stracie większości rannych saperów, utknęliśmy na serpentynie w oczekiwaniu na uzupełnienie. Mijały godziny. W międzyczasie Jan Kochanowski słał raporty przedstawiające naszą sytuację jako tragiczną i bez wyjścia, i żądał zgody na wycofanie plutonu z akcji. Jego raporty działały depresyjnie na żołnierzy, którzy też niecierpili się przedłużającym się postojem. Tymczasem dowódca był bezradny. Na jego kolejny raport o wycofaniu zareagowałem uwagą, że żądanie odwrotu jest nieuzasadnione i wręcz niewykonalne. Że zamiast tkwić pod coraz bardziej wzmagającym się ogniem, trzeba raczej szukać przejścia na skłon po lewej, gdzie przypuszczalnie nie będzie min. Wskoczyłem więc na ścieżkę i po kilku minutach szczęśliwie znalazłem po lewej wyłom w skałach. Kiedy wróciłem z tą wiadomością, usłyszałem ponowny raport mego dowódcy o beznadziejnej sytuacji i decyzji odwrotu. Kiedy w pewnym momencie przyszła wiadomość, że na Widmo idzie natarcie górskich grenadierów,

ppor. Kochanowski zareagował histerią i gwałtownie zaczął wydawać rozkaz do wycofywania się. Na cofanie się nie było jednak ani czasu, ani także możliwości przy dużej pochyłości terenu i bliskiej przepaści. Zdecydowałem się więc wziąć decyzję w swoje ręce bo nie widziałem innego wyjścia. Przede wszystkim byłem pewny, że próba odwrotu skończyłaby się tragicznie. Kiedy chciałem anulować rozkaz wycofania, wyrwał mi mikrofon z rąk. Chcąc odebrać mikrofon, uderzył mnie w głowę. Odpowiedziałem ciosem w szczękę i mój dowódca osunął się na dno czołgu. Przejąłem natychmiast dowództwo wydając rozkaz marszu za mną. Szczęśliwie przedostaliśmy się przez znaleziony przeze mnie wcześniej wyłom. Podchodząc do szczytu zaskoczyliśmy Niemców zajmujących już pozycje na Widmie. Nie spodziewali się widocznie czołgów, bo słychać było tylko ich broń maszynową. Po wymianie ognia wielu z nich rozbroiliśmy i zabraliśmy do niewoli. W momencie gdy doprowadzałem dwunastu jeńców do czołgów, podmuch przypadkowo odpalonego działła rzucił mnie na ziemię. Jeńcy pokazywali mi fotografie swych żon i dzieci. U kapitana znalazłem odznaczenie za wojnę w Polsce. W centrum Żelaznego Krzyża wygrawerowany rok 1939, w baretkę wkomponowana polska flaga. Krzyż schowałem do kieszeni i mam go do dzisiaj w swojej kolekcji.

Zneutralizowaliśmy artylerią opór na Mas Albaneta. Burzyliśmy bunkry na Dużym i Małym San Angelo. Pod wieczór, nie chcąc narażać bezpieczeństwa plutonu, odesłałem jeńców do doliny Maiola pod dowództwem ich własnego kapitana. Dowiedziałem się później, że nie doszli – uciekli po drodze. Brałem to pod uwagę, ale nie miałem innego wyboru. Po prostu wsiąkli w księżycowy pejzaż Widma pokryty zburzonymi bunkrami. Może nawet któryś z nich przyczynił się później do śmierci por. Sommera, który szedł do nas z plutonem na osłonę czołgów... Zostali ostrzelani ze stoku Mas Albanety i porucznik Sommer po dojściu na szczyt chciał mi wskazać cel, aby go zniszczyć o świcie. Idąc z nim na bliskie rozpoznanie zawróciłem do czołgu po Kochanowskiego. Żał mi się go zrobiło, że tak fatalnie się zachował i siedzi teraz na podłodze od późnego rana. Razem kończyliśmy szkołę podchorążych i choć się z nim nie przy-

jaźniłem, był moim kolegą... Chciałem, żeby rozprostował sobie nogi. Chętnie wyskoczył z czołgu i w milczeniu szedł za nami. Ukrył się jednak przed zasiekami. Wkrótce po ich przekroczeniu zginął obok mnie idący porucznik Sommer. Shermany przez noc pozostawały na szczycie pod osłoną plutonu swego poległego dowódcy.

Czekaliśmy długo na amunicję, która doszła już po moim znalezieniu się w szpitalu następnego dnia. Zostałem ranny podczas powrotu z wywróconego czołgu do reszty plutonu na szczycie Widma. Po moim odejściu do szpitala ppor. Kochanowski odzyskał dowodzenie, a rano następnego dnia – 18-go maja – padło Monte Cassino. 4-ty pułk został wycofany z akcji odchodząc na wschodnie wybrzeże na odpoczynek, ja natomiast znalazłem się w przyfrontowym szpitalu w Venafrò. Potem zostałem przeniesiony do 2-go polskiego szpitala wojennego w Campobasso.

A.Z.-B.: – Wspomina Pan jeńców niemieckich, którzy uciekli nie dotarwszy do doliny Maiola. Ma Pan jednak z tej samej bitwy inny, niezwykle interesujący przykład dotyczący zachowania niemieckiego żołnierza.

J.S.: – Tak, rzeczywiście byłem świadkiem niezwykłego wydarzenia. W początkach wspomnianej wyżej bitwy, w czasie której straciliśmy saperów, gdy po bardzo bliskim wybuchu spojrzałem przez peryskop, ujrzałem na ścieżce przed nami leżących dwóch rannych saperów. Wyskoczyłem natychmiast z podręczną apteczką, ale widząc poważną ranę brzucha jednego z nich, poczułem się bezradny ze swoimi kilkoma bandażami. Ranny był półprzytomny. Kiedy uniosłem głowę, spostrzegłem w skałach ponad nami wynoszony szybkimi ruchami znak Czerwonego Krzyża. Obok ukazał się hełm niemieckiego żołnierza. Przywołujący ruch mojej ręki skłonił go do zejścia i wkrótce opatrywaliśmy wspólnie rannych. Niemiec miał doskonale wyposażony zasobnik i rutynę wyszkolonego sanitariusza. Kiedy założyliśmy rannym opatrunki zamknął swoją walizkę i bez słowa się oddalił. Oszołomiony tym niezwykłym wydarzeniem zdążyłem krzyknąć za nim *danke* zanim zniknął na skalnym rumowisku. Nie oglą-

dając się, uniósł rękę w odpowiedzi. Był pierwszym żołnierzem Wehrmachtu spotkanym przeze mnie na polu walki od października 1939 roku, bitwy pod Kockiem. Jego ludzki odruch był dla mnie zaskoczeniem.

A.Z.-B.: – *W jakich okolicznościach dowiedział się Pan, że podporucznik Kochanowski za Pana akcję (a swoje tchórzostwo) dostał odznaczenie?*

J.S.: – Po miesiącu pobytu w szpitalu powróciłem do pułku. Mając rękę na temblaku byłem zwolniony z zajęć, ale nie chcąc być bezczynnym zgłosiłem się do pomocy w kancelarii dowództwa. Przeglądając kartoteki natrafiłem na teczkę Jana Kochanowskiego i znalazłem w niej wniosek o odznaczenie go krzyżem Orderu *Virtuti Militari*. Zaszokowany odkryciem i treścią uzasadnienia, zareagowałem głośnym protestem.

Podbiegł do mnie adiutant i w krótkim czasie znalazłem się przy raporcie u dowódcy pułku. Stanisław Gliński po wysłuchaniu zażądał ode mnie pisemnego raportu z przebiegu natarcia. Wydał też polecenie wstrzymania wniosku o odznaczenie dla Kochanowskiego. Odkrycie fałszerstwa wstrząsnęło dowództwem. Sprawa okazała się poważna, bo wniosek został już podpisany przez dowódcę szwadronu i dowódcę pułku. Kiedy zameldowałem, że złożę raport do prokuratury, dowódca szwadronu Antoni Dzieciołowski przyjął mnie szorstko. – Skoro też zostałem postawiony do odznaczenia krzyżem Orderu *Virtuti Militari* (o czym nie wiedziałem) powinno mi to wystarczyć, powiedział. Odpowiedziałem, że żądam formalnego dochodzenia i unieważnienia sfałszowanego raportu Kochanowskiego. Następnego dnia zgłosił się do mnie Tadeusz Trejdosiewicz, zastępca dowódcy szwadronu, rezerwista, prawnik z zawodu, szczery, otwarty, lubiany w szwadronie oficer. Tłumaczył mi, że sprawy nie wygram, powiedział też, że wniosek o odznaczenie Kochanowskiego został na żądanie dowódcy wycofany. Powiedział, że prywatnie radzi mi nie wszczynać sprawy odwoływania się do prokuratury, bo w jej wyniku przeniosą mnie do innego oddziału, a dowódca pułku i szwadronu mogą też ucierpieć.

Byłem częścią pancernej legendy i nie chciałem się z pułkiem rozstawać. Sugestie – bo przypuszczałem, że Trejdosiewicz nie występował z własnej inicjatywy – przyjąłem i do końca wojny incydent zachowałem w tajemnicy.

A.Z.-B.: – *Jakie były dalsze losy Jana Kochanowskiego?*

J.S.: – Wkrótce na wybrzeżu adriatyckim pułk ponownie wszedł do akcji. 5-go lipca w natarciu na Villa Nouva zostałem ponownie ranny. W początkach sierpnia wróciłem ze szpitala do pułku i ku memu zaskoczeniu, zastałem Kochanowskiego paradującego z baretką Orderu *Virtuti Militari* na piersiach. Dowiedziałem się, że wizytujący 2-gi Korpus generał Sosnkowski w czasie mojej nieobecności osobiście odznaczał żołnierzy za męstwo na polu walki i że jednym z nich był Kochanowski. Odwołanie jego wniosku okazało się spóźnione, a wycofanie ze Sztabu Armii w Londynie widocznie zbyt skomplikowane. W proteście – nie nosiłem swego odznaczenia. W międzyczasie, pomimo ujawnionego przestępstwa, Kochanowskiemu przywrócono dowodzenie plutonem. Wkrótce pułk wszedł do akcji na wybrzeżu adriatyckim. Pod Filotrano mieliśmy przed sobą niemieckie czołgi MK4, znane z doskonałych działań z łatwością penetrujących pancerz Shermanów. Z dużym niepokojem oczekiwaliśmy natarcia. Zanim akcja w pełni się rozwinęła, Kochanowski wydał załodze rozkaz opuszczenia czołgu, meldując, że został trafiony pociskiem przeciwpancernym i że jego czołg się pali.

Następnego dnia – ku zdziwieniu wszystkich – kierowca 5 Dyw. Piechoty przyprowadził nietknięty czołg Kochanowskiego do pułku. Okazało się, że to spaliny silnika wypełniły wnętrze, co czasami się zdarzało naszym „dieslom”. Sprawę niekompetencji i tchórzostwa Kochanowskiego znowu wyciszono.

Krótko potem, w czasie przerwy w działaniach i odpoczynku pułku w Potenza Picena, Kochanowski wziął którejś niedzieli – bez zezwolenia i rozkazu wyjazdu – motocykl i w drodze do swej sympatii w Ankonie, zderzył się na moście

„Bayley’a” z ciężarówką. Rezultatem była amputacja nogi. Po kilku miesiącach wrócił jednak do pułku z protezą i pomimo swoich niechlubnych wyczynów, został w listopadzie awansowany do stopnia pełnego porucznika – przed wszystkimi absolwentami szkoły podchorążych, z którymi ją ukończył w Iraku.

Po wojnie wyjaśniło się wiele sytuacji związanych z zachowaniem się Kochanowskiego. Dowiedziałem się od spotkanego przyjaciela mego ojca, przydzielonego do Sztabu, że matka Kochanowskiego, pani Ruca – mąż jej zginął w Katyniu – pracowała w Sztabie Głównym Armii w Londynie, w „Rubensie” – od hotelu tej nazwy zwanym, w którym mieściło się dowództwo – że p. Ruca przyjaźniła się tam z generałem Dworakiem, że personalne dyspozycje odnośnie osoby Kochanowskiego przychodziły do Korpusu bezpośrednio z Londynu.

A.Z.-B.: – *Czy dopiero po lekturze „Bitwy o Monte Cassino” dowiedział się Pan, że – jak Pan to nazywa – „incydent” został uwieczniony nieprawdziwie w książce, że Kochanowski był w kontakcie z pisarzem i opowiedział mu, że był ranny i stracił nogę w akcji, co też Wańkowicz zarejestrował w książce? Czy miał Pan okazję rozmowy z Wańkowiczem na ten temat i kiedy?*

J.S.: – Do końca roku 1946-go nie wiedziałem, że po bitwie montecassińskiej Kochanowski podczas mojego pobytu w szpitalu oprowadzał Wańkowicza po Widmie. Dowiedziałem się o tym dopiero w Szkocji, dokąd zostałem ewakuowany 19 kwietnia z Włoch, ranny w ofensywie na Bolonię. W szpitalu, w nowo wydanej książce „Monte Cassino” znalazłem opis natarcia na Widmo w relacji Kochanowskiego, który wprowadził mnie w osłupienie: niemalże cały jego przekaz podany pisarzowi opublikowany w tomie drugim (dokładnie od strony 277 do 298) i tomie trzecim (strony 14 do 16) był fałszywy. Wykorzystał rozmowę z pisarzem do przedstawienia siebie w roli bohaterskiego dowódcy. Po latach, te wydarzenia powtórzył Wańkowicz w filmie o Monte Cassino w reżyserii Passendorfera.

A.Z.-B.: – *Szkoda że nie przekazał Pan pisarzowi swojej prawdziwej relacji na piśmie. Czy miał Pan taką okazję?*

J.S.: – Pisemnej relacji nie przekazałem gdyż mnie o to nie prosił, ale miałem okazję opowiedzieć mu o prawdziwym przebiegu wydarzeń. W 1957 roku złożyłem wizytę Wańkowiczowi w Glen Cove na 4 Arbor Place na Long Island. Moje uwagi o odkrytych w jego książce kłamliwych relacjach przyjął z ubolewaniem i bez kwestionowania. Żałował, że zbierając materiał nie skontaktował się ze mną w szpitalu w Campobasso. Tym bardziej byłem zdziwiony gdy niedawno otrzymałem film, w którym powtórzył fałszywą wersję zdobycia Widma.

W czasie rozmowy, kiedy dowiedział się o moim udziale w ostatniej bitwie wojny 1939 roku pod Kockiem, podarował mi książkę „Wrzesień żagwiący” z dedykacją.

A.Z.-B.: – *Po wojnie próbował Pan wyjaśnić i naświetlić całą sprawę w Kole Pułkowym. Z jaką relacją się Pan spotkał?*

J.S.: – Byłem ranny jeszcze dwukrotnie: pod Ankoną oraz pod Bolonią. Po opuszczeniu szpitala w Szkocji w 1947 roku pojechałem do Londynu. Powstało tam Koło Pułkowe mające po demobilizacji kontynuować pancerne tradycje pułku. Postanowiłem ówczesnemu prezesowi ujawnić fałszerstwa i oszustwa Kochanowskiego z nadzieją, że moja inicjatywa w zdobyciu Widma zostanie wprowadzona do historii pułku. Kiedy kilkanaście lat później w publikacji Koła „Skorpion” ukazał się nekrolog Kochanowskiego wymieniający jego fałszywe zasługi i odznaczenia, wysłałem do Zarządu Koła protest z raportem z przebiegu natarcia i wskazywałem w nim na konieczność sprostowania zarejestrowanej na moją niekorzyść akcji. Odpowiedzi jednak nie otrzymałem. Ponowny raport na ręce wiceprezesa pozostał również do dnia dzisiejszego bez odpowiedzi.

A.Z.-B.: – *Po wojnie przebywał Pan kilka lat w Anglii. Dlaczego wybrał Pan Stany Zjednoczone jako miejsce emigracji?*

J.S.: – W 1947 roku po zwolnieniu z wojska podjąłem studia w Wyższej Szkole Handlu Zagranicznego w Londynie. Z czasem narastało we mnie jednak przekonanie, że w Anglii jest „za ciasno”. Dlatego wraz z rodziną, z żoną Ireną i synami: Ryszardem i Andrzejem znalazłem się w Stanach Zjednoczonych. Był rok 1952.

A.Z.-B.: – *Jakie były Pana początki w tym kraju?*

J.S.: – Trudne! Zdobyta w Anglii specjalność nie dawała nadziei na przyszłość, znalazłem się więc w fabryce. Jako mechanik mogłem zarobić trzykrotnie więcej aniżeli w biurze. Po roku rozpocząłem wieczorowe studia inżynierskie na politechnice w Hoboken. Po ich ukończeniu przez wiele lat pracowałem w Centrum Badań Tomasza Edisona w Orange w stanie New Jersey. Tam zacząłem się interesować problematyką, która zaowocowała konstrukcją głowicy „Patriot”. W 1965 roku, gdy dowiedziałem się, że Centrum Badań i Projektów Departamentu Stanu poszukuje pracowników, zgłosiłem swoją kandydaturę. Po wielu rozmowach i ostrej selekcji otrzymałem pracę w ośrodku, w którym do niedawna powstawały projekty najnowszych broni amerykańskiej armii. Dopiero jednak po kilku latach pracy mogłem przekroczyć bramy najbardziej tajnych sektorów. Było to wielkie wyróżnienie i odtąd cieszyłem się tam dużym zaufaniem.

A.Z.-B.: – *Jest Pan konstruktorem głowicy rakiety „Patriot” – broni, którą prezydent George Bush wykorzystał w wojnie z Irakiem. Proszę przybliżyć tę sprawę.*

J.S.: – Nie w pełnym tego słowa znaczeniu wyłącznym konstruktorem, bowiem ogólnie koncepcja systemu powstała w firmie „Raytheon”. Głowica jednak była w gestii Departamentu Obrony. Jako kierownik projektu nadzorowałem z

ramienia Centrum Badań Departamentu Obrony dokumentację oraz konstrukcję głowicy „Patriot” i jej komponentów (nazwa jest kryptonimem pochodzącym od technicznych założeń systemu *Phased-Array-Tracking-to-Intercept-of-Targets*). Pracował nad tym inżynierski zespół wysokiej klasy specjalistów. Moim zadaniem było stworzenie głowicy oraz odbiorczego urządzenia radarowego opartego na nowych założeniach technicznych. Zadaniem tych elementów jest interpretacja sygnałów odbitych od celu, oraz przekazanie impulsu do zapalnika. Pracowałem również nad samym zapalnikiem oraz systemem kodująco-dekodującym impulsy. Ponieważ sowieckie SCUD-y użyte przez Irak w Wojnie Pustynnej miały powłokę tytanową, chroniącą system naprowadzający, musieliśmy zastosować bardzo silną kompozycję wybuchową. Jej eksplozja powoduje wyrzucenie 21.500 szrapneli, które rażą cel. W historii wojen po raz pierwszy użyto rakiety typu taktycznego, które potrafiły zestrzeliwać rakiety balistyczne. „Patriot” był ukoronowaniem mojej wieloletniej pracy. Po przejściu na emeryturę przez jakiś czas byłem konsultantem jednej z najbardziej znanych firm zbrojeniowych świata – koncernu Martin Marietta Aerospace Center w Orlando na Florydzie.

A.Z.-B.: – *Otrzymał Pan specjalne gratulacje z Kongresu USA.*

J.S.: – Podziękowania nadeszły także od dowództwa armii Stanów Zjednoczonych. Napisano między innymi, że zastosowanie „Patriota” uratowało życie wielu żołnierzy i cywilów. W rocznicę zwycięskiej wojny w Zatoce Perskiej otrzymałem list gratulacyjny od prezydenta.

A.Z.-B.: – *Prace nad konstrukcją taktycznej rakiety, czyli będącej prototypem dla nowej broni, w końcu lat 70-tych, czyli w początkowej fazie, zostały jednak przerwane. Jakie były kulisy tej decyzji?*

J.S.: – Rzeczywiście, zostały wstrzymane prace nad nową

bronią mającą stanowić główną obronę przed pociskami balistycznymi. Był nim system o kryptonimie SAM/D (*Surface-Air-Missile/in-Development*). Tym projektem rozpoczynałem w połowie lat 70-tych pracę w Laboratorium Głowic Dużego Kalibru – taka była oficjalna nazwa mojego biura. Dzisiaj wolno mi już mówić, że oficjalnie SAM/D był desygnowany jako broń do zwalczania wysoko latających samolotów, a jego dostosowywanie do działania przeciw-rakietowego było chronione wówczas podwójną tajemnicą. Nawet ta supertajność nie uchroniła jednak projektu SAM/D przed zainteresowaniem wywiadu sowieckiego i szpieg PeeReLu współpracujący z rosyjską „razwietką”, Marian Zacharski, otrzymał zadanie spenetrowania i tego systemu. (Na marginesie tej głośnej swego czasu afery szpiegowskiej wyjaśnię, że kilka lat później jego kolega po fachu, ppłk Zdzisław Przychodzień, wykradł w Kalifornii część dokumentacji mojego projektu głowicy rakiety „Patriot”)*.

* Marian Zacharski wykradł prawie kompletny zestaw technologii przeciwlotniczej rakiety „Hawk” oraz transkontynentalnej rakiety balistycznej „Minuteman”. Dokumentację taktyczną systemu „Patriot” nie wykradł on, tylko agent polskiego wywiadu o pseudonimie „Minister”, ppłk Zdzisław Przychodzień (przy współudziale Ruby Schiler, żony Jamesa Harpera, inżyniera firmy Systems Controls w Palo Alto w Kalifornii: James Harper jeździł do Warszawy, między innymi do firmy eksportowej „Unitra”, pod pretekstem negocjacji biznesowych, odbierając zamówienia szpiegowskie. Nawiazał wówczas kontakt z Przychodniem).

Wywiad PRL wykradł tajemnicę systemu „Patriot” już w czasie prac konstrukcyjnych. Kiedy dokumenty znalazły się w Warszawie, wezwano ekspertów z Moskwy celem potwierdzenia autentyczności zdobytego materiału. Sam Jurij Andropow, ówczesny szef KGB, dziękował polskiemu wywiadowi osiągniętego sukcesu. Dzięki meldunkowi obecnemu na uroczystości w MSW na Rakowieckiej Polakowi pracującemu także na rzecz wywiadu amerykańskiego, FBI w Stanach Zjednoczonych aresztowała Jamesa Harpera.

Harpera aresztowano z żoną, jak również jego dwóch przyjaciół podejrzanych o współdziałanie. Zdzisław Przychodzień ostrzeżony przez ambasadę polską w Waszyngtonie, przy jej pomocy, uciekł do Polski. Przez czas dłuższy był poszukiwany w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Proces trwał ponad rok. Rozprawę prowadzono w sądzie okręgowym w San Francisco. W czasie rozprawy, dla bezpieczeństwa, gdyż wykradziono tylko niewielką część dokumentacji „Patriot”, raketę nazywano systemem „X” i określano jako broń o nowej koncepcji

Wracam do SAM/D: projekt nasz przyniósł doskonałe wyniki. Po niecałych dwóch latach od zainicjowania badań, na jego rachunku znalazło się szereg bezpośrednich trafień, pomimo, że tzw. Efekt *hit-to-kill* nie był brany pod uwagę, gdyż cel niszczony był automatycznie eksplozją głowicy wyposażonej w szrapnele. Nowy typ radaru sprawdzał się wówczas nieomylnie w próbnym strzale na poligonie White Sands w stanie Nowy Meksyk. Tym większe było zaskoczenie, kiedy nagle wstrzymano prace nad dalszym rozwojem projektu oraz prób na poligonie, a dokumentację zamknięto w sejfach. Jako powód podano trudności budżetowe. Jakkolwiek dziwna wydawała się ta decyzja w okresie trwającej „zimnej wojny”, nikt nie kojarzył jej wówczas z podpisywanym w tym czasie traktatem Stanów Zjednoczonych z Rosją Sowiecką ograniczającym produkcję broni zwalczających pociski balistyczne (*ABM Treaty*).

Upłynąć musiało wiele lat aby można było poznać przyczynę tej niezrozumiałej wówczas decyzji. Sowieci, obawiając się przewagi Ameryki w tej broni, parli do traktatu, wyprowadzając w pole zachodnie dyplomację i wywiady. Kiedy blisko dwa lata później rozpoczynaliśmy nowy projekt o kryptonimie „Patriot”, którego pociskom w myśl zawartej umowy nie wolno było trafiać rakiet balistycznych, a pamiętając sukces SAM/D, wprowadziliśmy za cichym przyzwoleniem techniczne zdobycze SAM/D do nowego projektu.

Kierownictwo nad rozwojem głowicy nowej rakiety i

docelowania. W maju 1984 roku Harper został skazany na 30 lat więzienia. Ruby zmarła w czasie rozprawy, a przyjaciel Harpera z braku dowodów uniewinniono.

Zdzisław Julian Starostecki, jako ówczesny kierownik zespołu pracującego nad projektem głowicy „Patriot” oraz jej wielu komponentów w 1982 roku był przesłuchiwany przez FBI. Część wykradzionych rysunków dokumentacyjnych z Systems Controls Inc. posiadała jego podpis (wykradzono kilkanaście rysunków). Firma Systems Controls Inc. w Palo Alto w Kalifornii pracowała nad wykonaniem prototypu głowicy broni „Hawk” (mniej zaawansowanej niż późniejsza „Patriot”).

W okresie rządów premiera Tadeusza Mazowieckiego w warszawskim *Kurjerze Wieczornym* Zdzisław Starostecki przeczytał wiadomość, że MSW nadal szkoli terrorystów i kierownikiem akcji jest pułkownik Przychodzień. Napisał wówczas do premiera list informujący o działalności szpiegowskiej poszukiwanego w Stanach Zjednoczonych Przychodnia. Odpowiedzi jednak na swój list nie otrzymał.

szeregu jej komponentów objąłem dopiero w dwa lata po rozpoczęciu projektu.

A.Z.-B.: – *Pana praca obfitowała w interesujące wydarzenia. Kiedyś osobiście rozbrajał Pan głowicę „Patriot”...*

J.S.: – Któregoś piątkowego popołudnia będąc spóźniony z wyjściem z biura, kiedy personel po ukończeniu pracy opuścił już laboratorium, zadzwonił telefon. Na linii był generał Pentagonu z dowództwa projektów, zawiadamiając, że otrzymał wiadomość o zaistniałym problemie podczas statycznej próby elektronicznej ciągłości systemu rakiety „Patriot”, tzw. *continuity test* – sprawdzenie sprawności systemu elektronicznego przed zakwalifikowaniem rakiety do odpalenia. Obawiając się eksplozji zarządzano ewakuację całego rejonu i usunięto pozostałe rakiety. Ponieważ personel techniczny nie znał konstrukcji zapalnika i detonatora, oczekiwano rozbrojenia głowicy przez specjalistów Centrum Badań w New Jersey, gdzie pracowałem. Generał prosił o natychmiastowe wysłanie technicznej ekipy na poligon, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, że pracownicy mojego laboratorium rozjechali się już do domów. Kiedy mu oznajmiłem że zmobilizowanie ludzi w czasie *weekendu* nie będzie łatwe, zaczął mnie indagować czy znam na tyle system zapalnikowy żeby rozbroić głowicę. Odpowiedziałem twierdząco.

Kilka godzin później leciałem do El Paso odległego o 4 tysiące kilometrów, gdzie z lotniska do poligonu dzieliło mnie jeszcze 150 kilometrów drogi samochodem.

Operację rozbrojenia „Patriota” komplikował brak dojścia do głowicy ograniczonej długością kabli elektrycznych po otwarciu sekcji kadłuba rakiety, co zmuszało do wymontowania czułego zapalnika po omacku. Znając system usunąłem detonator, eliminując możliwość eksplozji. Cała operacja trwała kilka minut i tego samego dnia wróciłem do hotelu w El Paso zawiadamiając Pentagon o zlikwidowaniu problemu.

Przy okazji wspomnę, że swoją interwencję zaoszczędziłem Ministerstwu Obrony kilkaset tysięcy dolarów (każdy dzień przestoju kosztował 50 tysięcy dolarów). W jakiś czas

później będąc w Denver na Uniwersytecie Kolorado, z którym współpracowałem, opowiadano mi, jak to ktoś z Laboratorium Głowic rozbroił „Patriota”, dzięki czemu techniczny personel poligonu mógł wrócić do pracy i kontynuować przygotowania trzech rakiet do testów.

A.Z.-B.: – *Jak dalece można mówić o obecnej sytuacji w systemie opracowywania broni?*

J.S.: – Na podstawie informacji ogłoszonej w jednym ze specjalistycznych pism wiadomo jest, że Komisja Zakupów Armii DAB (*Defence Acquisition Board*) zatwierdziła po serii prób o doskonałych wynikach rakiety system o kryptonimie „ERINT” (*Extended-Range-Interceptor*). Jest to system taktyczno-balistyczny podobny do „Patriota” i oparty na jego zasadach z tą różnicą, że głowica niszczy cel nie szrapnelami, a bezpośrednio kontaktem, tzw. efektem *hit-to-kill*. Próby balistyczne przeprowadzone przez firmę „Loral Vought” zadecydowały o decyzji. Niedawny strzał (*firing*), na tym samym poligonie w Nowym Meksyku, na którym próbowano „Patriota”, zaangażował i zniszczył w orbicie okołoziemskiej pojemnik systemu przestrzennego *Orbital Sciences Storm*, składający się z 38 cylindrów wypełnionych wodą. Próba z podobnym wynikiem powtórzona została dwukrotnie. Ponieważ w systemie „ERINT” głowica jest mniejsza, pozwala to obniżyć wagę systemu i w konsekwencji zwiększyć jego zasięg w stosunku do zasięgu rakiety „Patriot”.

Ogłoszono, że jeśli sytuacja budżetowa na to pozwoli (co nie jest wykluczone po uzyskaniu większości w Kongresie przez Republikanów), jest szansa, że ulepszony „Patriot-3” o kryptonimie „PAC-#” produkowany będzie równolegle z „ERINT”em”. Jak wspominałem wcześniej, podane informacje nie są tajne.

A.Z.-B.: – *Po latach mieszkania w stanie New Jersey jest Pan obecnie rezydentem Sarasoty na Florydzie.*

J.S.: – Ciekaw jestem czy ktoś kiedykolwiek słyszał o

mieście popularnie zwanym „Perłą Florydy”? To właśnie Sarasota! Ta niezbyt duża miejscowość na zachodnim wybrzeżu półwyspu w pełni zasługuje na takie miano.

Należymy chyba do wyjątkowo szczęśliwych rodziców bo i nasi synowie też polubili Sarasotę. Młodszy, prawnik z wykształcenia, a do niedawna sędzia prawa administracyjnego przeniósł się z Nowego Jorku już dość dawno do Sarasoty i stał się tu... bankierem.

Starszy, inżynier atomistyki, do niedawna wice-minister (*deputy secretary*) w departamencie energetyki, odpowiedzialny za funkcjonowanie i bezpieczeństwo produkcji materiałów rozszczepialnych dla obrony Stanów Zjednoczonych, zrezygnował po kilku latach ze swego ministerialnego stanowiska i też przeniósł się do Sarasoty, otworzył tu biuro konsultacji dla centrów przemysłowych i badań atomowych wyżej wspomnianego przemysłu. Obydwu zachwycała Sarasota. A nas, rodziców, ich decyzja zamieszkania opodał.

Rozmawiała Aleksandra ZIÓŁKOWSKA-BOEHM

Tadeusz DUBICKI

PRÓBA UCIECZKI PŁK. JÓZEFA BECKA Z RUMUNII (20.10.1940) W ŚWIELE ARCHIWALIÓW RUMUŃSKICH

Podjęta 20 października 1940 r. przez płk. Józefa Becka ucieczka z miejsca internowania go w Dobroresti była kolejną, najbardziej zaawansowaną inicjatywą, mającą na celu wydobyć byłego ministra spraw zagranicznych R.P. z pułapki w jakiej się znalazł we wrześniu 1939 r. Towarzyszący mu podczas całego internowania w charakterze sekretarza Doman Rogoyski wyliczył pięć takich prób¹. Pozostałe cztery nie weszły jednak w stadium zaawansowanej realizacji i zostały zaniechane z różnych powodów, z których przeważającym był sprzeciw władz polskich. Dotyczyło to inicjatyw, w których swoje poparcie deklarowały: władze tureckie (listopad 1939 r.), władze amerykańskie (wiosna 1940 r.) oraz władze brytyjskie (lato 1940 i lato 1941 r.).

Veto władz polskich wobec zamiarów wydostania płk. Becka z Rumunii miało swoje źródło w obawie przed rolą, jaką mógłby on odegrać po znalezieniu się na wolności, konsolidując emigracyjne środowiska sanacyjne, a nawet stanowiąc pewną alternatywę polityczną wobec linii prezentowanej

1. D. Rogoyski, „Pięć inicjatyw wydobywania Józefa Becka z pułapki rumuńskiej”, *Zeszyty Historyczne*, Z. 76/1986, s. 33-57.

przez rząd gen. Władysława Sikorskiego. Na negatywne stanowisko wobec płk. Becka złożyły się też nadchodzące licznie z Bukaresztu wiadomości od osób z ekipy „kotowców”, w tym kierującego pracami Komisji Badawczej dr. Karola Alexandrowicza, a także Bronisława Kuśnierza (w Rumunii jako Tadeusz Janowski), Antoniego Koreywy, płk. Jana Kornausa (radca Dohnal). Informacje od nich, a także od Alfreda Ponińskiego, radcy, a następnie ministra pełnomocnego w Ambasadzie R.P. w Bukareszcie ukazywały Becka jako aktywnie działającego i organizującego tajne struktury (Organizacja Pracy Krajowej)². Trzeba przy tym pamiętać o wydaniu już we wrześniu 1939 r. przez gen. Sikorskiego dyspozycji mówiących o niewypuszczaniu z Rumunii byłych sanatorów – tak cywilnych jak i wojskowych. Odpowiadający za tę linię postępowania *attaché* wojskowy ppłk dypl. Tadeusz Zakrzewski, gdy w niewielkim tylko stopniu odstąpił od tej zasady, został surowo upomniany i zwrócono mu uwagę, iż do jego obowiązków należy „nie politykowanie a ścisłe wykonywanie obowiązków”³.

O tym, że szczególnie pilnowano wówczas płk. Becka świadczyła dyspozycja, jaką otrzymał ppłk Zakrzewski z Paryża, w której polecano mu nie cofnąć się nawet przed użyciem siły w razie podejmowania ucieczki przez Becka. Szukającemu potwierdzenia tej szokującej dyspozycji *attaché* odpowiadano później z Paryża, iż była to indywidualna dyspozycja płk. Aleksandra Kędziora (!) O stosunku do Becka świadczy też przytoczona przez Rogoyskiego wypowiedź inspektora policji bukareszteńskiej, według którego Beck mógł opuścić Rumunię w tym samym czasie co prezydent Mościcki (25 grudnia 1939 r.) – „ale cóż, wówczas to rząd polski usilnie naciskał na to, żeby Pana Ministra Becka nie wypuścić z Rumunii”⁴. Takie stanowisko wobec potencjalnych przeciwników politycznych obowiązywało do maja

2. T. Dubicki, S.J. Rostworowski, „Sanatorzy kontra Sikorszczycy czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939-1940”, Warszawa 1993, ss. 73-89.

3. T. Zakrzewski, „Po klęsce”, MiD WIH, sygn. V/21/17.

4. Instytut Józefa Piłsudskiego w Londynie (dalej: IJPL), Kol. 20 (Józefa Becka), t. 4.

1940 r., kiedy to w związku z narastającym napięciem międzynarodowym i bezpośrednim zagrożeniem Rumunii przez wkroczenie Niemców lub Sowietów, rząd gen. Sikorskiego wyraził zgodę, a nawet forsował plan wydostania polityków, w tym „sanatorów” z Rumunii. Zostało to zapowiedziane przez premiera 8 maja 1940 r. w trakcie obrad rządu. O wydobytcie płk. Becka upomniął się wówczas minister August Zaleski argumentując, że w każdej chwili mogą go Niemcy zagarnąć⁵. Dziś wiemy, że inicjatywa ta miała swoją ukrytą intencję, bowiem ostatecznie zamierzano sprowadzić te osoby do Algierii, gdzie – jak można domniemywać – spotkałby je los gen. Władysława Stachewicza, pozostającego tam w faktycznym internowaniu⁶.

Ostatecznie Paryż zdecydował, że ewakuacja winna mieć charakter obowiązku wojskowego, o czym depešował wice-minister spraw wojskowych gen. Marian Kukiel: „niżej wymienieni oficerowie mają być wezwani przez *attaché* wojskowego do udania się do Północnej Afryki Francuskiej (...). Niewykonanie rozkazu pociągnie za sobą dla wymienionych pełne konsekwencje dyscyplinarne i sądowe”⁷.

W wykazie zawierającym dwadzieścia nazwisk płk Józef Beck znajdował się na drugiej pozycji, za marszałkiem Śmigłym-Rydzem a przed gen. Kasprzyckim. Reakcja wezwanych tą drogą do wyjazdu (który miał „zorganizować” *attaché*) była zróżnicowana, jednak większość zignorowała wezwanie, widząc w tym zastawioną pułapkę.

Wybuch wojny niemiecko-francuskiej, a zwłaszcza coraz mniej pomyślne jej rezultaty sprawiły, że rząd polski stracił wówczas z pola widzenia tę sprawę i po ewakuacji do Londynu, w zamierzonej poprzednio postaci już jej nie podjął.

Na ten okres przypadła szczególnie nasiloną aktywność Becka na terenie Bukaresztu, do którego zjechał wraz z rodziną w maju 1940 r., deklarując ministrowi spraw zagranicznych Grigore Gafencu, że nie powróci już do „zhitle-ryzowanego” (liczna kolonia niemiecka) Braszowa, gdzie w

5. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego w Londynie (dalej IPMS), A. XII. 55/1.

6. T. Dubicki, S.J. Rostworowski, „Sanatorzy...”, s. 136.

7. IPMS, A.XII.55/43, dep. nr 2363, 22 maja 1940 r.

hotelu „Aro-Palace” mieszkał od października 1939 r. Ulokowano go wówczas w hotelu „Exelsior”, jednak po dymisji Gafencu, w czerwcu przeniesiony został do położonej około 40 km na południe od Bukaresztu wsi Dobroresti nad jeziorem Snagov, gdzie mieszkał w domu inż. Teodoride.

Wiele wskazuje na to, że w tym czasie płk Beck poważnie liczył na możliwości powrotu do czynnej działalności politycznej. Dowodem jest złożona 18 czerwca w brytyjskim Poselstwie na ręce Paula Hankeya deklaracja, w której w imieniu własnym i najbliższych współpracowników, oferował usługi. Że nie było to zawieszone w próżni świadczy fakt, że Brytyjczycy przez pewien czas rozważali nawet możliwość postawienia Becka na czele polskiego rządu⁸. Z relacji bezpośredniego świadka i uczestnika tych wydarzeń Domana Rogoyskiego wynika, że premier Churchill skłonny był zaangażować się w sprowadzenie Becka do Wielkiej Brytanii, ofiarując mu funkcję doradcy rządu brytyjskiego. O takim planie poinformował Rogoyskiego 24 czerwca Hankey, podkreślając, iż warunkiem niezbędnym winno być zobowiązanie się płk. Becka do powstrzymania się od krytyki rządu polskiego. Płk Beck odrzucił (!) tę propozycję, jako ograniczającą jego swobodę w wyrażaniu opinii. Deklarował możliwość takiego zachowania jedynie wobec osoby prezydenta R.P. Jak pisze Rogoyski: „Kompromis okazał się niemożliwy. Sprawa upadła”⁹. Zauważmy przy tym za Rogoyskim, że jakoś nikt wówczas nie spostrzegł, że doradca polityczny rządu brytyjskiego byłby wręcz zobowiązany do powstrzymywania się od wszelkich deklaracji, a zwłaszcza publicznej krytyki, tak rządu brytyjskiego jak i innych zaprzyjaźnionych rządów, w tym oczywiście polskiego, który przecież w zaproponowanej formule byłby dla Becka rządem obcym.

Wobec takiego rozwoju wydarzeń płk Józef Beck nadal przebywał jako internowany w Rumunii, choć w między-

8. A.M. Cienciąła, „Czy los ministra Becka był przesądzony? Działalność wrogów i przyjaciół”, cz. II (VII 1940 - VI 1944), *Niepodległość* t. XXIV (po wznowieniu), 1991, s. 23.

9. D. Rogoyski, „Pięć inicjatyw...”, s. 40.

czasie, na własną rękę, oczywiście nie bez pomocy osób „trzecich”, w tym przekupionych Rumunów – uciekał m.in. były premier gen. Sławoj-Składkowski, a także ministrowie Witold Grabowski i Juliusz Poniatowski. Również w związku z tym Beck był pilnowany coraz dokładniej i nawet dotkliwiej. Przejawiało się to w ograniczaniu możliwości utrzymywania kontaktu ze światem zewnętrznym. Według notatek Joanny Burhardtówny „Buby” – pasierbicy Józefa Becka, nadzór sprawowany w Dobroresti oznaczał praktycznie areszt domowy. Ograniczono do minimum spacer, *colonela* Becka pilnowało łącznie 20 żandarmów, specjalnie w tym celu sprowadzonych (w Snagov nie było posterunku) oraz 12 „tajniaków”. Nocą willi pilnowało stale 3 żandarmów i 2 agentów¹⁰. Na początku lipca 1940 r. polecono opuścić Dobroresti towarzyszącym byłemu ministrowi: Marianowi Wojtek-Malinowskiemu, Janowi Jur-Gorzechowskiemu, Borek-Boreckiemu i Władysławowi Dziadoszowi. Pozostali, a więc Rogoyski, Seweryn Sokołowski i Tadeusz Schaetzel oficjalnie mieszkali w hotelu „Exelsior” w Bukareszcie, mogli jednak towarzyszyć płk. Beckowi.

W lipcu miała miejsce kolejna (druga) próba wywiezienia płk. Becka do Curtea Arges, o czym w formie rozkazu (polecenia) zakomunikował mu dowodzący żandarmami porucznik, dając na przygotowanie 12 godzin. Opór Becka, który spotkał się już z taką próbą jeszcze we wrześniu 1939 r. w Slanic, gdzie przebywał cały rząd, oraz podjęte jednocześnie interwencje w Bukareszcie sprawiły, że uzyskano „odroczenie” – *pour quelque temps*). Nie przeszkodziło to ponowieniu tej próby już 28 lipca, z takim samym rezultatem. Zapis w tej sprawie pani Jadwigi Beckowej wiele mówi: „Zawsze się okazuje, że ministrowie o tym nic nie wiedzą, a robią to jakiegoś małe pieski”¹¹.

O wnikliwym nadzorze i ścisłej inwigilacji policyjnej, prowadzonej zresztą nie tylko wobec płk. Becka, ale całego jego otoczenia, świadczy notatka sygnowana przez General-

10. IJPL, kol. 46 (Domana Rogoyskiego), t.1, Kopie z notatek „Buby” i wyciągi z listów p. Jadwigi Beckowej.

11. *Ibidem*.

nego Dyrektora Policji, gen. Liteanu oraz Inspektora Policji Niky Stefanescu informująca, iż minister Beck posiada fałszywy paszport na nazwisko „Jan Pruszekusky” (prawdopodobnie Pruszkowski)¹². W podobne (z tego samego źródła) mieli być zaopatrzeni Sławoj-Składkowski i Poniatowski¹³.

Na jesieni 1940 r. wobec zmiany w Rumunii sytuacji politycznej, będącej konsekwencją faktycznego rozbioru państwa przez sąsiadów, rząd gen. Sikorskiego znów podjął starania w celu wydostania Becka z Rumunii. Było to tym bardziej pilne, że po ustąpieniu prozachodnio zorientowanego Karola II, do władzy doszedł gen. Ion Antonescu i „Żelazna Gwardia”, widzący swoją przyszłość w aliansie z III Rzeszą. Zagrożenie z tej strony było zresztą niemal namacalne. W Rumunii obecni byli już liczni „doradcy wojskowi”, w Bukareszcie funkcjonowała Misja Wojskowa gen. Hansena, oczekiwano szybkiego wkroczenia regularnych oddziałów niemieckich.

Plany wyewakuowania najbardziej zagrożonych obejmowały przede wszystkim płk. Becka i marszałka Śmigłego-Rydza, przy czym pierwszym etapem ich pobytu miał być Cypr, natomiast co do dalszych losów brak było decyzji. Przebieg przygotowań, jak i sama ucieczka były już przedstawiane, najpełniej dokonał tego Doman Rogoyski w przywoływanej już publikacji.

Obecnie autor dysponując materiałami z archiwów rumuńskich, w tym także proveniencji policyjno-wywiadowczej, ma możliwość przedstawienia przebiegu tej inicjatywy, która później – niezależnie nawet od nieudanego jej epilogu – obrosła komentarzami i opiniami, które przynajmniej częściowo będzie można zweryfikować.

Idąc tropem ustaleń Rogoyskiego odnotujemy najpierw, iż 16 września 1940 ambasador Roger Raczyński odpowiadając na wcześniejsze sugestie nadchodzące z Londynu, wyraził gotowość ułatwienia ucieczki z Rumunii byłym członkom rzą-

12. Doman Rogoyski wspomina jeszcze o paszporcie na nazwisko inż. Karola Jordana. D. Rogoyski, „Pięć inicjatyw...”, s. 41.

13. *Archiva Ministerul Afacilor Externe – Bucuresti* (dalej AMAE), fond 71/1939 E.9, vol. 75, k. 286. *Copie de raportul Dir. Gen. Politiei* Nr 48137, 9 iulie 1940, *catre Min. de Interne*.

du i marszałkowi Śmigłemu-Rydzowi, przy pomocy *attaché* wojskowego¹⁴. Zaznaczył jednocześnie: „Gestapo prawie oficjalnie współpracuje z policją rumuńską i strzeże przede wszystkim Becka, znajdującego się w warunkach prawie więziennych”¹⁵. Opinia ta była niewątpliwie oparta o informację uzyskaną przez z-cę *attaché* mjr. dypl. Mariana Zimnała od mjr. Stanisława Sadkowskiego, jaką ten pracujący dotychczas w Ekspozyturze „R” złożył 13 września¹⁶. W późniejszej nieco rozmowie z ambasadorem, mjr Sadkowski ujawnił, iż zetknął się z szeregiem działań, których celem miało być ułatwienie wyjazdu z Rumunii płk. Beckowi. W jego opinii, akcja winna być skoordynowana i prowadzona przez jedną osobę. Z rozeznania mjr. Sadkowskiego wynikało, że pewne prace przeprowadził już niejaki W. (por. Piotr Wysocki)¹⁷, jednak później zostały zaniechane. W przygotowaniach tych uczestniczył też inspektor P.P. G(rabowski), który posiadał szereg zdjęć Becka, które mogły być użyte do przygotowania paszportu. O stopniu rozpracowania tych przygotowań przez polski wywiad (Ekspozytura „R”) świadczyła relacja mjr. Sadkowskiego o tym iż „słyszał”, że p. S(okołowski) przygotował w porozumieniu z Brytyjczykami paszport dla Becka (brytyjski) i dla żony (polski). Wątek ten należy rozwinąć, jako że będzie on później miał istotne znaczenie dla całej akcji. Otóż z relacji Joanny Burhardtówny dowiadujemy się o podjęciu się zadania wyrobienia paszportu polskiego dla Becka przez pracownika ambasady Tadeusza Narzymskiego, który dostarczył dokumentów, w zasadzie od początku kompromitujących ewentualnego uciekiniera, gdyż opiewał

14. Dotyczyło to z-cy *attaché* wojskowego mjr. dypl. Mariana Zimnała, gdyż *attaché* ppłk Zakrzewski został zmuszony w sierpniu do wyjazdu i przebywał w tym czasie w Turcji.

15. D. Rogoyski, „Pięć inicjatyw...”, s. 44.

16. Relacja Stanisława Sadkowskiego znana jest Rogoyskiemu – określa ją jako „ogólny niedopisany raport”, pomija przy tym niektóre fakty podane przez Sadkowskiego. Być może autor dysponuje inną wersją: Relacja mjr Stanisława Sadkowskiego, Studium Polski Podziemnej w Londynie (dalej: SPP, B/I 3029/2).

17. Piotr Wysocki (ur. 1904), w Rumunii od 1939 r. pokrywkowo jako wiceprzewodniczący rady nazdorczej S.A.R. Mangasar w Bukareszcie. Oficer wywiadu (por.), w ramach Ekspozytury „R” szef placówki „Roman”.

na „średniego blondyna o jasnych oczach¹⁸”. Wynika z tego, iż niezależnie od małej przydatności tego konkretnie dokumentu, starania o jego uzyskanie zajmowały uwagę organizatorów przedsięwzięcia. Później pojawia się jeszcze informacja o paszporcie na nazwisko Karpiński.

W chwili, kiedy mjr Sadkowski relacjonował te sprawy, należało przede wszystkim – w jego opinii – skoncentrować się na następujących kwestiach: „1) Wobec charakterystycznego wyglądu J.B. przerzucić go (trzeba) za granicę w możliwie krótkim przeciągu czasu (...) natychmiast po ucieczce ze Snagov lub innej miejscowości musi nastąpić przejazd samochodem do granicy i przejście granicy. 2) Przerzucenie powinno odbyć się przez ‘zieloną granicę’ tak, by nie doszło do zetknięcia z władzami granicznymi, które mogą już być zaalarmowane, do tego celu nadaje się punkt proponowany przez dr. W[eissa]¹⁹ – (Craiova-Calafat)²⁰”, czyli przez Dunaj do Bułgarii. Plan ten, aczkolwiek jeszcze niepełny, został przyjęty przez mjr. Zimnała, który jednocześnie – do czasu wyznaczenia kierującego operacją, poprosił o jej wstępne wdrożenie mjr. Sadkowskiego. W ten sposób spadły na mjr. Sadkowskiego, oczekującego na paszport do Palestyny, obowiązki niespodziewane i wbrew wcześniejszej obietnicy nikt już go z nich nie zwolnił. Pracę rozpoczęto od opracowania marszruty ucieczki, co zlecono inspektorowi Grabowskiemu. O kłopotach organizacyjnych towarzyszących przygotowaniom niech świadczy fakt, że na obiecane – niezbędne dla dokonania rekonesansu – auto czekano osiem dni, które wreszcie już po pierwszej podróży nadawało się do generalnego remontu, co w związku z brakiem funduszy, pokrył z własnych środków mjr Sadkowski. Dopiero w ostatnich dniach września mógł inspektor Grabowski odbyć przejazd po planowanej trasie. Jednocześnie cały czas oczekiwano na przydzielenie środków finansowych, co okazało się jednak zadaniem faktycznie niewykonalnym i to mimo dyspozycji urzędowych polecających

18. IJPL, kol. 46, t.1.

19. Dr Weiss – były urzędnik policji, uchodźca w Craiovej, który dzięki kontaktom z tamtejszym szefem Siguranzy, wcześniej przerzucał już Polaków do Bułgarii. SPP, Relacja S. Sadkowskiego...

20. *Ibidem*.

otworzenie w Ambasadzie specjalnego funduszu opiewającego na 3 tysiące dolarów. Organizatorzy otrzymali z tego zaledwie 300 dolarów i 20 tys. lei²¹. Powody tego skandalicznego stanu wyjaśnili w swojej relacji Wacław Jędrzejewicz i Henryk Floyar-Raychman wskazując, iż działalność „agentów” min. Kota i min. Strasburgera dosięgła wówczas Ambasady, powodując wewnętrzne niepokoje i doprowadzając nawet do zgłoszenia dymisji przez ambasadora i jego najbliższych współpracowników. Według powyższej relacji: „Samowola tych panów [ludzi Kota i Strasburgera] nie tylko uniemożliwiła dopomożenie do ucieczki (Becka), lecz skompromitowała działalność Ambasady (...). W następstwie tej nieodpowiedzialnej roboty Ambasada R.P. musiała opuścić Rumunię”²².

Nim się to stało (4 listopada 1940 r.) w pierwszej połowie października doszło do zablokowania w Ambasadzie przepływu pieniędzy, które miały zostać użyte przez organizatorów ucieczki Becka. Bezpośrednim sprawcą był radca finansowy Ambasady Tomasz Kuźniarz²³, który powoływał się na brak dyspozycji od min. Strasburgera. Sprawa oparła się o Londyn, gdzie na tym tle doszło do konfliktu między ministrami Strasburgerem i Zaleskim. Ostatecznie doszło do kompromitacji, gdyż widząc nieudolność, czy złą wolę, poselstwo brytyjskie postawiło do dyspozycji organizatorów ucieczki kwotę 3,5 mln. lei pod warunkiem uzyskania aprobaty *Foreign Office*, na co szybko nadeszła zgoda²⁴.

O nieudolności i dezorganizacji (pytanie, czy aby nie zamierzonej), towarzyszącym przygotowaniom ucieczki Becka świadczy wymownie informacja zamieszczona w okólnym *Biuletynie Informacyjnym* nr 6 MSZ-tu o trwających przygotowaniach do wydostania z Rumunii członków byłego rządu i b. naczelnego Wodza (!)²⁵.

21. D. Rogoyski, „Pięć inicjatyw...”, s. 44-45.

22. IJPL, Kol. 46, t.1, Kopia listu H. Rajchmana i W. Jędrzejewicza – „Sprawa ucieczki Becka”.

23. W literaturze przedmiotu mylone są nazwiska aktywnych na gruncie Bukaresztu Tomasza Kuźniarza (radca finansowy Ambasady) i Bronisława Kuśnierza (w Rumunii występował też jako Tadeusz Janowski) działającego na rzecz prof. Stanisława Kota.

24. IJPL, kol. 46, t.1, Kopia listu H. Rajchmana...

25. A.M. Cienciąła, „Czy los...”, s. 24.

Mimo tych niezwykle niesprzyjających okoliczności przygotowania do ucieczki trwały nadal i opierały się w dużym stopniu na aktywności mjr. Sadkowskiego, który nie czekając już na obiecanego kierownika akcji przedstawił następujący plan: „1) Wobec tego, że władze rumuńskie nie dadzą zezwolenia na przyjazd J.B. do Bukaresztu, porwanie musi nastąpić z miejsca zamieszkania (...). Na wszelki wypadek został dodatkowo opracowany plan porwania z hotelu „Exelsior” w Bukareszcie. (...) dalsza droga prowadzić będzie przez Bukareszt i Craiovą. 2) (...) Porwanie i przerzucenie przez granicę muszą nastąpić tej samej nocy”²⁶.

Poważną komplikacją było zorganizowanie wyjazdu w tym samym czasie żony płk. Becka, co do której postawił on warunek, iż musi być wyewakuowana równocześnie z nim. Ostatecznie zdecydowano, że wyjedzie ona tej samej nocy, ale inną drogą – przez Konstancę.

Na tym etapie przygotowań zdecydowano też – co wyglądało na nieuniknione – o wtajemniczeniu w plan ucieczki dowódcy straży pilnującej Becka. Miano posłużyć się nieocenionym „bakszyszem”, którego wysokość musiała być oczywiście odpowiednio duża. Decyzja o tym przyczyniła się bezpośrednio do fiaska operacji, co wyszło na jaw oczywiście *post factum*. Konfrontacja materiałów zostawionych przez Stanisława Sadkowskiego i przechowywanych obecnie w Archiwum SRI w Bukareszcie pozwala na odtworzenie nieznanego dotychczas w szczegółach przebiegu tych wydarzeń. Otóż mjr Sadkowski z racji swoich wcześniejszych obowiązków wywiadowczych pełnionych w Ekspozyturze „R”, znał konfidenta, niejakiego Papricę (Paprita?), poprzez którego zdecydował się nawiązać kontakt z dowódcą straży pilnującej Becka. Był nim por. Ion Ioachimescu, a nie jak dotychczas przyjmowano Atanasiu²⁷. Wiemy, że indagowany

26. SPP, Relacja S. Sadkowskiego...

27. D. Rogoyski identyfikował porucznika żandarmerii rumuńskiej pilnującego z oddziałem Becka jako; „... chyba dobrze pamiętam, że dziennikarz w życiu cywilnym, Atanasiu...”. D. Rogoyski, „Pięć inicjatyw...”, s. 54. Rogoyski zapamiętał dobrze nazwisko, ale niewłaściwie je po latach skojarzył – Petre Atanasiu był komisarzem z Generalnego Urzędu Państwa, towarzyszył por. Ioachimescu w przeszukiwaniu willi Teodoride, o czym później.

przez Papricę por. Ioachimescu wręczył mu swój bilet wizytowy zaznaczając, iż gotów jest rozmawiać ale tylko z samym Józefem Beckiem lub kimś z jego bezpośredniego otoczenia, kto oddałby mu jego bilet. Warunek wydawał się zrozumiały, biorąc pod uwagę możliwość prowokacji. Z materiałów rumuńskich wynika jednak niezbiecie, iż już w tym momencie por. Ioachimescu działał z zamiarem skompromitowania uciekinierów, na razie mając za zadanie rozpoznanie ich zamiarów. Wniosek ten wynika niezbiecie z relacji złożonej w dwa dni po nieudanej ucieczce – 22 października, przez inspektora policji płk. Strate Stratilescu i ppłk. Nicolae Pavlida – komendanta Inspektoratu Żandarmerii w Bukareszcie. Przedstawiając przebieg wydarzeń związanych z ucieczką Becka, początek „wejścia” Rumunów w sprawę wiązali z faktem, że „jacyś obywatele”²⁸ Polacy oświadczyli pewnemu legionście, że Józef Beck planuje ucieczkę z Dobroresti do Bułgarii, a stamtąd dalej, za ucieczkę oferuje 1.500.000 lei²⁹. Według tej relacji legionści („Żelazna Gwardia”) z województwa Prahova powiadomili o tym natychmiast Dyrektora Generalnego Policji, ten zaś natychmiast wezwał komendanta straży z Dobroresti. Por. Ioachimescu stawiał się 11 października wraz z legionistami-informatorami i otrzymał dokładną instrukcję dalszego działania, polecającą mu przyjąć ofertę Polaków. Dalsze relacje w tej sprawie są zgodne – źródła rumuńskie jak i relacja Stanisława Sadkowskiego mówią o pośrednictwie w rozmowach z por. Ioachimescu. Po kilku spotkaniach Sokołowski zaproponował mu 1.500.000³⁰ lei za umożliwienie ucieczki płk. Beckowi.

Niezwyczajnie istotne dla sprawy jest tu ustalenie, iż o przebiegu prowadzonych negocjacji por. Ioachimescu informował Policję Generalną na bieżąco, za pośrednictwem

28. W dokumencie użyte jest słowo „supusi”, co tłumaczy się „podlegli”, ale także „obywatele”. Możliwe jest, że to Paprica doprowadził do denuncjacji planu ucieczki, a wspomniani „Polacy” mogli oznaczać Sadkowskiego, a nie jakichś specjalnych denuncjatorów.

29. *Arhiva Serviciul Roman Informatii-Bucuresti* (dalej: ASRI), fond „D”, dosar 2589, k.19, Protokół (płk. Strate Stratilescu i ppłk Nicolae Pavlid) 22 X 1940.

30. Niejasne jest źródło tego finansowania, prawdopodobnie były to brytyjskie pieniądze.

legionistów. Według Sadkowskiego rozmowy te miały trwać między 3 a 8 października, co w świetle przytoczonych faktów jest raczej wykluczone, należy raczej przyjąć wersję rumuńską, pisaną na bieżąco, z której wynika, że por. Ioachimescu powiadomił Sokołowskiego 14 października o przyjęciu oferty.

Oczywisty jest więc wniosek, że przygotowania do ucieczki Becka w decydującej fazie były znane i faktycznie kontrolowane przez stronę rumuńską, która dla własnych celów postanowiła kontynuować tę grę. Najpewniej chodziło jej o skompromitowanie samego Becka, ale również strony polskiej, która w tym czasie stała się czynnikiem niewygodnym dla nowych władców Rumunii. Właśnie w tym czasie rumuński MSZ niedwuznacznie dawał do zrozumienia, iż właściwe byłoby opuszczenie Rumunii przez Ambasadę i inne instytucje polskie. „Pilnowanie” sprawy przez czynniki żelaznogwardyjskie potwierdza te przypuszczenia.

Tymczasem, nie zdając sobie sprawy z powstałego zagrożenia, polscy konspiratorzy kontynuowali przygotowania, które z powodu wspomnianych zahamowań przeciągały się, stwarzając napiętą i gorączkową atmosferę. Nadal trwały korowody z wyznaczaniem kierownika operacji, co w końcu zakończyło się wyznaczeniem przez ambasadora Raczyńskiego mjr. Sadkowskiego, któremu ku jego zaskoczeniu zlecono ponadto ewakuowanie (później) pozostałych członków rządu i marszałka Śmigłego-Rydza. Major Zimnal zaznaczył, że polecenie to winien traktować jako rozkaz wojskowy. Do pomocy w przeprowadzeniu operacji mjr Sadkowski otrzymał wspomnianego już por. Piotra Wysockiego, liczył też na dalsze wsparcie inspektora Grabowskiego. Kwestią spędzającą sen z oczu była przeciągająca się sprawa załatwienia paszportu. W tej kwestii postanowiono zwrócić się również do poselstwa brytyjskiego, prosząc o wystawienie paszportu brytyjskiego dla Józefa Becka, oczywiście na inne nazwisko. W sprawie tej rozmawiał 11 października ambasador Raczyński z sekretarzem Poselstwa. Prośba została szybko spełniona i paszport wraz z wizami mjr Sadkowski otrzymał 16 października³¹.

31. SPP, Rel. S. Sadkowskiego...

Według początkowego planu, zakładającego, że uciekając Beck będzie posiadał paszport polski, dokument brytyjski miał służyć dla zatarcia śladów przy przekraczaniu granicy bułgarskiej.

Szczegóły ucieczki zostały omówione 11 października w trakcie kilkugodzinnej narady mjr. Sadkowskiego z por. Wysockim. Wówczas „przepracowano” – krok za krokiem – całość planu ewakuacji. Mówiono też o podobnej operacji, mającej na celu wydostanie marszałka z Dragoslavele i dalszą jego ucieczkę. Na taką propozycję marszałek odpowiedział pozytywnie, należy jednak przyjąć, że informacja o tym przywieziona przez dr. Henryka Cianciarę, stanowiła kamuflaż dla organizowanej, ale zupełnie innymi siłami, ucieczki marszałka³².

Skonkretyzowanie terminu ucieczki płk. Becka uzależnione było od zasilenia finansowego operacji. Ten czynnik oraz przedłużające się wystawienie paszportu polskiego sprawiło, że nieaktualny okazał się pierwotnie ustalony termin – 16 października. Dopiero zadeklarowanie 500 dolarów przez Seweryna Sokołowskiego na ten cel umożliwiło przyśpieszenie decyzji o ucieczce. Termin jej wyznaczono na 20 października, przy czym ostatecznie trasa ucieczki miała prowadzić przez Bułgarię do Jugosławii, a następnie z portu adriatyckiego na Cypr. Elementem tego planu był wcześniejszy wyjazd do Bułgarii Zdzisława Miłoszewskiego, byłego pracownika MSZ, który posiadał pewne stosunki w Bułgarii. Jego zadaniem było zorganizowanie bezpiecznego przejazdu Becka do Jugosławii. Z prośbą o ułatwienie mu tej misji zwrócił się ambasador Raczyński do posła R.P. w Sofii, Adama Tarnowskiego³³.

Jak podkreśla w swojej relacji Stanisław Sadkowski, przygotowania te odbywały się w warunkach powszechnego podniecenia i niepewności, co do dalszego rozwoju wydarzeń, był to bowiem czas, gdy wojska niemieckie wkraczały już do Rumunii. 17 października wjechała do Bukaresztu kolumna

32. T. Dubicki, „Wojsko polskie w Rumunii 1939-1941”, Warszawa 1994, s. 274.

33. SPP, Rel. S. Sadkowskiego...

samochodowa niemieckiego sztabu, który ulokował się w hotelu „Athene Palace”.

Również z Dobroresti nadchodziły bardzo niepokojące, choć jak się później okazało nieprawdziwe wieści o przygotowywanych już w Snagov kwaterach dla niemieckiego batalionu. Obawiano się, iż mogło to spowodować wydanie decyzji o zmianie miejsca internowania płk. Becka, co dla organizatorów ucieczki stanowiłoby ogromną komplikację.

W tym czasie okazało się też, że informacje o przygotowaniach do ucieczki „wyciekły” już poza krąg wtajemniczonych osób. Skonstatowano, że wiedzieli o nich na pewno: radca Kuźniarz, co było zrozumiałe, ale również Miroslaw Arciszewski (poseł w Rumunii w latach 1932-1938, obecnie delegat rządu d/s uchodźców) i Karol Alexandrowicz. On właśnie wspólnie z Kuźniarzem był autorem depeszy skierowanej do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: „Przygotowuje się ucieczka p. Becka. Maczają w tym palce Amerykanie (sic!). Wszystko przygotowane. Możemy to bardzo łatwo sparażować, prosimy o instrukcje, bo sprawa jest bardzo ważna. Prosimy prośby o instrukcje nie pomijać milczeniem. Wyjazd Becka przewidziany jest nie na Cypr, ale do Ameryki, skąd może przecież szkodzić rządowi³⁴”. Planowana ucieczka nie była też tajemnicą dla ministra Alfreda Ponińskiego, co poświadcza późniejsza relacja pani Jadwigi Beckowej. Wynika z niej, że na kilka dni przed 20 października, ambasador Raczyński przyjął ją w obecności Ponińskiego, oświadczając że tenże jest *au courant* wszystkich spraw i że można przy nim rozmawiać. Znając wcześniejsze „zasługi” Ponińskiego w zatrzymywaniu Becka w Rumunii, jego żona stanowczo odmówiła rozmowy w jego obecności³⁵.

Atmosfera wokół uciekinierów coraz bardziej zagęszczała się, choć nie zawsze byli oni tego świadomi. Dotyczyło to np. sytuacji gdy władze rumuńskie poprzez posła w Berlinie Radu Crutzescu sondowały w *Auswärtiges Amt* reakcję na ewentualny wyjazd Becka z Rumunii. Odpowiedzią był kategoryczny sprzeciw niemiecki, co było w zasadzie do przewidze-

34. IJPL, Kol. 46, t.2, k.21.

35. *Ibidem*, k. 27.

nia. Zwraca natomiast uwagę nieprzypadkowa prawdopodobnie zbieżność w czasie tej inicjatywy z czynionymi do ucieczki przygotowaniami. Nasuwa się przy tym ryzykowna, co prawda teza, iż być może władze rumuńskie przy otrzymaniu jakiegoś pozytywnego sygnału niemieckiego, lub choćby pozwalającego na taką interpretację, skłonne były doprowadzić do końca ucieczkę Becka. Wielce tajemniczą i do dziś nie wyjaśnioną sprawą było też ogłoszenie 18 października przez radio brytyjskie informacji o udanej ucieczce Becka z Rumunii. W sumie należy zgodzić się z opinią Anny Cienciąły, że sprawa ucieczki płk. Becka stała się powszechnie znana³⁶.

Organizatorzy także otrzymali silny sygnał, który ich zaniepokoił. Inspektor Grabowski był bowiem, w sposób zresztą jawny, inwigilowany przez wywiadowców rumuńskich. Gdy ich wprost zapytał o powód śledzenia go, otrzymał odpowiedź, że otrzymali taki rozkaz w niedzielę (13 października). W konsekwencji doprowadziło to do rezygnacji z udziału inspektora Grabowskiego w przedsięwzięciu.

Był to już czas ostatecznych decyzji, o których końcowym kształcie można wnosić z kilku, niestety rozbieżnych relacji. Pewne jest jednak, że w wyznaczonym dniu, a więc 20 października o godzinie (wieczornej) płk. Beck w towarzystwie por. Ioachimescu mieli wyjechać z Dobroresti, sprowadzoną uprzednio taksówką. Droga miała prowadzić wzdłuż jeziora Snagov w rejon gospody „Trej Stejari” („Trzy Dęby”), gdzie Beck miał się przesiąść do samochodu prowadzonego przez por. Piotra Wysockiego. Z nim miał jechać do Bukaresztu, gdzie oczekiwał pozyskany do współpracy przez por. Wysockiego komisarz policji z Craiovej „W”³⁷, najprawdopodobniej Vladiu Andrei (w rumuńskiej pisowni litera „W” nie występuje). Wraz z nim miano natychmiast ruszyć w dalszą drogę do Craiovej i w związku z tym obecność komisarza tego miasta miała pomóc w razie kontroli. Komisarz okazał się przydatny również w inny sposób, przekazując „zaświadczenie wolnego poruszania”, sygnowane przez dziel-

36. A.M. Cienciąła, „Czy los...”, s. 25; J. Klimkowski, „Byłem adiutantem Andersa”, Warszawa 1959, s. 94.

37. SPP, Rel. S. Sadkowskiego...

nicową komendę policji w Craiovej. Jest pewne, że komisarz nie uczestniczył w prowadzonej przez władze grze³⁸.

W Craiovej miał odebrać Becka wspomniany już b. inspektor R.P. dr Weiss, którego zadaniem miało być przeprowadzenie go drogą przez Turnu Severin przez granicę do Bułgarii, gdzie miał już oczekiwać Miłoszewski. Plan ten postanowiono wprowadzić w życie, mimo niesprzyjającej okoliczności, jaką był brak polskiego paszportu dla Józefa Becka. W ostatniej dosłownie chwili mjr Sadkowski otrzymał paszport dla Jadwigi Beckowej (na nazwisko Jadwiga Burhardt). W myśl planu miała ona wyjechać do Bukaresztu i oczekiwać w mieszkaniu mjr. Sadkowskiego na wywiezienie jej drogą przez Konstancę.

Plan jak już wiemy nie miał żadnych szans powodzenia, nawet gdyby był perfekcyjnie przygotowany. Właściwie istniały obok siebie dwa plany: polski i rumuński, których scenariusze biegnące początkowo zgodnie, miały w wybranym przez władze rumuńskie miejscu przeciąć się.

Nim do tego rzeczywiście doszło, uruchomiono przygotowany mechanizm postępowania, w ramach którego Doman Rogoyski udał się rankiem 20 października do hotelu „Exelsior” w Bukareszcie, aby dowiedzieć się o detalach ucieczki, o których wcześniej nie informowano go, najpewniej z uwagi na bezpieczeństwo akcji³⁹. Przebywający w hotelu Seweryn Sokołowski wrócił tym samym samochodem do Dobroresti mając zadanie pozorowania obecności Becka w willi. Wcześniej poinformował Rogoyskiego o wyznaczonym spotkaniu z Wysockim i drugim jeszcze mężczyzną (najpewniej Sadkowskim). Doszło do niego o godz. 18 i ustalono wówczas kolejność dalszych kroków, a mianowicie zabranie Rogoyskiego z szosy Kisieleff w pobliżu Hipodromu. W międzyczasie por. Wysocki odebrał na dworcu Calea Grivitei dwie walizki, które przyniósł Sadkowski.

38. W aktach sprawy znajdowało się zaświadczenie wolnego poruszania się Nr 7446/940 wydane przez dzielnicową Komendę policji w Craiovej. Ustalono, że zostało sfalszowane przez komisarza Andreia Vladiou. ASRI, fond „D”, dosar 2589.

39. D. Rogoyski, „Jeszcze o ucieczce min. Józefa Becka”, *Zeszyty Historyczne*, Z. 47/1979, s. 222.

Z relacji jaką złożył Wysocki po zatrzymaniu go przez policję rumuńską wynika, że zgodnie z instrukcją otrzymaną od tajemniczego „Pana Jana” (Wysocki nie identyfikował oczywiście z nazwiska współpracowników) przyjechał on nad brzeg jeziora Snagov wraz z drugim „wysokim panem” (Rogoyski), gdzie miał oczekiwać na przyjazd nieznanego mu „Anglika”, którego miał zidentyfikować „wysoki pan”. Zarówno zeznanie Wysockiego, jak i późniejsza relacja Rogoyskiego mówią o długim, ponad godzinę trwającym oczekiwaniu. Powód zaistniałego opóźnienia wyjaśnia sprawozdanie przedstawione rumuńskiemu Ministerstwu Spraw Wewnętrznych omawiające całą akcję. Wynika z niego iż odegrano przed Beckiem dodatkową komedię, bowiem po sprowadzeniu przez por. Ioachimescu „zgodnie z planem” taksówki, w chwili gdy wsiadał do niej Beck, „zaprotestował” nagle sierżant Constantin Lesnic z miejscowego posterunku, który grożąc karabinem wezwał do zawrócenia. Zaczęły się negocjacje, w trakcie których Lesnic, jak wynika z treści sprawozdania wcześniej poinstruowany, ustąpił dopiero po wręczeniu mu kwoty 100 tysięcy lei (w gotówce było to 130 dolarów i 30 tys. lei). Po przełamaniu tego „oporu” i rzekomo nieoczekiwanego wydarzenia, którego sensu aranżacji trudno się doszukać, płk Beck wraz z por. Ioachimescu, ale również dodatkowo z Lesnicem (!?) udali się taksówką w drogę⁴⁰.

Precyzyjne odtworzenie tej fazy wydarzeń napotyka na trudności wynikające z rozbieżnych relacji strony rumuńskiej (inspektor Stratilescu, ppłk Pavlida, por. Ioachimescu) oraz Domana Rogoyskiego i Piotra Wysockiego (dwie ostatnie to protokoły zeznań). Niejasna jest już droga, którą dojechał Beck na umówione miejsce. Relacja rumuńska zawiera skomplikowany jej obraz, z którego wynika, że taksówka „z nieznanых powodów” (!?) zmieniła wcześniej umówioną trasę dojazdu. Fragment dotyczący tej sytuacji brzmi: „zamiast skręcić w lewo w kierunku Bukaresztu, aby spotkać na 6 km umówione samochody, skręcono raptownie w prawo w kierunku Ploesti i na 100 km Beck zatrzymał samochód i w

40. ASRI, fond „D”, dosar 2589, Protokół z 22 X 1940, Inspektor Gen. Policji płk. S. Stratilescu, k. 50.

łłoku jaki panował na szosie znikł nie płacąc 400 dol.”⁴¹. Fragment ten przynosi same znaki zapytania: kto polecił (wymusił?) zmianę kursu? W jaki sposób Beck zatrzymał taksówkę, mając w „towarzystwie” por. Ioachimescu i sierż. Lesnica? Czy 400 dol. to ostatnia rata dla por. Ioachimescu? Wątpliwości tych nie rozwiewają też inne dostępne materiały, np. Rogoyski podał w swoich wspomnieniach iż Beck nadjechał od strony drogi polnej w rejon gospody „Trei Stejari” w miejscowości Tancabesti. Jednocześnie potwierdza jednak pośrednio wspomnianą wcześniej „ucieczkę” Becka, gdyż „sposzrzegł sylwetkę wysokiego mężczyzny, idącego w kierunku szosy, w przeciwnym do nas kierunku”⁴². Według tej relacji Rogoyski wyskoczył z samochodu chcąc go przywołać, jednak w tym momencie zabłyśły światła kilku aut, jak się okazało policyjnych. Rogoyski zareagował wyrzucając do stawu posiadany rewolwer. Tak przedstawił te wydarzenia w 1985 roku, natomiast w zeznaniach złożonych 24 października 1940 r. w Komendzie Policji interesujący nas epizod został tak zrelacjonowany: „po dłuższym oczekiwaniu przyjechał samochód i zobaczył wysiadającego szefa, którego odprowadził do samochodu”⁴³. Sam miał następnie ruszyć pieszo w kierunku Ploesti, wkrótce dogonił go jednak samochód policyjny. Według rumuńskiej wersji (o czym Rogoyski milczy): „W trakcie penetracji szosy w odległości 0,5 km od miejsca, gdzie znikł Beck, spotkano p. Rogoyskiego idącego pieszo w kierunku Ploesti niosącego teczkę i walizkę. Podczas rewizji znaleziono przy nim 424 dolary, 2 tys. lewa i 24,5 tys. lei. W walizce – przedmioty osobistego użytku”⁴⁴. Rumuni przypuszczali, że kwota 400 dolarów stanowiła ostatnią ratę dla por. Ioachimescu.

Niestety nie wiemy czy pieniądze te miał Rogoyski dopiero wręczyć Beckowi (sam przecież nie miał uciekać), czy też może otrzymał je od niego. Obie wersje oznaczałyby jednak, że zorientowano się w zastawionej pułapce. Wskazuje

41. *Ibidem*, *Proces-Verbal*, 22 X 1940.

42. D. Rogoyski, „Pięć inicjatyw...”.

43. ASRI, fond „D”, dosar 2589, Protokół przesłuchania D. Rogoyskiego, 24 X 1940.

44. *Ibidem*, Protokół z 22 X 1940, Insp..., płk. S. Stratilescu.

też na to „ucieczka” Becka z taksówki. Niejasny pozostaje jednak powód dlaczego milczałby o tym w swoich wspomnieniach Doman Rogoyski.

Wątek ten był jednak poboczny, główne wydarzenia koncentrowały się wokół osoby płk. Becka, który – jeśli przyjąć wersję Rogoyskiego przedstawioną policji, znalazł się w samochodzie Wysockiego jeszcze przed przyjazdem (ujawnieniem się) policji. Zgadza się z tym wersja podana 23 października przez Piotra Wysockiego, legitymującego się paszportem na nazwisko Pierre Georges Aubry. Zeznał on, iż w czasie wspólnego oczekiwania z Rogoyskim (nazywał go „przyjacielem”) chodził do restauracji w celu zakupu butelki koniaku. W międzyczasie przyjechała też jego żona samochodem „Fordem Lux”, kierowanym przez Włodzimierza Lanckorońskiego – kierowca u Wysockiego w firmie „Madagaskar”. (Cel jego przyjazdu nie jest jasny, Wysocki mówił Rumunom o „docieraniu” samochodu)⁴⁵. O tym, że nie była to indywidualna inicjatywa pani Wysockiej świadczy fakt, że szybko wyjechała w kierunku Ploiesti, co może wskazywać, iż ustalono dla niej zadanie zabrania z drogi Domana Rogoyskiego, który nie miał towarzyszyć uciekającemu Beckowi. Wysocki potwierdza też przytoczoną już opinię, że ponad godzinę „nic się nie działo”, a Rogoyski kilkakrotnie wysiadał z samochodu obserwując drogę. Świadczy to o zaistniałym w stosunku do planu znacznym opóźnieniu, wynikłym z perturbacji w Dobroresti (sierż. Lesnic), a także z niewyjaśnionej przyczyny zmiany drogi dojazdu taksówki z Beckiem. Dalszy ciąg relacji por. Wysockiego przynosi stwierdzenie, iż w pewnym momencie zauważył oświetlone samochody i wkrótce Rogoyski przyprowadzał oczekiwanego „Anglika”, który w czapce na głowie siada obok Wysockiego, a „przyjaciel” opuszcza ich. Wysocki, który usiłuje przekonać Rumunów iż początkowo nie wiedział kim jest „Anglik”, miał go zapytać czy reflektuje na kieliszek koniaku: „Z gestów nie odgadłem za wiele, ale domyślam się, że (jest to) dobry pomysł”⁴⁶. Wysocki udaje się więc do restauracji (po raz

45. *Ibidem*, Protokół zeznań P. Aubry, 23 X 1940.

46. *Ibidem*.

kolejny?) i w tej chwili zajeżdżają samochody policyjne.

Dalszy rozwój wydarzeń najpełniej przedstawia relacja rumuńskich autorów, którzy stwierdzili iż przed wejściem do restauracji stał samochód z rejestracją 9251 B, we wnętrzu którego na przednim siedzeniu siedział pasażer, natomiast miejsce kierowcy było wolne. Ten zresztą szybko się zjawił i został zidentyfikowany na podstawie francuskiego paszportu jako Pierre Aubry. Zapytany o pasażera, odpowiedział: „to pewien Anglik na rauszu”. Ten, poproszony o opuszczenie samochodu w celu wylegitymowania – odmówił, twierdząc że nie może, jednak „po pewnych trudnościach”, gdy wyszedł z samochodu – „po sylwetce z prawdopodobieństwem stwierdzić można było, że jest to pan Beck”⁴⁷. Wylegitymował się on jednak brytyjskim paszportem na nazwisko John Barland (nr paszportu C. 134122/40) urodzony 19 lutego 1892 r. w Aleksandrii (Egipt), z zawodu agent handlowy, obywatel angielski⁴⁸.

Fotografia przedstawiała zdjęcie Becką w okularach i z wąsami, autentyczne były też takie dane jak wzrost – 6 stóp i 1 cal (ok 186 cm), ciemne włosy, brązowe oczy. Anglicy potrafili więc lepiej zadbać o szczegóły niż Polacy („*blond*” paszport!). Płk Beck usiłował grać rolę w jakiej go obsadzono i to pomimo zidentyfikowania go przez por. Ioachimescu, który znajdował się w samochodzie na głównej szosie. Tam też w trakcie rewizji znaleziono przy Becku rewolwer Mauser z 9 nabojami (czyli 1 był w lufie). Podczas przeszukania samochodu znaleziono dwie walizki z inicjałami J.B. z zawartością przedmiotów osobistego użytku. Ponadto Beck posiadał 20 dolarów i 1630 lei, podczas gdy towarzyszący mu Piotr Wysocki miał 33,3 tys. lei, a jego żona Zofia 380 dolarów i 7,5 tys. lei. W samochodzie prowadzonym przez Włodzimierza Lanckorońskiego znaleziono też aparat nadawczo-odbiorczy⁴⁹.

Na tej podstawie płk Józef Beck został przewieziony do siedziby Dyrekcji Generalnej Policji, tam też znaleźli się Wysoccy, Lanckoroński i Rogoyski.

47. *Ibidem*, Protokół (płk S. Stratilescu i ppłk. Pavlid), 22 X 1940.

48. *Ibidem*, k. 56, 62.

49. *Ibidem*, Protokół z 22 X 1940. Insp.... płk S. Stratilescu.

Rumunom pozostało jeszcze zrewidowanie siedziby Becka w Dobroresti. Z misją tą udał się por. Ioachimescu, który realizował do końca ustalony wcześniej scenariusz. Po powrocie do willi „Teodoride” zawiadomił Seweryna Sokołowskiego iż wszystko odbyło się zgodnie z planem, w związku z czym oczekiwał na resztę należności. Sokołowski zachował jednak czujność i oświadczył, że nie wypłaci pieniędzy, dopóki nie otrzyma potwierdzenia z drogi (telefonicznego) o powodzeniu ucieczki. Taka wiadomość nie mogła oczywiście nadejść. Por. Ioachimescu zgodnie z otrzymanym rozkazem aresztował Sokołowskiego, dokonując przy tym jego rewizji osobistej, zatrzymując znalezione 25 dolarów, 2500 lewa, 1000 dinarów, 9355 lei i 5 franków⁵⁰.

Ze sprawozdania złożonego przez por. Ioachimescu z przebiegu tej akcji wynika, że poza Sokołowskim zastał on z willi szofera Becka, Władysława Lissowskiego oraz dwie służące – Rumunki, Marię Sipos (Printu) i Padficę Covaci. W trakcie przeszukania mieszkania znaleziono i zarekwirowano rewolwer FN 7,65 z ośmioma nabojami oraz dodatkowo 28 sztuk naboji, dowód osobisty na nazwisko Józefa Becka, depeszę z Lizbony oraz trzy listy w języku polskim, w tym dwa od Jana Jagiełły (kierownik bursy szkolnej w Bukareszcie?)⁵¹.

Jak wynika ze sprawozdania por. Ioachimescu, aresztowanych Sokołowskiego i Lissowskiego przewieziono do siedziby policji, a dom zostawiono pod opieką służących.

Przebieg aresztowania i śledztwa osób zatrzymanych w związku z próbą ucieczki Becka znamy z kilku źródeł, m.in. relacji Domana Rogoyskiego, w której informuje o stosunkowo dobrym ich traktowaniu. Jego umieszczono w pomieszczeniu biurowym, gdzie również spał, pilnowany cały czas przez żandarma. Jeśli chodzi o warunki przetrzymywania Becka to pojawiają się istotne rozbieżności, np. jego żona informuje, że był przetrzymywany w pokoiku bez okien, łóżka, z dwoma żandarmami wewnątrz i silnym światłem elektrycznym, dniem i nocą⁵². Tymczasem Rogoyski wspo-

50. *Ibidem*.

51. *Ibidem*, Protokół z 21 X 1940 por. Ion Ioachimescu.

52. J. Beck, „Kiedy byłam Ekscelencją”, Warszawa 1990, s. 109.

mina o pomieszczeniu Becka, które wcześniej stanowiło garsonierę poprzedniego dyrektora Sigurany, trudno więc przypuścić, aby panowały w niej opisane przez panią Jadwigę warunki.

Jednocześnie wiadomo na pewno o złym stanie zdrowia Becka, wywołanym prawdopodobnie trwającym stale napięciem nerwowym, bowiem konsekwentnie utrzymywał iż jest Johnem Barlandem. Płk. Strate Stratilescu informował iż Beck przyznał się do swojej tożsamości dopiero, gdy udowodniono mu nieprawdziwość tych zeznań, z kolei Rogoyski odnotował, że to on właśnie dokonał identyfikacji swojego szefa – na prośbę wysokiego urzędnika rumuńskiego, widząc iż dalsze negowanie tożsamości nie prowadzi do niczego⁵³.

O zachowaniu płk. Becka w czasie przesłuchań dowiadujemy się z notatki rumuńskiej, informującej iż pytany o sposób w jaki załatwił sobie paszport brytyjski, zaaranżowanie ucieczki i współpracowników w niej, a także docelowy kierunek, płk Beck „odmówił jakichkolwiek wyjaśnień”⁵⁴. Nieco później, po potwierdzeniu tożsamości, złożył oświadczenie w języku francuskim, w którym przypominał iż wysłał za pośrednictwem swej żony dwa listy (teksty) do ministra spraw wewnętrznych Mihaia Strudzy, w których omówił całokształt spraw związanych z jego pobytem w Rumunii. Nadal utrzymywał, że nic więcej do tego nie może dodać⁵⁵.

W tym duchu utrzymane też były wypowiedzi Rogoyskiego, który w wyjaśnieniu złożonym w języku rumuńskim podkreślał, że podjęta 20 października ucieczka, była logicznym następstwem wydarzeń rozpoczętych 18 września 1939 roku. Podkreślił iż zatrzymanie władz R.P. w Rumunii zostało zarządzone wbrew wcześniejszym ustaleniom poczynionym przez ministra Becka i ambasadora Rumunii w Polsce – Grigorceę. Rogoyski zaakcentował też fakt, że stan internowania utrzymany jest nadal w sytuacji, gdy członkowie rządu są już osobami prywatnymi (po dymisji)⁵⁶.

53. D. Rogoyski, „Pięć inicjatyw...”, s. 53.

54. ASRI, fond „D”, dosar 2589, Protokół z 22 X 1940, Insp..., płk S. Stratilescu.

55. *Ibidem*.

56. *Ibidem*, Protokół przesłuchania D. Rogoyskiego, 21 X 1940.

Szczególną uwagę zwraca następujący *passus* oświadczenia Rogoyskiego: „Zbędne są szczegóły, wystarczy wspomnieć, że mój Szef zawsze protestował przeciw internowaniu go i wielokrotnie otrzymywał obietnicę zwolnienia go w określonym terminie, co jest do udowodnienia⁵⁷. Rogoyski wykorzystał też okazję, aby uzmysłwić stronie rumuńskiej, iż Józef Beck nigdy nie złożył obietnicy, że nie opuści Rumunii, nawet bez zgody miejscowych władz. Rogoyski przypominał, że tak też postąpił Beck ostatnio, gdy otrzymał obietnicę zwolnienia z internowania przy okazji wizyty ministra Riosanu w Snagov⁵⁸.

Zeznania pozostałych zatrzymanych osób nie wniosły nic istotnego dla odtworzenia obrazu ucieczki, o której w końcu Rumuni wiedzieli tak wiele. Jedynym wątkiem, który ich specjalnie interesował byli ewentualni rumuńscy współpracownicy, od zatrzymanych nie dowiedzieli się jednak w tej sprawie niczego.

Ostatecznie po dziesięciu dniach przetrzymywania, wszystkich Polaków wypuszczono. Decyzję o tym Doman Rogoyski wiąże z tendencją do, jak pisze, „utopienia” sprawy, forsowanego przez dyrektora generalnego Sigurazy ks. Aleksandra Ghikę, który, choć żelaznogwardzista i germanofil, miał być człowiekiem honoru. Tuż po dowiedzeniu Becka do Dyrekcji Policji miał oświadczyć: „żałuję, że się Panu nie udało”⁵⁹, co jednak – zauważmy – w kontekście kontrolowania od początku ucieczki przez policję i żelaznogwardzistów, niekoniecznie musiało być szczere.

Po wypuszczeniu Beck nie wrócił już do Dobroresti, umieszczono go w willi byłego szefa wywiadu rumuńskiego Moruzova, uwięzionego przez Żelazną Gwardię w Jilavie i następnie zamordowanego.

Losy osób związanych z ucieczką Becka potoczyły się różnie. Pani Beckowa przez trzy dni nie wiedziała nic o mężu. Po tym czasie poszła z własnej inicjatywy do ks. Ghiki i po

57. *Ibidem*.

58. *Ibidem*.

59. IJPL, kol. 46, t.2, List D. Rogoyskiego do W. Pobóg-Malinowskiego (kopia), Londyn 31 III 1945.

dramatycznej z nim rozmowie uzyskała widzenie z mężem. Organizator ucieczki mjr Stanisław Sadkowski znikł z Bukaresztu, został jednak ujęty 23 października w porcie naddunajskim Giurgiu. Zadziałały jednak najwyraźniej wcześniejsze koneksje (Ekspozytura „R” współpracowała z wywiadem rumuńskim), a może i odgórne decyzje, dość że mjr. Sadkowskiego, jak to sam określa, „rumuńskim sposobem” ekspulsowano na brzeg bułgarski. Potem znalazł się na Bliskim Wschodzie⁶⁰. Małżeństwo Wysockich w nieznanych nam okolicznościach opuściło Rumunię, przy czym błędne jest przekonanie pani Wysockiej, jakoby nie zostali oni początkowo rozpoznani jako małżeństwo. Przeczy temu dokument rumuński z 22 października, w którym mówi się o nich jako o małżeństwie⁶¹.

Nieudana ucieczka płk. Becka miała też swoje reperkusje międzyrządowe. Powodem był paszport wystawiony Beckowi przez Brytyjczyków, jednak i tu sprawę „wyciszono”, a składającemu wizytę u gen. Iona Antonescu pośłowi brytyjskiemu Reginaldowi Harvey Hoare, przyszedł *Conducatorul* miał oświadczyć, iż polecił zniszczyć paszport. Jeśli tak było, to gen. Antonescu „minął się” z prawdą, gdyż do dziś dnia dokument ten przetrzymywany jest w archiwum rumuńskim (przypis 48).

Ucieczka Becka stanowiła też dobry pretekst dla podjęcia przez stronę rumuńską skrywanych dotychczas w takiej formie słów krytyki zarówno wobec Polaków jak i Brytyjczyków, przy czym stosowano metodę łączenia rzeczywistych faktów ze zmyśleniami. Takie treści przyniósł np. dokument opracowany dla potrzeb i rozpowszechniony w rumuńskim MSZ. Nosił datę 25 października 1940 r. i zatytułowany był „*Fapte in «Cazul Beck»*” (Przypadek „Beck”. Fakty⁶²). Z dokumentu tego jasno wynika, w jaki sposób zamierzano wykorzystać całą sprawę. Przede wszystkim forsowano tezę, że Beck złamał dane słowo o nieuciekaniu z Rumunii, jednak

60. SPP, Relacja S. Sadkowskiego.

61. ASRI, fond „D”, dosar 2589, Protokół z 22 X 1940. Insp..., płk S. Stratilescu.

62. AMAE, fond 71/1939 E.9, vol. 75, k. 312-314.

poza gołosłownym tego stwierdzeniem brak jest jakiegokolwiek na to dowodu. O przeinaczeniu faktów można mówić, gdy prezentowana jest wersja o próbie przekupstwa podjętej przez Becka wobec osób, które go zatrzymały. Nie trzyma się to jednak kupy, wobec podanych i udokumentowanych zeznań i wniosków dochodzeniowych. Prawdziwą jest tu tylko kwota 1,5 mln. lei, zaproponowana por. Ioachimescu w zupełnie innych okolicznościach.

Specjalną uwagę poświęcono w tym dokumencie wątkowi brytyjskiemu, łącząc go ze sprawą Becka, powołując się na jego rzekomą deklarację, iż „minister angielski” przekazał mu 2 miliony lei na realizację ucieczki, czyniąc przy tym uwagę: „pieniądze w tej sytuacji nie odgrywają żadnej roli”. Wobec wspomnianej już i potwierdzonej przez samych Rumunów wybitnie powściągliwej postawy i lakonicznych wypowiedzi Becka podczas przesłuchania, taka enuncjacja wydaje się być po prostu nieprawdziwa. Sterowanie w kierunku brytyjskich zależności i powiązań, w tym przypadku Becka, miało podeprzeć znalezienie w jednym (?), jak podkreślano, bagażu Becka, jaką miała być walizka, stacji (aparatu?) nadawczo-odbiorczego, który jak autorytatywnie stwierdzano, otrzymał Beck od Anglików⁶³. Wątek ten uzupełnia sensacyjnie brzmiąca informacja o przygotowywanym wcześniej przez Brytyjczyków porwaniu (ucieczce?) Becka samolotem!

Tendencją do przedstawienia wydarzeń związanych ze „sprawą Becka” była chęć ukazania działalności brytyjskiego Poselstwa w kategorii „ciężkiego skompromitowania”. Mówi się wręcz: „Pomimo iż wszystkie legacje brytyjskie są wyeliminowane z polityki pld.-wsch., są jednak nadal utrzymywane, żeby korzystać z przywileju dyplomatycznego dla celów tajnych służb angielskich oraz szpiegostwa wojskowego i ekonomicznego. Pan Beck udowadnia po raz drugi o swoim talencie w roli angielskiego szpiega. Jest on niezadowolony ze smutnego rozgłosu, iż jest pierwszym, który zaprowadził kraj do rzeźni angielskiej. Od tego czasu emigranci polscy z Londynu opuścili go. Teraz były minister polski znalazł się

63. *Ibidem*.

powtórnie w służbie brytyjskiej”⁶⁴. Dążenie do łączenia spraw brytyjskich z polskimi w Rumunii znalazło też odbicie w przeprowadzonej na dużą skalę akcji aresztowań wśród Polaków i przeszukań pomieszczeń różnych instytucji. Miano wówczas znaleźć kompromitujące dokumenty mówiące o udziale Polaków w planowanej przez Anglików akcji sabotażowej w zagłębiu naftowym. Aresztowano wówczas kilkadziesiąt osób, znaleziono radiostacje (jednak nie w gmachu Ambasady ale przy ul. Cantacuzino 50), gdzie mieściły się m.in. lokale Ekspozytury i Komisji Badawczej. Temat ten jest już znany literaturze⁶⁵. Według przytaczanego dokumentu znalezione materiały dowiodły, że w Ambasadzie „pracowano w służbie angielskiego szpiegostwa”⁶⁶. W związku z tym stawiano pytanie, za którym niemieckiego suflera dobrze było słyhać: „jak było możliwe istnienie dotąd ‘tak zwanej’ Ambasady Polskiej, która korzystała z praw dyplomatycznych?” Pytanie to stanie się szybko nieaktualne, w związku z wymuszonym przez Rumunów wyjazdem Ambasady R.P. (4 listopada), co oznaczało dwustronne zawieszenie stosunków dyplomatycznych⁶⁷.

W sprawie płk. Józefa Becka sytuacja pozostanie bez zmian w zakresie jego statusu – internowanego, choć warunki pobytu, zwłaszcza w zakresie elementarnych nawet swobód, znacznie pogorszą się. W kwestiach związanych z nieudaną ucieczką, należy stwierdzić iż brak jest jednoznacznych dowodów na to, że ucieczka została wydana przez przeciwników politycznych Becka. Tacy byli oczywiście w Bukareszcie, oferowali nawet takie działania rządowi, na co jednak nie otrzymali zgody. Należy więc przyjąć, że decydujące o niepowodzeniu ucieczki było „włączenie się” rumuńskich służb w akcję, już w momencie jej przygotowywania. To przekreślało z góry wszelkie jej szanse, chyba żeby przyjąć

64. *Ibidem*.

65. T. Dubicki, Ekspozytura „R” w Bukareszcie (grudzień 1939 – październik 1940), *Mars*, Nr 1/1993, s. 79-84.

66. AMAE, fond 71/1939 E.9, vol. 75, k. 313.

67. T. Dubicki, „Likwidacja polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w Rumunii” – 4 listopada 1940 r., *Teki Historyczne*, t. XX, Londyn 1993, s. 340-350.

hipotezę o braniu pod uwagę możliwości „puszczenia” ucieczki z chwilą, gdyby okazało się, że Niemcy stracili swoje pierwszorzędne zainteresowanie losami byłego ministra spraw zagranicznych R.P. Zwraca też uwagę nieznana dotychczas z nazwiska osoba por. Iona Ioachimescu „wiarołomnego Rumuna”, dla którego, co trzeba zaznaczyć, sytuacja w której znalazł się, była bez wyjścia. Niezależnie bowiem od cech osobowych musiał prowadzić grę, w której uczestniczył bez własnej inicjatywy, przynajmniej na samym początku.

Tadeusz DUBICKI

Andrzej GRZYWACZ

POLSKI PLAN OPERACYJNY „WSCHÓD” A PLANOWANIE SOWIECKIE W 1939 r.

W drugiej połowie lat trzydziestych GISZ oraz Sztab Główny pochłonięte były konstruowaniem planu wojny z ZSSR. Ważną częścią planu musiało być określenie możliwych kierunków zagrożenia ze strony Armii Czerwonej. W dokumencie III Oddziału SG z września 1938 r. zawarto różne ewentualności działań ofensywnych nieprzyjaciela. Zakładano, że Rosja mogła zaatakować sama bądź wspólnie z Litwą. Uderzenie skierowanoby przeciwko Polsce i Rumunii, bądź również przeciwko krajom bałtyckim. Przyjmowano jako prawdopodobne następujące kombinacje uderzeń:

1. Wysiłek główny na północ od Polesia:

- a) *gros sił z rej. Mińsk – Słuck na Baranowicze, a dalej na Wołkowysk lub Prużanę;*
- b) *gros sił z rej. Mińska lub Połock – Lepel na Wilno i Lidę;*
- c) *gros sił z rej. Połocka w celu głębokiego obejścia przez Dźwińsk i Litwę.*

2. Wysiłek główny na Polesiu:

- a) *gros sił w kier. na Łuniniec – Brześć;*
- b) *gros sił w kier. na Sarny (możliwe współdziałanie z*

uderzeniem na Równe, wtedy jako cel wspólny – Kowel).

3. Wysiłek główny na południe od Polesia:

a) *gros* sił z rej. Zastaw – Płoskirów w kier. na Krzemieniec (Wiśniowiec) – Brody i Tarnopol;

b) *gros* sił z rej. Zviahel – Szepetówka na Równu – Dubno bądź Łuck;

c) *gros* sił z rej. Jarmolińce – Dunajowce w kier. na Tarnopol – Buczacz i dalej Halicz.

Liczono się również z ewentualnością działania grup kawaleryjskich i pancerno-motorowych:

1. z rej. Mińska:

a) na Baranowicze – Lidę bądź Szczarę dolną;

b) na Mołodeczno – Lidę bądź Mołodeczno – Wilno.

2. z rej. Zastaw – Szepetówka;

a) na Wiśniowiec – Brody i dalej w kier. Lwowa bądź Kowla;

b) na kier. Równe – Kowel¹.

Ostatecznie w planie „Wschód” przyjęto możliwość wykonania przez nieprzyjaciela głównego wysiłku na froncie północnym z Białorusi przez Baranowicze, Białystok na Warszawę, lub południowym z Ukrainy przez Wołyń na Warszawę. Pomocniczego uderzenia spodziewano się na kierunku Płoskirów – Lwów². Studia inspektorów armii i generałów do prac przy GISZ pozwalały dokładniej sprecyzować możliwe kierunki działania nieprzyjaciela. Studium działań GO „Postawy” wskazywało na możliwość operacji sowieckich wojsk w dwóch korytarzach: postawskim (Głębokie – Postawy – Wilno) i brasławskim (Dryssa – Brasław – Święciany). Nieprzyjaciel skoncentrowany w rej. Połock-Lepel miał kilka możliwości działania:

1. III Oddział SG, Samodzielny Referat Ogólny, „Plan poszukiwania wiadomości”, 1 IX 1938 r., AIPMS, A.II.26 A/52. Autor dziękuje p. Andrzejowi Suchcitzowi za pomoc w dotarciu do wspomnianego dokumentu.

1. Główny wysiłek powinien zostać wykonany w korytarzu postawskim, przy osłonięciu się od północy.

2. Do korytarza postawskiego zostałyby skierowane siły pancerno-motorowe, piechota operowałaby natomiast w korytarzu brasławskim z wspólnym zadaniem uderzenia na Wilno od północnego-wschodu.

3. Siły operujące w korytarzu postawskim mogły uderzyć na południe, celem połączenia się z jednostkami operującymi w korytarzu mołodeczańskim.

4. Gdyby nieprzyjaciel wprowadził do walki kilkanaście wielkich jednostek mógłby z jednakową siłą operować w obu korytarzach, wysyłając ponadto duże siły do korytarza mołodeczańskiego³.

Dużą wartość dla odtworzenia poglądów kierownictwa Wojska Polskiego miały studia gen. Sosnkowskiego, dotyczące działań Armii „Polesie”. Generał uważał, że na Polesiu środkowym należy liczyć się z 4 dywizjami piechoty nieprzyjaciela w pierwszych dniach wojny, z możliwością ich wzmocnienia przez dalsze 2-4 dywizje piechoty z garnizonów położonych najbliżej. Łącznie przeciwko Armii „Polesie” przeciwnik mógł rzucić 7-9 dywizji piechoty, 1 dywizję kawalerii i 1 brygadę zmechanizowaną w pierwszych dniach walki. We wstępnym okresie działań główny wysiłek Armii Czerwonej na froncie poleskim mógł się zaznaczyć na południowym skrzydle armii, t.j. na odcinku umocnionym Sarny, gdzie nieprzyjaciel uderzyłby w celu załamania umocnień poleskich, flankujących wszelki ruch wymierzony w Armię „Wołyń”. Na środkowym Polesiu (odcinek Łuniniec) prowadzono by działania wiążące i rozpoznawcze, natomiast na skrzydle północnym (odcinek Hancewicze) – działania flankujące wzdłuż szosy słuckiej, bądź na Baranowicze⁴.

2. „Zarys dziejów wojskowości polskiej w latach 1864-1939”, Warszawa 1990, s. 612.

3. Sosnkowski, „Plan operacyjny d-cy GO ‘Postawy’”, CAW, GISZ, 302.4.316; Sosnkowski, „Plan niszczeń i zapór”, CAW, GISZ, 302.4.316.

4. „Notatka dla Pana Inspektora Armii gen. broni Sosnkowskiego w sprawie możliwości użycia i rozwinięcia sił ros. na Polesiu Środkowym”, 1938 (?), CAW, GISZ, 302.4.345; Gen. K. Sosnkowski,

Dla zweryfikowania poglądów strony polskiej celowym będzie zaprezentowanie koncentracji sowieckiej w 1938 r., podczas kryzysu sudeckiego oraz we wrześniu 1939 r., przed wybuchem wojny z Polską. W czerwcu 1938 r. kijowski i białoruski okręgi wojskowe przekształcono w specjalne okręgi wojenne i przystąpiono do formowania sześciu grup armijnych: żytomierskiej, winnickiej, odeskiej, kawaleryjskiej, witebskiej i bobrujskiej z zadaniem osiągnięcia gotowości do 1 września. Narastanie napięcia politycznego spowodowało podjęcie decyzji o postawieniu w stan pełnej gotowości bojowej najpierw Winnickiej i Żytomierskiej, a następnie również Witebskiej i Bobrujskiej Grupy Armijnej. W skład Winnickiej Grupy Armijnej, skoncentrowanej w rej. Płoskirowa, weszły 3 dywizje piechoty, 3 dywizje kawalerii, 4 brygady pancerne i 1 brygada zmechanizowana. Żytomierska Grupa Armijna rozśrodkowała się na zachód od Żytomierza, mając w swoim składzie 7 dywizji piechoty i 3 dywizje kawalerii. Na północ od Polesia, w rej. Mińska zajęła pozycje Bobrujska Grupa Armii, z 3 dywizjami piechoty, 3 dywizjami kawalerii i 1 brygadą pancerną. Wreszcie w rej. Połock – Lepel przygotowała się do operacji Witebska Grupa Armijna, licząca 3 dywizje piechoty, 1 dywizję kawalerii i 2 brygady pancerne. Do sił tych dołączyć miała dodatkowa dywizja przerzucona z Kalinińskiego Okręgu Wojskowego. Łącznie siły te liczyły 10 dowództw korpusów lub równorzędnych, 17 dywizji piechoty, 10 dywizji kawalerii, 7 brygad pancernych i 1 brygada zmechanizowana, tworząc pierwszy rzut wojsk. W drugim rzucie znalazło się 30 dywizji piechoty, 6 dywizji kawalerii, 2 korpusy pancerne i 15 brygad pancernych⁵.

We wrześniu 1939 r. wojska sowieckie przygotowały się do zajęcia wschodnich obszarów II Rzeczypospolitej na mocy

„Plan działań wstępnych Armii Polesie”, 1 VIII 1938 r., CAW GISZ, 302.4.340; Gen. K. Sosnkowski „Studium obrony odcinka ‘Łuniniec’. Studium na obszarze Polesia. II. Odcinek ‘Łuniniec’. część pierwsza – opisowa”, 1937 r., CAW, GISZ, 302.4.333; Gen. K. Sosnkowski, „Studium obrony odcinka ‘Łuniniec’. Studium na obszarze Polesia. II. Odcinek ‘Łuniniec’. Warunki działań obronnych”, 1937 r., CAW, GISZ, 302.4.333.

5. M. Zgórniak, „Europa w przededniu wojny”, Kraków 1993, s. 224-226.

tajnego protokołu do układu niemiecko-sowieckiego. Niemal natychmiast po sygnowaniu dokumentów Stalin zlecił marsz. Woroszyłowowi uzupełnienie przeznaczonych do tego celu jednostek rezerwistami i odpowiednim zaopatrzeniem. Posunięcia te, zmierzające do postawienia części sił Armii Czerwonej w stan gotowości bojowej, zamierzano realizować pod pretekstem ćwiczeń wojskowych. Zamaskowaniu rzeczywistych intencji miało również służyć oświadczenie agencji TASS z 31 sierpnia, oznajmujące o wzmocnieniu nadgranicznych garnizonów wojskowych spowodowanym zaostrzającą się sytuacją polityczną w Europie⁶. 1 września Rada Najwyższa wprowadziła w ZSSR powszechny obowiązek służby wojskowej, obejmując nim dotychczas wykluczonych przedstawicieli „klas wyzyskiwaczy, elementy pasożytnicze i osoby karane za przestępstwa polityczne”, zaś następnego dnia uchwalony został dekret o powszechnej mobilizacji⁷. 3 września marsz. Woroszyłow wydał dyrektywę nakazującą podwyższenie gotowości bojowej w sześciu okręgach wojskowych: Białoruskim i Kijowskim Specjalnych oraz Leningradzkim, Kalinińskim, Charkowskim i Moskiewskim⁸. W ślad za tym poszedł rozkaz wykonawczy LKO (6 września), nakazujący wszystkim jednostkom oraz instytucjom wojskowym przystąpić do „Wielkich manewrów” według litery „A”, plan nr 22 w Białoruskim Specjalnym, Kijowskim Specjalnym, Leningradzkim, Kalinińskim, Moskiewskim, Orłowskim oraz Charkowskim Okręgu Wojskowym. Początek ćwiczeń wyznaczono na 7 września. Faktycznie dyspozycja ta oznaczała rozpoczęcie niejawnej mobilizacji kartkowej⁹. Już poprzedniego dnia dowódca lotnictwa Białoruskiego Specjalnego Okręgu Wojskowego zarządził stan podwyższonej gotowości bojowej oraz przygotowanie się do

6. C. Grzelak, „Dziennik sowieckiej agresji wrzesień 1939”, Warszawa 1994, s. 11-12, 69; C. Grzelak, S. Jaczyński, E. Kozłowski (wyd.), „Agresja sowiecka na Polskę 17 września 1939 w świetle dokumentów”, t. 1 „Geneza i skutki agresji”, Warszawa 1994, s. 19.

7. Grzelak, Jaczyński, Kozłowski, „Agresja sowiecka...”, t. I, s. 19; Grzelak, „Dziennik...”, s. 70.

8. Grzelak, „Dziennik...”, s. 12, 71-72.

9. Grzelak, Jaczyński, Kozłowski, „Agresja sowiecka...”, t. I, s. 19; Grzelak, „Dziennik...”, s. 74.

mobilizacyjnego rozwinięcia. Część eskadr i pułków zdecydowano się przenieść na nowe lotniska a *gros* lotnictwa myśliwskiego postawiono w stan gotowości bojowej nr 2¹⁰. 7 września Woroszyłow wydał kolejną dyrektywę, nakazującą koncentrację wydzielonych jednostek do działań przeciwko Polsce. W myśl nadesłanych z dowództw okręgów wojskowych rozkazów wielkie jednostki sowieckie rozpoczęły koncentrację¹¹. Odbywało się to w atmosferze bałaganu organizacyjnego, znacznych opóźnień, chaosu i poważnych braków materiałowych. Wobec opóźnień, dowództwo Armii Czerwonej zdecydowało się wprowadzić do akcji w chwili rozpoczęcia działań zbrojnych całość posiadanych wojsk szybkich oraz pierwszorzutowe dywizje piechoty, wcześniej już zmobilizowane i gotowe do podjęcia walki. Stąd granicę polsko-sowiecką przekroczyły w większości nie pełne związki operacyjne, lecz doraźnie sformowane grupy uderzeniowe. Całością sił dysponowały na wstępie jedynie Grupa Konno-Zmechanizowana Frontu Białoruskiego oraz 12 A Frontu Ukraińskiego. Kolejne dni miały przynieść systematyczne wzmacnianie pierwszego rzutu operacyjnego jednostkami drugiego i trzeciego rzutu. 17 września siły Armii Czerwonej rzucone przeciwko Polsce liczyły 466.516 żołnierzy (265.714 żołnierzy Frontu Ukraińskiego i 200.802 żołnierzy Frontu Białoruskiego). U schyłku działań wojennych efektywność wojsk sowieckich zwiększyła się aż do około 1.600.000 żołnierzy, 9.140 dział i moździerzy, około 6.200 czołgów oraz minimum 1.800 samolotów, skoncentrowanych w 2 frontach, 9 armiach (lub równorzędnych), 28 korpusach (lub równorzędnych), 55 dywizjach piechoty, 13 dywizjach kawalerii, 19 brygadach pancernych, 4 brygadach piechoty i zmotoryzowanych karabinów maszynowych, oraz około 15 brygadach lotniczych¹².

10. Grzelak, „Dziennik...”, s. 73.

11. Grzelak, Jaczyński, Kozłowski, „Agresja sowiecka...”, t. I, s. 19; Grzelak, „Dziennik...”, s. 12, 75.

12. Grzelak, Jaczyński, Kozłowski, „Agresja sowiecka...”, t. I, s. 19-20, 133-137, 145-147, 149-153, 165-168; Grzelak, „Dziennik...”, s. 12-13, 15, 74, 78-84, 87-89, 91, 99-101, 105, 108-109. Według innych danych wojska pancerne ZSSR skierowane do działań w Polsce liczyły

11 września podjęto decyzję o utworzeniu do operacji przeciwko Polsce dwóch frontów: Ukraińskiego i Białoruskiego¹³.

1. Front Ukraiński składał się z czterech armii i samodzielnego korpusu. Na czele wojsk frontu stał komandarm I ranga Timoszenko (szef sztabu – komdiw Nikołaj Watutin). Wojska frontu liczyły 4 dowództwa armii, 17 dowództw korpusów, 28 dywizji piechoty, 7 dywizji kawalerii, 10 brygad pancernych, 2 brygady piechoty i zmotoryzowanych karabinów maszynowych, oraz około 9 brygad lotniczych.

– *13 A* (Odeska Grupa Wojsk) skoncentrowała się na pograniczu rumuńskim i tworzyła równocześnie odwód frontu;

– *12 A* (Południowa lub Kamieniecko-Podolska Grupa Armii; komandarm II ranga Iwan Tiuleniew) miała unieemożliwić oddziałom polskim wycofywanie się do Rumunii i na Węgry, dzięki zdobyciu Podola i szybkiemu rozwinięciu działań w kierunku Przemyśla; początkowo siły *12 A* powinny nacierać na Czortków i Stanisławów; dla sprawnego zrealizowania postawionych przed nią zadań armię utworzono wyłącznie z jednostek kawaleryjskich i pancerno-motorowych; rejon koncentracji wojsk wyznaczono na obszarze Husiatyn-Kamieniec Podolski – Nowa Uszyca – Jarmolińce;

6 A (Winnicka lub Wołoczyska Grupa Armijna; komodor Filipp Golikow) wyznaczono ogólny kierunek uderzenia wzdłuż osi Tarnopol – Lwów – dolny bieg Sanu; armia miała

co najmniej 2.219 wozów bojowych w składzie Frontu Ukraińskiego (najpewniej jednak około 2.900 sztuk) oraz 1.900 wozów bojowych w składzie Frontu Białoruskiego (najpewniej około 2.700 sztuk) – łącznie dawało to 5.600 wozów bojowych. Do tego prawdopodobnie należy doliczyć bliżej nie sprecyzowaną liczbę wozów wchodzących w skład postawionych w stan gotowości bojowej jednostek odwodu Naczelnego Dowództwa, J. Magnuski, M. Kołomiejec, „Czerwony Blitzkrieg”, Warszawa 1994, s. 65-66, 74, 85.

13. Grzelak, Jaczyński, Kozłowski, „Agresja sowiecka...”, t. I, s.19; Grzelak, „Dziennik...”, s. 12.

uderzyć na Włodzimierz Wołyński, Lwów oraz Drohobycz; jako rejon koncentracji określono obszar Kupiel – Satanów – Płoskirów;

5 A (Północna, Żytomierska lub Szepietowska Grupa Armijna; komdiw Iwan Sowietnikow) zlecono uderzenie w ogólnym kierunku na Równe – Łuck – Hrubieszów– Lublin – Puławę; główny wysiłek należało skupić na lewym skrzydle; zdobywając do końca 17 września rejon Równe – Dubno, a do końca 18 września rejon Łucka; koncentracja wojsk powinna się odbyć w rejonie Nowogród Wołyński – Sławuta – Szepietówka;

XV *Samodzielny KStrz* (komdiw Piotr Fiłatow) miał rozwinąć operacje na południe od Prypeci, uderzając w kierunku Dawidgródek – Kamień Koszyrski – Szack; rejon koncentracji wojsk korpusu wyznaczono w obszarze Perga – Olewsk – Białokorowicze¹⁴.

2. *Front Białoruski* składał się z czterech armii, grupy konno-zmechanizowanej i samodzielnego korpusu. Na czele frontu stał komandarm II ranga Michaił Kowalow (szef sztabu – komdor Maksim Purkajew). W skład wojsk frontu weszło łącznie 5 dowództw armii, 11 dowództw korpusów, 27 dywizji piechoty, 6 dywizji kawalerii, 9 brygad pancernych, 2 brygady piechoty i zmotoryzowanych karabinów maszynowych, oraz około 6 brygad lotniczych.

XXIII *Samodzielny KStrz* (komdiw Stiepan Akimow) działać miał na lewym skrzydle 4 A, zapewniając we współdziałaniu z Dnieprzańską Flotyllą Wojenną (kpt. I ranga Grigorij Czubanow) łączność z Frontem Ukraińskim.

4 A (komdiw Wasilij Czujkow), sformowana z Bobruj-

14. Grzelak, Jaczyński, Kozłowski, „Agresja sowiecka...”, t. I, s.20-21; Grzelak, „Dziennik...”, s. 14, 86, 102-103; Zgórniak, „Europa...”, s. 520-522; S. Sztemienko, „Sztab Generalny w latach wojny”, Warszawa 1969, s. 22-23; R. Szubański, „Plan operacyjny ‘Wschód’”, Warszawa 1993, s. 52-57.

skiej Grupy Armijnej, miała opanować główne ośrodki administracyjne Polesia na północ od Prypeci – początkowo uderzając na Baranowicze i wychodząc na rubież Snów – Żylicze, a następnie zdobywając Kobryń; następnie armia winna ruszyć na Brześć;

– 10 A (komkor Iwan Zacharkin), formowała się na bazie wojsk Moskiewskiego OW i 17 września nie osiągnęła gotowości bojowej; weszła do działań poszczególnymi jednostkami od trzeciego dnia agresji, wzmacniając natarcie Dzierżyńskiej Grupy Konno-Zmechanizowanej oraz 11 A;

Dzierżyńska Grupa Konno-Zmechanizowana (komkor Iwan Bołdin) skoncentrowała się na południowy-zachód od Mińska. Otrzymała zadanie opanowania Puszczy Nalibockiej, zdobycia rejonu Nowogródek-Wołkowysk i wyjścia nad rzekę Mołczadź, dalej powinna operować na kierunku Białystok-Warszawa;

– 11 A (komdiw Nikifor Miedwiediew) sformowana została z Lepelskiej Grupy Armijnej; otrzymała zadanie uderzenia w kierunku Lida – Grodno – Ostrołęka; w pierwszym rzucie działała Grupa Mińska komdiwa Jakowa Czerewiczenki, z zadaniem uderzenia na Wołożyn – Lida, opanowania rubieży Oszmina – Iwie, a następnie wsparcia działań Grupy Połockiej i nacierania na Grodno;

– 3 A (komkor Wasilij Kuzniecowa), sformowana została z Witebskiej Grupy Armijnej, miała działać w celu opanowania Wileńszczyzny, wydzielona Grupa Połocka uderzyłaby w ogólnym kierunku na Święciany – Michaliszki, a po zajęciu obu miejscowości nacierać w kier. Wilna¹⁵.

Andrzej GRZYWACZ

15. Grzelak, Jaczyński, Kozłowski, „Agresja sowiecka...”, t. I, s. 20-21; Grzelak, „Dziennik...”, s. 12-14, 94-96; Szubański, „Plan...”, s. 52-57; Zgórniak, „Europa...”, s. 520-522.

Eleasar J. FEUERMAN

MOI LWOWSCY PROFESOROWIE

W nocy z 3 na 4 lipca 1941 roku, a więc w dwa dni zaledwie po wkroczeniu armii niemieckiej do Lwowa, aresztowano profesorów wyższych uczelni lwowskich, po czym, po kilku zaledwie godzinach, rankiem 4 lipca – poza jedynym profesorem pediatrii Franciszkiem Groërem, którego zwolniono – wszystkich rozstrzelano. Aresztowań i egzekucji dokonali Niemcy w towarzystwie kilku Ukraińców.

Większość zabitych w tym dniu profesorów stanowili profesorowie medycyny a spośród innych liczną stosunkowo grupę – profesorowie lwowskiej politechniki. Łącznie z aresztowanymi członkami rodzin profesorów oraz osobami przypadkowo obecnymi w ich mieszkaniach rozstrzelano 4 lipca 41 osób. Do tej liczby należy dodać aresztowanego już 2 lipca, a zabitego 26 lipca kilkakrotnego premiera Polski, prof. Kazimierza Bartla, oraz dwóch profesorów Akademii Handlu Zagranicznego, aresztowanych 11 lipca i zamordowanych nieco później. Liczba ofiar tej akcji wynosiła więc 44, w tym 25 profesorów oraz 19 innych osób, w tym 5 kobiet.

Profesorów aresztowano w ich mieszkaniach i Niemcy posługiwali się dokładną listą nazwisk z ich adresami. Jakie były kryteria, które służyły do sporządzenia tej listy? Musiała być przygotowana już na długo przedtem, ponieważ zawierała także nazwiska dwóch profesorów, którzy w międzyczasie

zmarli – dermatologa Leszczyńskiego i okulisty Bednarskiego. Nie są to jedyne pytania, które w tej sprawie pozostały do dziś nie wyjaśnione. W każdym razie gestapowiec Walter Kutschmann przesłuchujący p. Karolinę Lanckorońską, która z ramienia RGO (Rady Głównej Opiekuńczej) usiłowała wyjaśnić los aresztowanych profesorów (nie wiadomo wtedy jeszcze, co się z nimi stało), na pytanie, skąd Niemcy mieli spisy skazanych, odpowiedział: „Oczywiście od ukraińskich studentów”. Wydaje się to prawdopodobne, a nieproporcjonalnie duża liczba profesorów medycyny wskazywałaby na to, że byli to chyba głównie studenci medycyny.

Wśród zabitych profesorów wielu znałem osobiście, a wszystkich przynajmniej „z widzenia”, z miejsc przeznaczonych dla słuchaczy ich wykładów. Byli to wybitni uczeni, wielu z nich o światowej sławie.

Ostatnie lata przedwojenne nie były dla studentów Żydów we Lwowie, podobnie jak zresztą w Polsce, w ogóle zbyt „przyjemne”. Nieustające awantury organizowane przez „Młodzież Wszechpolską” (we Lwowie nie było ONR-u i MW spełniała w tej dziedzinie jego funkcję), tzw. „dni bez Żydów”, w których nie dopuszczano Żydów do obecności na uniwersytecie, częste wypadki pobicia studentów-Żydów – utrudniały studia. Wszystkie te awantury stały się pretekstem do zarządzenia o „geticie ławkowym”, którego wprowadzenie miało zdaniem członków senatu akademickiego, przez wypełnienie żądań prawicowych studentów, zapobiec dalszym awanturom i zapewnić normalny tok wykładów nieustannie przez te awantury zakłócany.

We Lwowie getto ławkowe wprowadzono dopiero po dłuższej walce wewnątrz senatu akademickiego. Rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza był w tym czasie profesor Stanisław Kulczyński, który na jego wprowadzenie zgodzić się nie chciał i długo, z dużą odwagą, żądaniom innych profesorów się opierał. Był też niepokojony i dręczony nie tylko przez studentów, ale również przez niektórych swoich kolegów – profesorów. Mimo to, przeciwstawiał się nieugięcie żądaniom innych członków senatu. Zmuszono go do ustąpienia i podjęto uchwałę o wprowadzeniu getta. Następnym rektorem został profesor archeologii Bulanda.

Oczywiście, wprowadzenie getta niczego nie rozwiązywało, przeciwnie, skoncentrowanie Żydów w przeznaczonych dla nich dwu ostatnich ławkach po lewej stronie mogło tylko ułatwić bojówkom ich zadanie, wskazując, gdzie znajdą bez trudu wszystkich ich razem. Nie dając się zepchnąć do tego getta, odmówiliśmy zajęcia miejsc w tych ławkach, a ponieważ do innych nas nie dopuszczano (a zarządzenie rektora w zasadzie zabraniało nam z nich korzystać) wysłuchiwaliśmy wykładów na stojąco, także zawsze w grupie, bo chociaż, w razie napadu liczniejszej bojówki uzbrojonej w kastety i osławione żyletki na kiju, nie chroniło nas to przed nią, ale zawsze razem było różnie. Takie stanie na wykładach, w ustawicznym oczekiwaniu na zjawienie się bojówki, nie tylko było dość męczące, ale także nie przyczyniało się do optymalnej percepcji ich treści i korzyści wielkiej z tych wykładów nie mieliśmy. Jednakże staliśmy – poczuwaliśmy się do obowiązku tego protestu przeciwko upokarzającemu nas zarządzeniu rektora.

Zdarzyło się raz, że nasza koleżanka, Helena Göttlinger, fizycznie tego wysiłku nie wytrzymała i zaślabła, co widząc, jeden ze studentów-Polaków, Janusz Wójcikowski, ustąpił jej swego miejsca. Za ten rycerski gest długo na zapłatę nie czekał. Bestialsko pobity przez specjalnie w tym celu przysłaną bojówkę, z kilkunastoma szwami na głowie – nie licząc innych obrażeń – musiał spędzić dłuższy czas na leczeniu w szpitalu. Nie był to wypadek odosobniony – niedługo przedtem, chyba we wrześniu 1937, pobity został Roman Paduch za rozdawanie ulotek przeciwko antysemickim awanturom przy przyjęciach na medycynę. Nie oszczędzano także kobiet. Występująca w obronie koleżanek-Żydówek studentka Teresa Cisło pobita została do krwi, a Maria Fiderer zrzucona ze schodów. W maju 1938, za wystąpienie w obronie Żydów dotkliwie pobity (z wybiciem przednich zębów) został Jerzy Lerski, późniejszy „emisariusz Jur”, bohaterki kurier z polskiego Londynu do okupowanej Warszawy. Bojówką kierował jeden z najbardziej aktywnych działaczy antysemickiej akcji, student Jan Kornas, który jednakże w sądzie uczestnictwa w pobiciu Lerskiego się wyparł i z „braku dowodów” został zwolniony. Historia tego

pobicia miała zresztą nieoczekiwany dalszy ciąg. W czasie wojny Kornas przebywał w Warszawie i dowiedziawszy się tam, z konspiracyjnych źródeł, o przylocie Lerskiego z Londynu, usilnie się starał o spotkanie z nim. Opowiedział mi o tym sam Lerski, którego znałem już przed wojną, a który kilka lat temu był w Izraelu z okazji jakiegoś kongresu naukowego (był po wojnie profesorem historii współczesnej uniwersytetu w San Francisco). Lerski nie miał wówczas zamiaru z Kornasem się spotykać, bo obawiał się jakiejś prowokacji z jego strony. Na usilne nalegania „pośredników” zgodził się jednak i krótkie spotkanie odbyło się w tłumie przechodniów na Marszałkowskiej, przy czym „emisariusz Jur” zjawił się z obstawą, która miała w wypadku podejrzenia o prowokację użyć broni. Okazało się jednak, że Kornasowi chodzi właśnie o przeproszenie Lerskiego i wyrażenie skruchy. Było to dowodem zmiany jego poglądów (Lerski pisze o tym również w swoich wspomnieniach). Nie był to zresztą jedyny wypadek takiej ekspiacji w okresie okupacji. Jednakże w latach przedwojennych znaczna liczba studentów była pod wpływem skrajnej antysemitkiej propagandy, a bierność większości studentów ułatwiała bojówkarzom przeprowadzanie ich zadań.

Wprowadzenie getta ławkowego sytuacji więc nie poprawiło, przeciwnie, znacznie ją zaostrzyło. Na medycynie – podobnie jak i na politechnice lwowskiej, od dawna już stosowano *numerus clausus*. Zgodnie z tą zasadą nie powołaną żadnym, oficjalnym nakazem, nigdy nie przyjmowano na medycynę więcej kandydatów Żydów niż 10% ogólnej liczby studentów, niezależnie od tego, jakie byłyby inne umotywowane kryteria (np. zdolności kandydatów, dotychczasowe osiągnięcia w nauce, pracowitość, powołanie do wykonywania zawodu lekarza, walory moralne itd.) – gdyby istniały. Ale – w stosunku do Żydów – nie istniały. Jedynym kryterium było „10%”, jednakże przeważnie przyjmowano nawet nieco mniej Żydów niżby z zastosowania tego procentu wynikało. Co więcej, w ostatnim przedwojennym roku akademickim 1938/39, a więc już po wprowadzeniu, rzekomo rozwiązującego zagadnienie, getta ławkowego, przyjęto we Lwowie na pierwszy rok studiów

medycznych tylko 3 (troje) studentów, w tym jednego mężczyznę (syna dyrektora szpitala żydowskiego we Lwowie, dra Meiselsa) oraz dwie kobiety, również córki znanych lekarzy. Z tych trojga przyjętych – syn dra Meiselsa od początku roku akademickiego otrzymywał nieustannie anonimy, w których w bardzo poważny i przekonujący sposób grozono mu śmiercią, jeżeli się ze studiów nie wycofa („humanitarni” bojówkarze oszczędzili – chyba tylko na razie – obie kobiety, których nie szantażowano, niemniej bojkotowano je i starano się w inny sposób zatruć im życie). Sterroryzowany i zastraszonego ojciec wysłał go już po kilku tygodniach na studia do Anglii, dzięki czemu zapewne uchwalił się on przy życiu, może wbrew intencjom swoich prześladowców. Nie zrobili tego inni studenci Żydzi, którzy pomimo terroru usiłowali studia kontynuować.

Skutki nie dały na siebie długo czekać. Już w kilka tygodni po rozpoczęciu tego samego, ostatniego przed wojną roku akademickiego, zabity został, na uniwersyteckim terenie eksterytorialnym, student farmacji, Karol Zellermayer. Sprawcami mordu byli zapewne studenci, jak głosiła fama, przy użyciu skalpeli lekarskich. I znowu, w tym morzu nienawiści, pojedynczy akt szlachetny. Zaalarmowany hałasem docent fizjologii Bieliński wpadł pomiędzy bijących i z narażeniem własnego życia wyniósł na swoich plecach broczącego krwią Zellermayera spomiędzy wrogiego tłumu i zaniósł do pobliskiego Zakładu Fizjologii. To, niestety, Zellermayerowi życia już nie uratowało.

W tym samym Zakładzie Chemii Lekarskiej, przed którym zginął Zellermayer, odbywaliśmy wtedy ćwiczenia z chemii fizjologicznej (tak nazywano u nas biochemię). O niczym nie wiedzieliśmy, chociaż od wypadku minęło nie więcej chyba niż pół godziny, kiedy wychodziliśmy po ukończeniu ćwiczeń. Po wyjściu z budynku żadnych śladów tego, co zaszło, nie widzieliśmy. Natomiast w naszych domach już o tym wiedziano i rodzice nasi, ci, którzy mieszkali we Lwowie, przerażeni i zrozpaczeni, już zwoływali się na radę. Były głosy, żeby postąpić jak syn dra Meiselsa i zrezygnować ze studiów albo kontynuować je za granicą. Jednakże, w dużej mierze pod wpływem naszego, tzn. samych

studentów, stanowiska, przeważała opinia, że nie wolno poddawać się szantażowi, który nie będzie znał granic, jeżeli mu się raz ustąpi. Przy czym, oczywiście, ta decyzja obaw naszych rodziców nie zmniejszyła.

Moja matka, wraz z ojcem jeszcze jednego kolegi, postanowiła, jako delegacja naszych rodziców, udać się do rektora Bulandy z prośbą o interwencję i pomoc. Jednakże rektor zbył tę delegację dość obcesowo – biorąc pod uwagę straszny bądź co bądź wypadek morderstwa – i oświadczył, że niewiele może zrobić. Natomiast wojewoda lwowski, Alfred Biłyk przyjął delegację raczej uprzejmie, ale na prośby rodziców odpowiedział: „Czegoż państwo właściwie chcą, żebyśmy własne dzieci aresztowali?” W związku z tą odpowiedzią rozeszło się po Lwowie, że syn wojewody Biłyka brał udział w zabójstwie Zellermayera, co oczywiście żadnego uzasadnienia nie miało.

I wtedy matka moja wpadła na jeszcze jeden pomysł. W powiatowym mieście Tłumacz, w którym była lekarzem, komendantem policji w latach dwudziestych był p. Kozakiewicz, który, wraz z całą rodziną leczył się u mojej matki. *Image* policjanta bywa w oczach przeciętnego obywatela, z powodów często irracjonalnych, przeważnie niezbyt dodatni i często jest synonimem brutalności i prostactwa; zamiast widzieć w nim obrońcę przed niesprawiedliwością i przestępstwem, „prosty człowiek” widzi często właśnie sprawcę niesprawiedliwości, strażnika krzywdzących przepisów, człowieka pozbawionego „normalnych” ludzkich uczuć, twardego i nieubłaganego. To, co zapamiętałem o Kozakiewicz, było tego wszystkiego zaprzeczeniem. Ale może była to moja subiektywna, nieuzasadniona opinia, bo członkowie jego rodziny byli tzw. wdzięcznymi pacjentami mojej matki i – choć trudno mówić o przyjaźni – zawiązała się między nimi a moją matką jakaś więź wzajemnej sympatii. Gdzieś z początkiem lat trzydziestych do Tłumacza przeniesiony został dyscyplinarnie główny komendant policji we Lwowie (nazywało się to chyba „inspektor”) Reszczyński (zapewne ten sam, który był później naczelnym komendantem granatowej policji w Generalnym Gubernatorstwie i który wyrokiem sądu podziemnego skazany został na śmierć). W jego miejsce

inspektorem policji we Lwowie mianowany został właśnie Kozakiewicz – ktoś się widocznie na jego zaletach poznał. Od tego czasu minęło już kilka dobrych lat, w ciągu których żadnej łączności z przeniesioną do Lwowa rodziną Kozakiewiczów moja matka nie miała. Niemniej jednak, w tak wyjątkowej sytuacji postanowiła zwrócić się do niego, chociaż z dużymi oporami i z wielką treścią. Jak mi potem opowiadała, była zaskoczona nie tylko serdecznością, z jaką ją przyjął, ale także jego wyraźnym zmartwieniem i troską z powodu sytuacji na uniwersytecie. Wysłuchawszy wszystkiego, co miała mu do powiedzenia, po dłuższej chwili, z nutą szczerzego rozgoryczenia powiedział, że niestety jest bezradny, na eksterytorialnym terenie uniwersytetu działać nie może, a więc nie ma sposobu zapobieżenia awanturom i ekscesom. Widząc rozczarowanie matki (to była już trzecia, jak się wydawało, bezskuteczna próba), dodał po chwili: „Proszę mi jednak zostawić dokładny wykaz dni i godzin, w których syn pani ma odbywać ćwiczenia, zobaczę, co można będzie zrobić”. Bez większej nadziei przekazała mu wykaz ćwiczeń naszej grupy – odbywaliśmy te ćwiczenia wszyscy razem, to znaczy wszyscy Żydzi mojego roku, w tej samej grupie. Już następnego chyba dnia zauważyłem, że przed zakładami medycyny teoretycznej przy ul. Piekarskiej 52, dookoła ogrodzenia oddzielającego je od ulicy, a zwłaszcza od strony zakładu chemii, gdzie właśnie odbywaliśmy ćwiczenia, przechadza się po trotuarze tam i z powrotem, w godzinach naszych ćwiczeń, dwóch posterunkowych. Koledzy, którym zwróciłem na to uwagę, nie chcieli mi wierzyć, ale w ciągu następnych dni obecność policjantów się powtarzała. Co prawda, swój spacer odbywali przecież na zewnątrz eksterytorialnego dziedzińca zakładów, ale ich obecność na pewno działała hamująco na potencjalnych bojówkarzy: zakład chemii mieścił się blisko zewnętrznego chodnika i poprzez sztachety ogrodzenia można było z łatwością widzieć, co dzieje się na zewnątrz, a nawet rozpoznać ewentualnych awanturników. W ciągu tych paru tygodni mogliśmy więc spokojnie zakończyć nasze ćwiczenia. Do dziś pamiętam nasze wzruszenie i wdzięczność za ten szlachetny gest p. Kozakiewicza, nie odnotowany w żadnej kronice i nie znany

nikomu, poza drobną grupą studentów-Żydów – dzisiaj już tylko mnie i jeszcze jednemu koledze, jedynym pozostałym przy życiu z tamtych czasów.

Niestety, ta „ochrona” na tym się też skończyła. Był to jedyny, sporadyczny wypadek, który dotyczył tylko naszej grupy i to tylko w tym określonym terminie naszych ćwiczeń. Nigdzie indziej i nigdy więcej w ciągu tego ostatniego przedwojennego roku akademickiego nic podobnego się nie powtórzyło. Powody mogły być różne i nie jest moim zamiarem ich wyjaśnianie.

Podobnie też w tajemnicy zachowaliśmy inną sprawę, która również miała nas uchronić od losu Zellermayera. Otóż, pomimo naszych oporów, rodzice zmusili nas do noszenia w czasie obowiązkowych ćwiczeń, których nie można było opuścić, stalowych siatek pod ubraniami. Ślusarz, który te siatki na ich zamówienie wykonał, tak je obliczył, ażeby przez oka siatki nie mógł przeniknąć zbyt głęboko lekarski skalpel (Zellermayera zabito skalpelami). Siatki były wykonane prymitywnie, z grubej stali i bardzo uwierały pod marynarkami, trudno było w nich do końca ćwiczeń wytrzymać. Także „urządzenie” to uważaliśmy za zawstydzające i nikomu o tym nie wspominaliśmy.

Mogłoby się zdawać, że ta przerażająca zbrodnia wywoła jakiś wstrząs, uświadomi zbrodniarzom ohydę ich postępowania. Niestety, zaledwie w parę tygodni po śmierci Zellermayera zabity został student politechniki, Samuel Proweller, o którym ówczesna prorektor Politechniki Lwowskiej, p. prof. Alicja Dorabialska niedawno pisała: „W gmachu Chemii, na sali laboratoryjnej uderzeniem ciężkiego pręta metalowego zamordowano Żyda – wybitnie zdolnego chemika” (A. Dorabialska, w „Lwów i jego mieszkańcy”, *Przekrój*, wydanie specjalne, str. 23).

Również po zabójstwie Prowellera nie było spokoju na wyższych uczelniach Lwowa. Prawda, nie było na razie nowego morderstwa. Trzeba było na nie czekać „aż” do wiosny 1939, kiedy następną ofiarą padł z kolei znowu student politechniki, zabity na dziedzińcu uczelni, Markus Landesberg. Tak więc zaledwie kilka miesięcy przed wybuchem tragicznej dla Polski wojny, wywołanej przez

faszystom niemieckim, jego naśladowcy w Polsce nie zaprzestali swoich przestępczych praktyk.

Studiowanie w tych warunkach było koszmarem. W stałym napięciu, w ciągłym czekaniu na przyjście kolejnej bojówki, wysłuchiwanie „na stojąco” wykładów, często przy akompaniamencie obelżywych i upokarzających szyderstw, było trudną do zniesienia męką. Toteż w tym ostatnim przedwojennym roku coraz rzadziej na te wykłady przychodziliśmy.

Na medycynie lwowskiej tylko nieliczni profesorowie solidaryzowali się jawnie z działalnością bojówek; w zasadzie dotyczyło to głównie tylko jednego z nich, prof. K., o którym chodziły słuchy, że jest nawet w bezpośrednim z bojówkami związku. Inni, w mniejszym lub większym stopniu, byli tej działalności przeciwni, a wielu z nich, znając naszą sytuację, starało się nawet, w miarę swoich możliwości, nam pomagać. Udzielali więc nam bez trudu podpisów tzw. „frekwencji” w naszych indeksach, mimo że zdawali sobie sprawę, że w ostatnim okresie „stojących studentów” na wykładach przeważnie nie bywało. Nietrudno było to sprawdzić – po prostu wszyscy obecni grzecznie w ławkach siedzieli. Ale trudniejsza rzecz była z ćwiczeniami – te trzeba było odbyć obowiązkowo i bez tego dopuszczenie do egzaminu było niemożliwe.

Także w tej sprawie wielu profesorów przychodziło nam z pomocą. Pomimo licznych trudności, m.in. organizacyjnych, urządzano, specjalnie dla studentów-Żydów, ćwiczenia np. w okresie ferii wielkanocnych, a więc kiedy innych studentów na terenie uniwersyteckim nie było. Oczywiście robiono to „nieoficjalnie” i w sekrecie, i było to związane z tym, że nie tylko prowadzący ćwiczenia asystent, ale także personel techniczny (laboranci, woźni itp.) musieli z części swego wolnego czasu, albo przeznaczonego na inne cele, zrezygnować. Odbywały się wtedy te ćwiczenia konspiracyjnie, wchodziliśmy i wychodziliśmy tylnym wyjściem i po kryjomu. Był to, niestety, także rodzaj „getta”, ale przez nikogo nam nie narzuconego. Ustanowiliśmy sobie ten porządek sami, tylko na krótki czas ćwiczeń, a resztą innego wyjścia po prostu nie mieliśmy.

Nawet przy składaniu egzaminów korzystaliśmy czasami ze specjalnego dla całej naszej grupy terminu, zamiast przychodzić na egzaminy w terminie przeznaczonym dla ogólnych grup, rozrzucając pojedynczo w różnych grupach studenckich, gdzie byliśmy bardziej wystawieni na niebezpieczeństwo. Tak było na przykład z egzaminem z biologii u prof. Rudolfa Weigla, który, z dużą wyrozumiałością i zrozumieniem naszej sytuacji, zgodził się poświęcić swój cenny czas i przyjąć nas w specjalnym terminie. Z niektórych przedmiotów urządzaliśmy sobie kursy z udziałem asystentów z danej dyscypliny, które miały nam zastąpić wykłady, na które w pewnych okresach nie mogliśmy przychodzić. Ułatwiali nam te wszystkie sprawy, oprócz prof. Weigla, również m.in. tacy profesorowie, jak Loria (z fizyki), prof. Parnas i – wówczas adiunkt, a późniejszy profesor Baranowski i asystent Gibajło (z chemii), prof. Markowski, i wówczas docent, późniejszy profesor Marciniak (z anatomii), docent Bielański (z fizjologii). Z wdzięcznością wspominam ich gotowość pomocy i w ogóle ich stosunek do nas w tym niełatwym okresie.

Do jakiego stopnia dochodziło rozzuchwalenie studentów spod wiadomego znaku i ich bezkarność może świadczyć także następujący fakt. Po przejściu na emeryturę prof. Becka katedrę fizjologii objął prof. Mieczysław Wierzuchowski, który – jako nie lwowianin – nie był na tym terenie znany. Prof. Wierzuchowski miał ostrzejsze wymagania od studentów niż jego bardziej liberalny poprzednik, a że także program jego wykładów był inny, nic dziwnego, że już w pierwszym roku jego profesorskiej działalności wyniki egzaminów były fatalne, większość studentów drugiego roku medycyny uczyła się bardzo pilnie anatomii, natomiast pozostałym czterem obowiązującym do egzaminu przedmiotom, w tym fizjologii, poświęcano znacznie mniej czasu, licząc na to, że przy pewnym szczęściu egzamin się zda, a w najgorszym wypadku, w razie „obłania” można będzie egzamin powtórzyć po wakacjach, mając, po zdaniu najtrudniejszej anatomii, „wolną głowę” i podczas letnich wakacji czas do lepszego przygotowania się. Ale prof. Wierzuchowski na żartach się nie znał i to, co nastąpiło, było przerażające. Była to po prostu okropna „rzeź” i nie przy-

gotowana na to brać studencka była wstrząśnięta. Wśród „obłanych”, siłą rzeczy, było bardzo wielu tzw. „narodowców” – było ich w ogóle bardzo wielu na lwowskim uniwersytecie i to zwłaszcza właśnie na niższych latach, a szczególnie na medycynie oraz na technice. A może wielu z nich uczyło się fizjologii jeszcze mniej niż inni, bo byli zajęci czymś innym? W każdym razie „narodowcy” doszli do wniosku, że prof. Wieruchowski musi być Żydem („bo tępi narodowców”) i nawet wynaleźli mu nazwisko: miał się pierwotnie nazywać Landau. Była to oczywista bzdura. Ale na chodnikach i murach kamienic wzdłuż całej, długiej ulicy Piekarskiej, która wiodła do znajdujących się na jej końcu zakładów medycyny teoretycznej i którą codziennie przechodzili śpieszący na wykłady studenci, pojawiły się malowane przez szablonry z wyciętymi literami napisy: „Precz z szują Wieruchowskim” (dosłownie) i – drugiego hasła już dokładnie nie pamiętam – „Wieruchowski – Landau – Żyd”. Wieruchowskiego obrzucano obelgami, nie szczędzono też oszczerstw i kalumni. Ale Wieruchowski okazał się twardym do zgryzienia orzechem i szantażowi się nie poddał. Przekonany o słuszności swego stanowiska, swoich wymagań nie obniżył. Ktoś rozsądniejszy poradził widocznie w końcu uczestnikom tej akcji jej przerwanie.

W stosunku do Żydów jednakże takiej akcji nie przerwano; bezkarność bojówkarzy zachęcała ich do jej kontynuowania. Nigdy nikogo za nią nie pociągnięto do odpowiedzialności, jakkolwiek wiadomo było, kto ją prowadzi. Jedyny wypadek aresztowania, jaki pamiętam, dotyczył śledztwa w sprawie pobicia Wójcikowskiego, o którym wspomniałem – charakterystycznie chodziło tu o pobicie Polaka a nie Żyda, i do tego syna znanego działacza piłsudczykowskiego (chyba w przeszłości legionisty), który miał bardzo duże „chody” nie tylko we Lwowie, ale w samej Warszawie, i to on zresztą to aresztowanie spowodował. Takiej sprawy nie można było pozostawić bezkarnie. Toteż aresztowano trzech najbardziej na roku Wójcikowskiego aktywnych członków „Młodzieży Wszechpolskiej”, którzy musieli być w nią pośrednio albo bezpośrednio zaangażowani (ktoś przecież musiał Wójcikowskiego przynajmniej wskazać

bijącym, jeżeli nawet sam w tym biciu udziału nie brał). Wszystkich trzech zresztą szybko „z braku dowodów” zwolniono.

Muszę tu przytoczyć rzecz charakterystyczną, w związku z tym, co napisałem poprzednio o „ekspiacji” Jana Kornasa. Jednym z trzech aresztowanych w sprawie Wójcikowskiego był ówczesny student T.B. Był on jednym z najaktywniejszych „narodowców” na naszym roku. To on podchodził do stojących w proteście Żydów, ażeby ich zmusić do siedzenia w gettowych ławkach i w obelżywy, prowokujący sposób mówił: „Trzeba wykonywać zarządzenia rektora”, grożąc za ich niewykonanie akcją bojówkarską. Podejrzewaliśmy go zresztą, że to on, kiedy byliśmy obecni na wykładach, wzywa bojówkę z politechniki, ażeby przysłała zrobić z nami porządek. Taki był na ogół przyjęty sposób: ażeby nie rozpoznać sprawców, na medycynę przychodzili bojówkarze np. z politechniki i na odwrót. Chociaż nigdy wśród napadających na nas studenta T.B. nie widzieliśmy, ale nie opuścił on żadnej okazji, ażeby nas w sadystyczny sposób obrazić i poniżyć. Jak bardzo zaskoczyła mnie więc po wojnie wiadomość, że w czasie okupacji pomagał ukrywającym się Żydom i bezinteresownie wyrabiał im aryjskie papiery. Gdzieś w 1946 roku, kiedy byłem jeszcze w wojsku (a więc byłem w mundurze) zobaczyłem go niespodziewanie w Warszawie (a wiedziałem, że mieszkał wtedy na Dolnym Śląsku). Przeciskając się z trudem między stolikami w przepełnionej kawiarni Gajewskiego podszedłem do jego stolika. Zauważył mnie w ostatniej chwili i poznał od razu. Nie wiem, czego się spodziewał, ale widziałem, że zbladł. Ze wzruszeniem, ale także z jakąś dozą satysfakcji powiedziałem: „wiem, coście robili podczas okupacji, pozwólcie, że wam za to podziękuję”. B. nie mógł wydusić słowa, widziałem ulgę, z jaką usiadł z powrotem przy swoim stoliku, który zajmował, jeżeli pamiętam dobrze, z trzema paniami, które patrzyły na mnie ze zdumieniem. Nie mniej zdumiona była towarzysząca mi moja przyszła żona, która jeszcze o całej sprawie pojęcia nie miała.

W latach 1939-1941 Wydział Lekarski UJK został wyłączony z uniwersytetu i przemianowany na Instytut Medyczny. Personel wykładowczy – profesorowie i asystenci, ci,

którzy we Lwowie pozostali, nie byli na ogół przez Rosjan prześladowani, poza pojedynczymi wypadkami. Stosowano wobec nich czasami różne formy nacisku, ale stosunek nowych władz uczelni – zapewne na razie – był poprawny, a wobec wybitniejszych naukowców często bardzo dobry. Ale w czerwcu 1941 wybuchła wojna niemiecko-rosyjska. Dalszy ciąg historii jest znany.

Politykę eksterminacji wobec inteligencji polskiej rozpoczęli Niemcy w 1939 roku od profesorów uniwersytetu krakowskiego. W lipcu 1941 r., już w dwa dni po zajęciu Lwowa, aresztowano także wybitnych profesorów wyższych uczelni lwowskich. Ale dlaczego, tym razem, głównie profesorów medycyny? Czy naprawdę spisy przeznaczonych do egzekucji sporządzone zostały przez ukraińskich studentów? Sprawa ta, podobnie jak wiele innych związanych z tą zbrodnią, nie została nigdy do końca wyjaśniona. Ale jest ona niewątpliwie aktem świadomego planu Niemców, który miał na celu wyniszczenie polskiej inteligencji i pozbawienie Polski duchowych i moralnych przywódców. W swoim przemówieniu wygłoszonym w dniu 2 października 1940 roku w Berlinie Hitler powiedział: „...wszystkich przedstawicieli polskiej inteligencji należy zgładzić”. A generalny gubernator Frank, w przemówieniu do przedstawicieli SS i policji, powiedział 30 maja 1940: „Nie da się opisać, ile zawracania głowy mieliśmy z krakowskimi profesorami. Gdybyśmy tę sprawę załatwili na miejscu, miałaby ona całkiem inny przebieg. Proszę więc panów usilnie, by... podejmowali likwidację na miejscu...”. Instrukcja wyraźna, nie pozostawiająca wątpliwości co do jej intencji. Toteż w lipcu 1941 we Lwowie Niemcy zastosowali się do niej ściśle.

Moi lwowscy profesorowie! Po tylu latach jeszcze dziś nie mogę myśleć o nich bez bólu. Niemcy wymordowali sześć milionów Żydów, w tym nieomal wszystkich Żydów polskich. Zamordowali moją matkę i całą resztę rodziny, niemal wszystkich moich przyjaciół i znajomych. A przecież ta sprawa „zaledwie” 44 ofiar, w tym 25 profesorów ma swoją, nie mniej bolesną szufladkę w mojej pamięci.

Wśród zamordowanych profesorów był Tadeusz Ostrowski, wybitny chirurg lwowski, który był dziekanem Wydziału

Lekarskiego w tym roku, kiedy przyjęto mnie na medycynę. Myślę, że to właśnie jego głównie zasługą było, że dostała się wtedy na studia maksymalnie „dopuszczalna” liczba – 10% ogółu przyjętych. U prof. Ostrowskiego mieszkał w 1941 roku jego przyjaciel, Żyd dr Ruff, chirurg szpitala żydowskiego, ze swoją rodziną. Aresztując Ostrowskiego, aresztowali Niemcy, „przy okazji”, również Ruffa oraz jego syna, inżyniera, mimo że nie było ich na liście, którą się posługiwali. Wszyscy zostali w okrutny sposób zamordowani, przy czym młody Ruff, który w czasie aresztowania dostał ataku epileptycznego, w sposób szczególnie bestialski.

Uczonym cieszącym się zasłużoną sławą w swojej dziedzinie był profesor anatomii patologicznej, Witold Nowicki, autor podstawowego, 3-tomowego podręcznika, z którego uczyliśmy się do tego trudnego egzaminu. Z końcem lat trzydziestych prof. Nowicki był, z ramienia senatu akademickiego, opiekunem Towarzystwa Medyków Żydowskich (nazywało się to chyba „kurator”). Być może przyjęcie tej funkcji przez prof. Nowickiego mogłoby świadczyć w pewnej mierze o jego poglądach. „Godności” tej chyba przyjąć nie musiał, a w tych latach zapewne nie było łatwo to nasze Towarzystwo w senacie reprezentować. Pamiętam, jak na ostatnim chyba walnym zebraniu Towarzystwa jeden z naszych kolegów – lewicowiec L.G. wstał nagle przy „wolnych wnioskach” i nieoczekiwanie zaproponował przyjęcie rezolucji wyrażającej solidarność z „walczącą Hiszpanią”. Zebranie było poświęcone, jak zwykle, bieżącym sprawom Towarzystwa, sytuacji studentów żydowskich itp., żadnych ogólnych politycznych spraw nie omawiano. Na sali zapanowała konsternacja, obecni byli trochę zszokowani. Natomiast prof. Nowicki spokojnym, rzeczowym tonem powiedział: „Koledzy zdają sobie chyba sprawę, że i tak już moje zadanie jako opiekuna waszego Towarzystwa nie jest łatwe. Proszę mi wykonywania tego zadania, we własnym interesie, jeszcze nie utrudniać. Bardzo proszę o wycofanie tego wniosku”. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że intencją prof. Nowickiego było uchronienie naszego Towarzystwa przed atakami z różnych stron, a może nawet przed likwidacją, oraz przed wzmożoną akcją antyżydowską. Autorytet

profesora był tak wielki, że dalszej dyskusji na ten temat już nie było.

We wrześniu 1939 zmobilizowany syn profesora, również lekarz, został przez Rosjan wzięty do niewoli. Nieustanne wysiłki szanowanego nawet przez Rosjan uczonego o odzyskanie ukochanego syna przez długi czas żadnego skutku nie odnosiły. Ale z początkiem 1941 roku, na kilka zaledwie tygodni przed wybuchem wojny niemiecko-sowieckiej, 29-letni Jerzy Nowicki wrócił i podjął pracę jako starszy asystent Zakładu Higieny. Nie długo tą wolnością się cieszył. 3 lipca, aresztowany wraz ojcem, razem z nim został przez Niemców zamordowany.

Pierwszy w moim życiu wykład, na którym byłem obecny po przyjęciu na studia, wygłosił w ramach cyklu wykładów z „propedeutyki medycyny”, profesor medycyny sądowej, Włodzimierz Sieradzki. Do dziś pamiętam, jak stojąc przed tablicą wypisuje na niej słowa „*Elegans, odorans et ambidexter*” – co miało znaczyć, że taki powinien być lekarz – „elegancki, pachnący i na równi obiema rękami władający”. Było to pierwsze przykazanie dla wchodzących w progi medycyny adeptów sztuki lekarskiej. Nie byli tacy eleganccy ci, którzy go zamordowali. Nie wiedziano jeszcze, czym się ich wizyta w mieszkaniach profesorów skończy, ale już od początku zachowywali się, w najlepszym wypadku, arogancko i brutalnie, w wielu wypadkach okrutnie. O tym, że przy tej okazji rabowali, co mogli, pieniądze, biżuterię, po prostu wszystko, co pod rękę wpadło (w jednym wypadku nawet maszynę do pisania) nawet wspominać nie trzeba.

Prof. Jan Grek wykładał przez wiele lat propedeutykę chorób wewnętrznych i z dużym doświadczeniem i talentem wprowadzał przyszłych lekarzy w tę najważniejszą gałąź ich zawodu. W ostatnich latach był kierownikiem I Kliniki Wewnętrznej. Był autorem wielu prac naukowych z zakresu chorób serca i krwi oraz chorób zakaźnych.

Prof. Grek uczył nas podstaw fizykalnego badania chorych. Nawyki wpojone mi przez niego i jego asystentów pozostały mi do dziś w mojej codziennej praktyce lekarskiej. Był szwagrem Boya-Żeleńskiego, który u niego w czasie

pobytu we Lwowie mieszkał. Boya prawdopodobnie w spisie poszukiwanych profesorów nie było, ale Niemcy, „przy okazji”, razem z prof. Grekiem go aresztowali. Zginął więc razem z innymi.

Wybitnym uczonym, o międzynarodowej sławie, był profesor stomatologii Antoni Cieszyński. Profesorem mianowany został już w 1913 roku, a w 1914, dzięki niemu, powstał we Lwowie pierwszy Instytut Dentystyczny, przyłączony później, jako katedra stomatologii, do Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza. W czasie aresztowania profesora Niemcy i Ukraińcy zachowywali się brutalnie i m.in. nie pozwolili mu na zabranie ze sobą stale używanego leku nasercowego. Oczywiście rodzina nie wiedziała jeszcze o tragicznym celu aresztowania go, ale już, w ordynarny sposób, powiedziano obecnym w czasie aresztowania, że żadnych rzeczy nie trzeba zabierać, „bo nie będzie ich potrzebował”. Po aresztowaniu, już o 8-ej rano, żona profesora – za poradą przyjaciół – poszła do ratusza, gdzie zainstalowała się niemiecka żandarmeria polowa, ażeby dowiedzieć się o los męża. Zastępcą komendanta był tam pułkownik, który – jak się okazało – był stomatologiem i znał profesora (Cieszyński był dobrze znany w Niemczech, gdzie studiował, specjalizował się i brał udział we wspólnych kongresach). Pułkownik był zaskoczony i przerażony, kiedy dowiedział się, o co p. Cieszyńskiej chodzi i poradził, żeby udała się na Gestapo. Stamtąd ją po prostu wyrzucono. W połowie września 1941 zawiadomiono ją, że mąż umarł, nie wiadomo, z jakiego powodu. Dopiero wiele lat później dowiedziała się, że kiedy 4 lipca zabiegała o wiadomość o nim, męża już przy życiu nie było, zginął zamordowany natychmiast, wraz z innymi profesorami. Po latach ktoś, kto z daleka obserwował egzekucję, opowiedział, że widział, jak jeden ze skazańców, odpowiadający wyglądem prof. Cieszyńskiemu, prowadzony na egzekucję, w ostatniej chwili odwrócił się i coś gwałtownie do prowadzącego go mówił (Cieszyński znał świetnie niemiecki). Niemiec brutalnie mu przerwał i strzelił do niego tak jak do innych. Wszyscy wpadli w wykopany rów.

Z dwudziestu pięciu zamordowanych profesorów – dwunastu było profesorami medycyny. Spośród nich, oprócz

wymienionych wyżej, „moimi” profesorami byli również chirurg Władysław Dobrzaniecki, okulista Jerzy Grzędzielski i pediatra Stanisław Progulski. Wśród aresztowanych 3 lipca jedynym profesorem pochodzenia żydowskiego (nie licząc dr. Ruffa, który profesorem nie był i aresztowany został „przypadkowo”, bo mieszkał u prof. Ostrowskiego) był profesor chirurgii Henryk Hilarowicz. Pochodził ze znanej i zasłużonej rodziny uczonych, których protoplastą był Hilary Nusbaum, autor 5-tomowej „Historii Żydów”. Jego syn, Józef, słynny przyrodnik, był członkiem Polskiej Akademii Umiejętności i prezesem Polskiego Stowarzyszenia Przyrodników. Józef przeszedł na wiarę chrześcijańską i do nazwiska „Nusbaum” dołączył „Hilarowicz”, urobione od imienia ojca. Józef był ojcem Henryka, który podobnie jak jego brat Tadeusz używał już tylko nazwiska Hilarowicz.

Z aresztowanych i straconych w następnych dniach profesorów Akademii Handlu Zagranicznego tylko Henryk Korowicz, który do 1939 roku był rektorem tej uczelni, był również pochodzenia żydowskiego. Ale także i on używał swego poprzedniego nazwiska Kornreich tylko do końca pierwszej wojny światowej, po czym, przeszedłszy na wiarę chrześcijańską zmienił nazwisko na brzmiące nie po żydowsku i za Żyda powszechnie uważany nie był. W trakcie (bezowocnych zresztą) zabiegów o ukaranie winnych masakry, wśród głosów obrony w Niemczech Zachodnich używano m.in. argumentu, że w wypadku tej masakry profesorów chodziło o osoby pochodzenia żydowskiego. Charakterystyczne, że argumentu tego używali (niektórzy) Niemcy jako poniekąd „usprawiedliwiającego” mord, w tym sensie, że Żydów w ogóle zabijano, więc nic nadzwyczajnego nie zaszło, bo – tego należałoby się już domyślać – Żydów zabijać było wolno. Pomijając cały cyniczny wydźwięk tego „argumentu”, w świetle powyższych danych o pochodzeniu zabitych profesorów jasne jest, że był on zwykłym kłamstwem i bzdurą. Po zdecydowanych protestach przyznali to w końcu sami Niemcy (m.in. w artykule w *Die Welt* w 1974 r., w którym stwierdzono, że mordercom chodziło o akcję przeciwko polskiej inteligencji).

W roku 1964 na Placu Grunwaldzkim we Wrocławiu odbyła się uroczystość odsłonięcia pomnika zamordowanych

przez Niemców profesorów wyższych lwowskich uczelni. Odślonięcia pomnika dokonał prof. Stanisław Kulczyński, ten sam, który jako rektor UJK w 1938 roku tak zdecydowanie przeciwstawiał się wprowadzeniu getta ławkowego na uniwersytecie. Jednakże władze PRL nie zgodziły się na proponowany do umieszczenia na pomniku tekst napisu, w którym mieli być wymienieni imiennie zabici profesorowie. Skomponowany pod naciskiem władz nowy tekst głosił, że pomnik został wystawiony ku czci wszystkich naukowców polskich, zabitych i zmarłych w czasie okupacji. Lwowa w Polsce nie wolno było wtedy jeszcze, w powiązaniu z Polską i polską nauką, wymieniać. Jak się okazało, projekt wystawienia – po latach – pomnika analogicznego w samym Lwowie natrafił również na trudności, ponieważ władze tamtejsze uważały zabitych polskich profesorów za naukowców sowieckich (względnie ukraińskich), a nie polskich, na tej zasadzie, że kiedy zostali zabici, Lwów był (od niespełna dwóch lat!) pod okupacją sowiecką. Dopiero znacznie później zgodzono się we Lwowie na umieszczenie pomnika (ale tylko 11 profesorów medycyny) w pomieszczeniu zamkniętym, w Muzeum Medycyny, w gmachu Anatomii przy ul. Piekarskiej. *Nota bene* pomnik ten wykonany został przez rzeźbiarkę Luizę Sternstein, która mieszkała po wojnie przez kilkanaście lat we Lwowie (pochodziła z Odessy), a później wyemigrowała do Izraela.

W Polsce rodziny zabitych profesorów odczuły to jako krzywdę wyrządzoną ich pamięci. „Wszak Lwów poniósł największe straty! Kraków uczcił swoich profesorów, Warszawa też, tylko Ci ze Lwowa mają pozostać bezimienni!” – pisała p. Zofia Weiglowa, wdowa po zabitym profesorze Politechniki Kasprze Weiglu, w liście w tej sprawie.

Moim artykułem chciałem złożyć hołd ich pamięci.

Prof. Dr med. Eleasar J. FEUERMAN

DOKUMENTY

Aleksandr LEBIED'

ZMIERZCH IMPERIUM ALBO ODRODZENIE ROSJI*

Historia Rosji to historia słów. Socjalizm, kapitalizm, monarchia, republika, imperium, mocarstwo – to tylko etykiety jakie politycy przyklejali Rosji. Słowa się zmieniały, ale ziemia pozostawała. Związek Sowiecki się rozpadł. Czy można wydzieloną z niego Federację Rosyjską uważać za Rosję?

Rok 1917. Upadek monarchii, demagogia bolszewików, marksistowski raj. To – na powierzchni. Pod spodem – zjawisko o skali geopolitycznej: kryzys 200-letniego Imperium Rosyjskiego. Pierwszy na liście kryzysów XX wieku.

Imperia powstawały na całym świecie. Cała historia ludzkości to historia tworzenia imperiów. Pożerając słabego, silny zajmował jego terytorium razem z mieszkańcami. Iście ludożerczy zwyczaj: staniesz się silniejszy, jeśli zjesz pokonanego wroga. Zabór i przyłączanie cudzych terenów były prawem polityki aż do wieku XX. Tracono ogromne siły na

* Przekład z pisma *Sieгодня* nr 72 z 26.04.96.

utrzymanie tego, co zostało zagarnięte. Aż wreszcie, naderwawszy się, imperia upadły pod własnym ciężarem.

Początek XX wieku to brytyjskie i francuskie imperia morskie, kontynentalne zaś – to rosyjskie i osmańskie, „łaciate” austro-węgierskie. Przez dziesięciolecia panująca w imperium nacja usiłowała utrzymać nieuchronnie rozpadającą się całość – wydatkowała ogromne środki, poświęcała ludzi, traciła wartości moralne. Rosję najwięcej kosztował „polski koszmar” – stuletnia, nieustająca walka z polskim nacjonalizmem, tj. walka z narodem polskim, stale marzącym o oderwaniu się.

Ekspansja nie może być nieograniczona. Jeśli połknąłeś więcej, niż jesteś w stanie strawić, to albo zwymiotujesz, albo umrzesz w konwulsjach. Krach polityki imperialistycznej stał się jedną z głównych przyczyn upadku państwa rosyjskiego. Nieudana ekspansja wojenna na Dalekim Wschodzie doprowadziła do rewolucji 1905 roku. Do czego doprowadziła I wojna światowa, która była prowadzona pod hasłami zajęcia Konstantynopola i cieśnin, każdy wie. Mniej jest znane to, co stało się potem.

Rewolucja bolszewicka nie była momentem przełomowym w historii istnienia imperiów. Jak to często bywa z rewolucjami, wszystko obróciło się o 180 stopni w ciągu jednego dnia. Bolszewicy zaczęli rewolucję jako „defetyści”, jawni wrogowie państwa. Ale obalwszy stare państwo i stanąwszy na czele nowego, natychmiast stali się zagorzałymi imperialistami. Całą rosyjską wojnę domową można traktować jako wojnę bolszewicką o odbudowę imperium pod nową władzą.

Przed 1917 rokiem imperium ledwo dyszało. Kiedy zawaliło się jego centrum, od razu rozpadło się na dziesiątki drobnych kawałków. I to, co rosyjscy kniaziowie, carowie i imperatorzy zbierali przez długie 700 lat, bolszewicy ponownie zdobyli w ciągu 2-3 lat. W 1919 roku Rosja skurczyła się do rozmiarów Wielkiego Księstwa Moskiewskiego. Taka klęska imperium była absurdem. W rezultacie sprężyna geopolityczna rozprężyła się ze straszną siłą. I nawet ucieczka żołnierzy Tuchaczewskiego spod murów Warszawy nie przerwała tej tendencji. Ekspansja załamała się na Zachodzie,

ale rozwinęła w Azji Środkowej i na Dalekim Wschodzie. W 1924 roku imperium rosyjskie było już praktycznie odbudowane.

Bolszewicy nie wrócili jednak po prostu do polityki imperialnej. Oni nadali jej drugi oddech, dali jej nową ideologię.

Każde imperium jest kosmopolityczne. Na tym polega jego istota. No bo przecież czym jest imperium? Zjednoczeniem z pomocą siły różnych narodów, kultur, różnych terytoriów, a niekiedy także różnych państw. Bolszewicy doprowadzili ten kosmopolityzm do doskonałości. Internacjonalizm stał się oficjalną ideologią. Było to genialne rozwiązanie wszystkich problemów imperialnych. Narodowe peryferie poczuły się na jakiś czas nie jak muchy w pajęczynie, lecz jak małe pająki u siebie w domu. Teraz stało się modne krytykowanie leninowskiej polityki. Mówi się, że nie trzeba było odrzucać normalnego podziału na gubernie i tworzyć narodowe republiki. A wszystko to zrobiono w imię marksistowskich dogmatów.

To nieprawda. Bolszewicy wiedzieli, co robili. Narodowa i geopolityczna strategia bolszewików była trafna – sędzę, że najtrafniejsza z tego wszystkiego, co znajdowało się w arsenale KPZS. Chciałbym zobaczyć tego mądralę, który – podczas takiego rozprężenia – byłby w stanie ponownie okiełznać narodowe peryferia, nie podnosząc ich statusu w ramach imperium.

Republiki narodowe nie były tworzone w imię dogmatów. Przeciwnie, dogmaty zostały zaprzęgnięte do imperialistycznego wozu. Właśnie za pomocą maksymalnych praw, jakie miały republiki i ich elity, udawało się przez 70 lat utrzymać bez większych konfliktów narodowe peryferia imperium na napiętym, choć dość długim sznurze (o krajach bałtyckich nie mówię – one zawsze wyrywały się ze Związku).

Związek Sowiecki stał się nową i bardziej współczesną formą imperium. Życie jednak udowodniło, że także ZSSR się przeżył. Czy tego chcemy, czy nie – także nadszedł koniec imperium. Ten koniec tylko zewnętrznie jest związany z haniebną bezsilnością Gorbaczowa, ambicjami regionalnych elit, kryzysem gospodarczym. Przyczyna leżała gdzie indziej. Imperium rozpadło się nie tylko dlatego, że na jego czele stali

ludzie bez talentu i nie tylko dlatego, że jego ustrój ekonomiczny był nieefektywny. Imperium rozpadło się dlatego, że zegar imperialny zatrzymał się na całym świecie.

Poczynając od lat 50-tych rozpadały się imperia mocarstw – zwycięzców: Anglii, Francji. Upadek imperium to rzecz w historii normalna, nienormalne jest co innego: nowe imperia na ich resztkach już od ponad 40-tu lat nie powstają nigdzie na świecie. I nawet prób takich nie ma.

W XIX wieku takie „nowe giganty” jak – powiedzmy – Japonia, bezzwłocznie rozpoczęłyby ekspansję terytorialną na Dalekim Wschodzie. Dzisiaj tego nie ma. Czy tylko dlatego, że Japonia została rozbrojona w rezultacie wojny światowej? Ale nie ma nawet takiej ideologii w społeczeństwie japońskim. USA to – uznany przez większość państw – światowy hegemon. Żadne okoliczności zewnętrzne nie ograniczają amerykańskiej ekspansji terytorialnej. Takiej ekspansji jednak nie ma.

Dlatego, że w 2-giej połowie XX wieku bezpośrednią ekspansję terytorialną zastąpiła ekspansja ekonomiczna, technologiczna, kulturalna. Nikt nie dąży do budowania imperiów w tej postaci, w jakiej istniały one od czasów starożytnych do początku XX wieku. Hitlerowski ekspansjonizm terytorialny był ostatnim doświadczeniem bezpośredniej ekspansji geopolitycznej. Idea przeżyła się na całym świecie. Nadszedł czas państw narodowych.

Co krach imperium oznacza dla Rosji?

Kiedy ostatecznie uświadomimy sobie nieuchronne nadejście porządku postimperialnego, zmienimy prawie wszystkie priorytety w polityce wewnętrznej i zewnętrznej. Właściwie to już się zaczęło. Rosja zaczyna uważać się nie za kosmopolityczne (internacjonalistyczne) imperium, lecz za państwo narodowe.

Rosyjski pragmatyczny nacjonalizm (w odróżnieniu od romantycznego i agresywnego) nie zakłada dławienia praw innych narodów. Co więcej, nie ma podstaw rasowych. Szukanie czystej rasy w Rosji jest sprawą beznadziejną! Rozsądne, państwowe, pragmatyczne podejście, jest proste: kto mówi, myśli po rosyjsku, kto uważa się za część naszego kraju, dla kogo naturalne są nasze normy zachowania, myśle-

nia, kultury, ten jest właśnie Rosjaninem. Państwo rosyjskie powinno bronić interesów Rosjan, zarówno na arenie międzynarodowej, jak i wewnątrz kraju. Wewnątrz kraju nie powinno być dyskryminacji, która demoralizuje społeczeństwo, obcokrajowcy z bliskiej i dalekiej zagranicy powinni jednak pamiętać, że nie są w tym kraju gospodarzami, tylko gośćmi. Jeśli o tym zapominają, trzeba im przypominać. Takie podejście, moim zdaniem, jest bliskie i zrozumiałe dla każdego normalnego Rosjanina. Nie jesteśmy zarażeni szowinizmem – zresztą jaki to szowinizm, jeśli głównym szowinistą jest Władimir Wolfowicz! Powinniśmy jednak czuć się jak naród, mający swoje narodowe interesy.

Na arenie międzynarodowej pragmatyczny nacjonalizm oznacza, że Rosja powinna dokładnie wyjaśnić, że jak każde państwo narodowe nie dąży ona do terytorialnej ekspansji imperialnej ani na terenie dalekiej, ani bliskiej zagranicy. Rosja nie zamierza też płacić niewspółmiernej i nie na jej dzisiejsze siły ceny za powrót imperialnej chimery. Będzie jednak bronić swych interesów jako państwa narodowego. Do tych interesów należą: odtworzenie wspólnego rynku towarów i kapitałów na terytorium WNP i nieuchronna dominacja Rosji na tym rynku; kulturalna ekspansja Rosji na terytorium WNP; ewentualny sojusz wojskowy typu NATO, oczywiście, na zasadach dobrowolności – chociaż wcale nie jest on dla nas najważniejszy. Rosja nie zamierza napadać na nikogo i nikt dzisiaj realnie Rosji nie zagraża. Ale rozszerzenie rynku zbytu dla naszych towarów, na razie niekonkurencyjnych na terenie dalszej zagranicy, rozszerzenie rynku dla inwestowania rosyjskich kapitałów – to jest Rosji potrzebne. No i oczywiście ochrona Rosjan przed dyskryminacją narodowościową.

Państwo narodowe ze względu na swe zadania jest o wiele skromniejsze od imperialistycznego. Nie ma potrzeby tracenia wszystkich sił na utrzymanie tego, co zostało zabrane innym. W rezultacie można i trzeba w ogóle zmniejszyć rozmiary państwowej maszyny i jej funkcje, otrzymane w spadku od imperium. Chodzi tu przede wszystkim o reformę wojskową i o administracyjną. Powinny zostać rozszerzone prawa regionów – imperium boi się rozpadu i krępuje regiony, państwo narodowe się nie rozpadnie. Ale nad tymi

pozycjami, które są kontrolowane przez centrum, powinna być sprawowana ostrzejsza kontrola. I znów – władza imperialna boi się ruszać miejscowe elity, traktuje je jak ojczym pasierba. Kierownictwo państwa narodowego nie boi się urażenia regionalnych elit, traktuje je jak ojciec syna.

Oczywiście, pojawia się sprawa narodowych republik w składzie Rosji. Oświadczenie o tym, że „trzeba” je przekształcić w gubernie jest nieodpowiedzialną albo prowokacyjną paplaniną. Spróbujcie, przekształćcie! W Czeczenii jest milion mieszkańców, w Tatarstanie – cztery miliony. Jak zaczniecie „przekształcać” – nie powiem wiele – na około sto lat starczy...

Tu należy zachować *status quo*. Na przykładzie tej samej Czeczenii jeszcze raz mogliśmy się przekonać o skuteczności ostrych posunięć. Oczywiście jest jednak także co innego – nie za rok, nie za dziesięć lat, nie za jedno pokolenie, ale wcześniej czy później narodowe państwo rosyjskie zupełnie naturalnie zasymiluje republiki wewnątrz siebie. Staną się „rosyjskie” – w tym sensie, w jakim używałem tego terminu powyżej. Niektóre z nich już dzisiaj *de facto* są „rosyjskie”. Te zaś, które rzeczywiście nie wpisują się w rosyjski obszar, czyje tradycje i normy radykalnie różnią się od ogólnoruskich, ogólnorosyjskich (może ta sama Czeczenia) wcześniej czy później pokojowo wyjdą z zestawu Rosji – jeśli taka będzie wola i republiki, i Rosji. Ale „dzikiego podziału”, jak teraz z Czeczenią, nie będzie – nie ma na to najmniejszej potrzeby państwowej. Z drugiej strony, jest bardziej niż prawdopodobne, że z Rosją połączą się te państwa (Białoruś i inne), które faktycznie są udziałowcami rosyjskiej kultury.

Każdy koniec ma swój początek. Nie jest to twierdzenie ogólnofilozoficzne. Dzisiaj dla Rosji ma ono charakter jak najbardziej konkretny. Epoka imperiów się zakończyła. Można jej żałować, była wspaniała i dumna. Ale zaczyna się nowa epoka – budowanie pełnowartościowego rosyjskiego państwa narodowego.

Aleksandr LEBIED'
(Przełożył z rosyjskiego
Jerzy Pomianowski)

DWA „JAŁTAŃSKIE” RAPORTY AMBASADORA KAJETANA MORAWSKIEGO

W połowie 1945 r. międzynarodowe położenie Rzeczypospolitej stawiało się coraz tragiczniejsze, co rzutowało wyraźnie negatywnie tak na jej sytuację wewnętrzną, jak zewnętrzną, a zwłaszcza na kwestię terytorialnej integralności państwa. Co prawda pierwsze faktyczne decyzje w gronie mocarstw powzięte zostały w tej mierze już na Konferencji w Teheranie – obradującej w listopadzie 1943 r. – to jednak dopiero ponowne spotkanie „wielkiej trójki” w Jałcie na Krymie – w dniach od 4 do 11 lutego 1945 r. – przyniosły ich konkretyzację.

Światowa opinia publiczna została wszakże poinformowana o powziętych tam ustaleniach jedynie w formie dość ogólnikowego, utrzymanego w dyplomatycznym tonie komunikatu. *De facto* jednak, zapadłe tam postanowienia sytuowały Polskę w sowieckiej orbicie wpływów i godziły wyraźnie w prestiż rządu RP. Znajdowało to między innymi znamienity wyraz w nasilającej się już od pewnego czasu tendencji do traktowania go *per non est*. W tych warunkach strona polska nie miała i rzecz jasna nie mogła mieć pełnego rozeznania co do rzeczywistych intencji mocarstw, zwłaszcza zachodnich. Podejmowała jednak starania, by uzyskać maksimum informacji.

Znaczącą egzemplifikacją tej akcji są dwa raporty, które nadeszły z Paryża. Ich autorem był ówczesny ambasador RP przy rządzie gen. Charlesa de Gaulle’a Kajetan Dzierżykraj-Morawski. Urodzony 19 kwietnia 1892 r. w Jurkowie w rodzinie ziemiańskiej, studiował rolnictwo i ekonomię w Lipsku oraz w Monachium. Do służby dyplomatycznej wstąpił już w październiku 1918 r. Wkrótce mianowano go naczelnikiem wydziału, a następnie dyrektorem Departamentu Politycznego MSZ. Na tym stanowisku pozostał do czerwca 1924 r. Przez kilka następnych miesięcy był wiceministrem resortu

spraw zagranicznych, a potem, od marca 1925 r., ministrem rezydentem w Delegacji RP przy Lidze Narodów w Genewie. W trakcie przewrotu majowego pełnił funkcję kierownika MSZ. Z tego to okresu datuje się najpewniej jego konflikt z Marszałkiem Piłsudskim, którego otoczenie podejrzewało Morawskiego o wyprawienie do placówek zagranicznych RP telegramu głoszącego, iż zamach został udaremniony, a jego wykonawcy postawieni w stan oskarżenia. Nie oznaczało to jednak natychmiastowego odejścia z resortu, bowiem nowy minister spraw zagranicznych August Zaleski ulokował go wkrótce, w randze Podsekretarza Stanu, w Komisji Mieszanej do Spraw Górnego Śląska. Pozostawał on na tym stanowisku w latach 1929-1934¹.

W latach 1936-1939 pełnił funkcję wiceministra skarbu, a do służby dyplomatycznej powrócił w grudniu 1939 r. w charakterze kierownika działu polityczno-prawnego Biura Celów Wojny. W maju 1941 r. został mianowany pośtem nadzwyczajnym i ministrem pełnomocnym RP przy rządzie Czechosłowacji w Londynie². Jednakże już w listopadzie tegoż roku objął stanowisko Sekretarza Generalnego MSZ i pełnił tę funkcję do września 1943 r. Następnie, od 10 września tegoż roku do 5 lipca 1945 r., był ambasadorem RP przy Francuskim Komitecie Wyzwolenia Narodowego w Algierze, a następnie przy rządzie gen. de Gaulle'a w Paryżu. Po cofnięciu uznania rządowi RP przez mocarstwa zachodnie³ pozostał na uchodźstwie jako reprezentant władz RP⁴. Zmarł 2 listopada 1973 r. w Lailly-en-Val we Francji.

1. P. Wandycz, „August Zaleski. Minister Spraw Zagranicznych RP 1926-32 w świetle wspomnień i dokumentów”, *Zeszyty Historyczne* 52, Paryż 1980, s. 27.

2. Protokoły posiedzeń Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej, t. II., czerwiec 1940 – czerwiec 1941, oprac. W. Rojek, A. Suchcitz, red. nauk. serii M. Zgórniak, Kraków 1995, dok. nr 61., s. 320-321.

3. Należy pamiętać, iż Francja uczyniła to jako pierwsza, już 29 czerwca 1945 r., a 7 lipca strona francuska przejęła gmach Ambasady RP w Paryżu. Zob. W. Rojek, „Schyłek misji ambasadora Kajetana Dzierżykraj-Morawskiego we Francji: grudzień 1944 – lipiec 1945”, *Teki Historyczne*, t. XX., Londyn 1993, s. 391-392.

4. Władze francuskie zapewniły Mu zachowanie *ad personam* dotychczasowych immunitetów i przywilejów. W. Rojek, *op.cit.*, s. 393.

Na podkreślenie zasługuje fakt, iż raporty ambasadora Morawskiego tchną profesjonalizmem, co sprawia, że mimo niezmiernie trudnego położenia reprezentowanych przezeń władz Rzeczypospolitej, dominuje w nich chłodna, profesjonalna ocena sytuacji.

Rola Morawskiego była, zwłaszcza w ostatnich miesiącach wojny, bardzo niewdzięczna. Do gorzkiego końca wypełniał jednak z godnością powierzone mu zadania, a mimo ograniczonych możliwości działania, podejmowane przezeń kroki i lansowane w korespondencji do centrali oceny, cechuje wzmiankowany już wysoki profesjonalizm. Z tych jak sądzę względów, dwa przywołane niżej raporty zasługują na udostępnienie ich szerszemu gronu badaczy i czytelników.

Wojciech ROJEK

●
Nr 1

Maszynopis, oryginał.

IPMS, A. 11E/192 (teczka niepaginowana)

AMBASADA

RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Paryż, dnia 16 lutego 1945 r.

Szanowny i Kochany Panie Ministrze⁵

Od chwili opublikowania uchwał konferencji krymskiej⁶ miałem szereg incydentalnych rozmów z wyższymi urzęd-

5. Mowa o Adamie Tarnowskim (1892-1956), polityku i dyplomacie, 29 XI 1944 – 2 VII 1947: ministrze spraw zagranicznych w gabinecie T. Arciszewskiego.

6. Uchwały te były już częściowo znane rządowi RP, bowiem pod datą 12 lutego 1945 r. ambasador E. Raczyński zanotował w swym diariuszu, iż „Dzisiaj wezwany zostałem na 7.30 do Foreign Office do Minister of State p[ana] Richarda Law, który wręczył mi tekst zasadniczych ustępów komunikatu <de clôture> konferencji Krymskiej Trzech mocarstw”. E. Raczyński, „W sojuszniczym Londynie”. Dziennik ambasadora Edwarda Raczyńskiego 1939-1945, Londyn 1974, s. 311.

nikami Quai d'Orsay oraz osobistościami politycznymi francuskimi. Na podstawie ich wypowiedzi oraz odbicia oficjalnych inspiracji w prasie (*vide* mój telegram w sprawie [Le] Monde z dn[ia] 15 lutego), oceniam stanowisko Quai d'Orsay, jak następuje: Francja rozumie krzywdę nam wyrządzoną, tragiczne położenie Polski. Pragnęłaby przyjść nam z pomocą, lecz bierze przy tym za punkt wyjścia uchwały konferencji krymskiej⁷, które chociaż jej formalnie nie wiążą uważa w obecnej sytuacji za nieodwracalne. Protesty nasze traktuje jako merytorycznie uzasadnione, a taktycznie słuszne o tyle o ile oddziaływać mogą na opinię i rządy Stanów Zjednoczonych i W[ielkiej] Brytanii w kierunku domagania się stworzenia rządu prowizorycznego na jak najszerszych podstawach, t[o] j[est] z uwzględnieniem rzeczywistych prądów politycznych w Polsce i zapewnienia mu maksimum niezależności w urządzaniu administracji i przygotowywaniu wyborów. Instrukcje dawane tutejszej prasie – podnoszenie znaczenia polskich sił zbrojnych i wyrażanie przypuszczenia, że szereg osobistości ze świata politycznego londyńskiego, jak n[a] p[rzykład] Premier Mikołajczyk⁸ i Minister Romer⁹ wejdą w skład rządu prowizorycznego – mają faworyzować ten rozwój. Chodzi o to, aby drogą interpretacji uchwał krymskich stwarzać nastrój oczekiwania, że władza w Polsce oddana zostanie ludziom gotowym współpracować z Rosją, ale od niej w przeciwieństwie do Komitetu Lubelskiego, niezależnym. Życzliwi nam Francuzi liczą się bowiem z tym, że albo oczekiwanie to zostanie spełnione i wówczas Polska przetrwać będzie mogła z mniejszymi stratami do chwili

7. Fragmenty dotyczące Polski zob. „Sprawa polska w czasie drugiej wojny światowej na arenie międzynarodowej. Zbiór dokumentów”, red. S. Stanisławska, Warszawa 1965, rozdz. IV., oprac. S. Zabiełto, dok. nr 101., s. 692-693.

8. Stanisław Mikołajczyk (1901-1966), działacz ruchu ludowego, 1937-1939: wobec nieobecności w kraju W. Witosza kierował *de facto* pracami SL, 1939-1940: urzędujący wiceprzewodniczący I Rady Narodowej RP, 28 VIII 1941 – 14 VII 1943: minister spraw wewnętrznych w gabinecie gen. Sikorskiego, 14 VII 1943 – 24 XI 1944: premier rządu RP, VI 1945 – II 1947: II wicepremier oraz minister rolnictwa i reform rolnych w Rządzie Jedności Narodowej.

9. Tadeusz Romer (1894-1978), polityk i dyplomata, 14 VII 1943 – 24 XI 1944: minister spraw zagranicznych w gabinecie St. Mikołajczyka.

wyjaśnienia powojennego układu sił, albo też rachuby te zawiodą, lecz wówczas odpowiedzialność za przedłużenie i zaostrzenie kryzysu uwypukli się tym wyraźniej, a w żadnym wypadku spadać nie będzie na Polskę.

Dla ilustracji dodaję, iż p[an] Déjean¹⁰ w obecności mojej tłumaczył szeregowi dyplomatów zagranicznych, że osiągnięty rzekomo w Jałcie kompromis między Anglią a Rosją zostanie dopiero wówczas zrealizowany, jeżeli tworzenie rządu w Polsce zostanie powierzone przedstawicielowi jednego z dużych stronnictw politycznych (wymienił przykładowo Premiera Mikołajczyka) i jeżeli M.S.Z. obejmie n[a] p[rzykład] Minister Romer. Równocześnie wyraził zdanie Déjean, że największą usługą, jaką mogą w tej chwili alianci oddać Polsce jest zrobienie wysiłku w kierunku jak najliczniejszego wysłania na jej teren swoich obserwatorów, czy to w charakterze dyplomatycznym czy wojskowym, czy też jako korespondentów.

Jako typowy przyczynek dla nastrojów tutejszego M.S.Z. dodaję jeszcze, iż z ust jego przedstawicieli usłyszałem, że ustęp rezolucji krymskich, dotyczący Polski jest wprawdzie dla nas krzywdzący, ale znacznie korzystniejszy od tego, jakiego według poprzednich raportów oczekiwano. Wobec nieustępliwości Stalina w tym punkcie spodziewano się na Quai d'Orsay, iż odmówi on jakiegokolwiek współdziałania czynników angielskich i amerykańskich przy rozstrzygnięciu o ustroju i przyszłości Polski.

Odmienne natomiast naświetlenie dał Minister Informacji Teigten, który mówił mi, że decyzje krymskie w sprawie przyszłego urządzenia Europy traktować należy, albo jako frazy, mające pokryć odwrót Rosji wobec niemożności dalszego odmawiania narodom wyswobodzonym pewnego minimum swobód demokratycznych, albo też jako wyraz naiwnej iluzji, że istotnie 3 mocarstwa narzucić będą mogły narodom o starych tradycjach i kulturze państwowej z zewnątrz ustrój i personalny skład rządu. Gdyby ta druga interpretacja była prawdziwa stoi przed nami jeszcze długi okres walk i powikłań w Europie, a Francja w żadnym wypadku ręki do

10. Maurice Déjean (1899-1982), francuski polityk i dyplomata, działacz gaullistowski.

oktrojowania poszczególnym państwom siłą rozstrzygnąć zasadniczych dla ich losów – nie przyłoży.

Łączę wyrazy poważania i serdeczny uścisk dłoni – piszę w pośpiechu w chwili zamykania

K. Morawski

●
Nr 2

Maszynopis, oryginał.
IPMS, A.11E/192 (teczka niepaginowana)

PARYŻ, DN[IA] 9 kwietnia

AMBASADA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
W PARYŻU
PARIS VII-e 1, RUE DE TALLEYRAND

ŚCIŚLE Tajne

Do
Pana Ministra Spraw Zagranicznych
w Londynie¹¹

Napływające głównie ze źródeł amerykańskich wiadomości o rozbieżnościach w interpretacji uchwał konferencji krymskiej między Anglią i Ameryką z jednej, a Rosją sowiec-

11. Na lewym marginesie dwie odręczne adnotacje:

„B[ardzo] interesujący raport. Wydaje mi się, że ustępy dotyczące Reutera należałoby posłać Ambasadzie.

T[adeusz] Gw[iazdoski] 17/4

„Ambasada w Lond[ynie] przeprowadziła interwencję u Reutera na podstawie oryginału depesz serwisu zagr[anicznego] Reutera bezskutecznie.

[podpis nieczytelny] 24.4.[19]45”.

Feliks Frankowski (1882-1963), dyplomata, 1943 – 5 VII 1945: sekretarz generalny MSZ RP.

Tadeusz Gwiazdoski (1889-1950), dyplomata, X 1944 – 5 VII 1945: zastępca sekretarza generalnego MSZ RP.

ką z drugiej strony, oraz wystąpienie ZSSR o zaproszenie¹² rządu lubelskiego¹³ na konferencję w San Francisco¹⁴, zaktualizowały znów sprawę polską w opinii francuskiej. Niepotwierdzona dotychczas pogłoska o zjeździe przedstawicieli pięciu mocarstw przed powszechną konferencją bezpieczeństwa¹⁵, wzbudziła równocześnie przypuszczenia, iż Francja może być spółpowołana do wypowiedzenia swojego zdania, a może nawet rozstrzygania sporu o Polskę. Czy rząd francuski pragnie istotnie w decyzji tej uczestniczyć? Zdawałyby się o tym świadczyć załączone wypowiedzenia półoficjalnego *Le Monde*, jak również artykuł Maurycego Schumanna, uważanego powszechnie za *porte-parole* gen. de Gaulle'a, zamieszczony w *L'Aube*, organie ministra spraw zagranicznych Bidault¹⁶. Osobiście sędzę, że głosy te odzwierciedlają jednak raczej niezadowolenie Francji z powodu pomijania jej przy decyzjach zasadniczych, niż dążenie do bezpośredniego angażowania swej odpowiedzialności w problemie trudnym i

12. Już 22 marca 1945 r. Rząd Tymczasowy RP interpelował w tej sprawie rządy ZSSR, USA, Wielkiej Brytanii i Chin. Czuł się dotknięty pominięciem go przy wystaniu 5 tegoż miesiąca zaproszeń na konferencję założycielską Narodów Zjednoczonych w San Francisco. Oświadczenie z to poparł oczywiście rząd ZSSR. Mocarstwa zachodnie odrzuciły jednak to stanowisko, głosząc iż Rzeczpospolita może być reprezentowana jedynie przez rząd sformowany w zgodzie z postanowieniami konferencji w Jaltie. Wywołało to stan pewnego napięcia dyplomatycznego pomiędzy Wschodem a Zachodem. T. Król, „Szybkiy okres legalnej działalności polskiego rządu emigracyjnego w Wielkiej Brytanii (luty – lipiec 1945 r.)”, *Zeszyty Naukowe Akademii Ekonomicznej* w Krakowie, nr 339, Kraków 1991, s. 47-49.

13. 31 grudnia 1944 PKWN przekształcony został formalnie w Rząd Tymczasowy RP, który trwał do 28 VI 1945.

14. Miejsce obrad konferencji, na której opracowano, a następnie podpisano (26 VI) Kartę Narodów Zjednoczonych. Spotkanie to trwało od 25 IV do 26 VI 1945 r.

15. Mowa o konferencji w San Francisco. Wbrew pogłoskom nie doszło przed nią do spotkania przedstawicieli pięciu mocarstw. Jedynie W. Mołotow przybył do Waszyngtonu 22 kwietnia i konferował tam z Anglosasami. Zaproszenia do udziału w konferencji zostały natychmiast zastosowane jedynie imieniem czterech mocarstw: Wielkiej Brytanii, USA, ZSSR i Chin, bowiem Francja nie aprobowwała zawartych w nim sformułowań i nie była w związku z tym jedną ze stron inicjujących to spotkanie.

16. Georges Bidault (1899-1983), polityk francuski, 10 IX 1944 – 12 VI 1946: minister spraw zagranicznych w gabinetach Ch. de Gaulle'a i Felixa Gouina, a następnie: 24 VI – 28 XI 1946: premier.

mogącym narazić na nieporozumienia czy to z Moskwą czy też z Londynem i Waszyngtonem. Jakkolwiek by było wykluczyć nie można, że stanowisko Francji wywrzeć może choćby w pewnym stopniu konkretny wpływ na dalsze losy naszej sprawy. Tym bardziej więc staje się sprecyzowanie tego stanowiska rzeczą ważną.

Z nie zawsze zgodnych wypowiedzi miarodajnych czynników francuskich wnioskować wolno, iż generalnym dążeniem polityki rządu gen. de Gaulle'a jest zarówno zapewnienie sobie indywidualnego bezpieczeństwa drogą paktów bilateralnych, zharmonizowanych jednak z opartym na możliwie demokratycznych zasadach systemem bezpieczeństwa zbiorowego, jak uzyskanie przysługujących wielkim mocarstwom przywilejów, bez równoczesnego wyrzekania się roli rzecznika państw mniejszych. Głównym jak dotychczas instrumentem, który ma zapewnić Francji indywidualne bezpieczeństwo, jest pakt francusko-sowiecki¹⁷. Ma on utrzymać Rosję w obozie antyniemieckim i dać Francji gwarancję niezwłocznej pomocy na wypadek ataku ze strony Niemiec. Oceniając więc pakt ten niezmiernie wysoko, nie chce jednak rząd francuski pozostać ze Związkiem Sowieckim w niebezpiecznym *tête à tête*. Przykład Czechosłowacji i konsekwencje polityki prezydenta Benesa traktowane tu są jako groźne w tym względzie ostrzeżenie. Dlatego to właśnie traktuje polityka i opinia francuska sojusz z Anglią¹⁸ jako nieodzowne uzupełnienie układu z Rosją.

Wstrzeźliwość wystąpień oficjalnych w tej sprawie ma swe źródło nie tyle we względach prestiżowych, co w kupieckim dążeniu do jak najkorzystniejszego sprzedania swego towaru. Czyniąc z sojuszu z Rosją niejako punkt wyjścia swojej polityki europejskiej, nie zamierza polityka francuska równocześnie rezygnować z możliwości akcji niezależnej na kontynencie¹⁹. Możliwość utrzymania stosunków bezpośrednich z innymi poza

17. Traktat o przyjaźni i pomocy wzajemnej pomiędzy Republiką Francuską a ZSSR został podpisany 10 XII 1944, w trakcie wizyty gen. Ch. de Gaulle'a w Moskwie.

18. Do zawarcia formalnego francusko-brytyjskiego Traktatu sojuszniczego doszło, ostatecznie dopiero 4 III 1947 r. w Dunkierce.

19. Wyrazem tego była, między innymi, podpisana już 22 VIII 1944 r.

Rosją wschodnimi sąsiadami Niemiec uważana jest za bardzo doniosłą. I to właśnie dążenie wespół z tradycją przyjaźni oraz szacunku dla wartości bojowej narodu polskiego, sprawia, że Francji zależy szczerze na sojuszu z Polską. W miarę jak opadają opary rewolucyjne, które w pierwszym okresie po wyzwoleniu zaciemniały wyrazistość programu zagranicznego rządu i *Assemblée*²⁰, zarysowuje się nawrót do tradycyjnej polityki szukania oparcia w Europie środkowo-wschodniej coraz silniej.

Inaczej, i powiem z góry, ze znacznie mniejszym optymizmem oceniać należy ustosunkowanie się Francji do dylematu Londyn-Lublin. Trzeźwo patrząc powiedzieć sobie trzeba, iż elementem silnie działającym na korzyść rządu polskiego w Londynie jest już dzisiaj tylko pewna osobista rycerskość i poczucie lojalności gen. de Gaulle'a. Względy prawne działają także ale w znacznie mniejszym stopniu. Poszanowanie ciągłości władzy nie może być czynnikiem decydującym dla rządu, który sam zrodził się z przewrotu o charakterze rewolucyjnym i który wprowadzie głosi ze względów oportunistycznych powrót do legalności republikańskiej, lecz w żadnym wypadku za prawowitego kontynuatora 3-ej Republiki uważany być nie może. Także i powołanie rządu zgodnie z przepisami obowiązującej konstytucji, nie jest w pełni doceniane w kraju, który za jedyne źródło władzy uważa wyszłe z powszechnych wyborów Zgromadzenie Narodowe i w którym utożsamia się pojęcie praworządności z możliwością odwołania się do ciał parlamentarnych. Jeżeli zaś brać pod uwagę momenty czysto polityczne, stwierdzić trzeba, że solidarność socjalizmu francuskiego z Polską Partią Socjalistyczną oraz sympatie pewnych ugrupowań katolickich dla chrześcijańskich zasad polskich stronnictw większości²¹, nie mogą

wspólna deklaracja francusko-czechosłowacka oznajmiająca wolę intensyfikowania współpracy między obu państwami. M.K. Kamiński, *op. cit.* s. 210.

20. Mowa o istniejącym od VIII 1944 do 2 XI 1945 *Assemblée Consultative* (Zgromadzeniu Doradczym) liczącym niespełna 300 członków organie, będącym załącznikiem normalnego parlamentu. M. Sobolewski, „Od drugiego cesarstwa do piątej republiki. Z dziejów politycznych Francji 1870-1958”, Warszawa 1963, s. 210-211.

21. Mowa najpewniej o partiach wchodzących w skład tak zwanej „grubej czwórki”: PPS, SL, SN i SP.

zrównoważyć wyraźnego identyfikowania się komunistycznych członków rządu francuskiego²² z programem Bieruta i Osóbki Morawskiego.

Od wszystkich tych konsyderacji ważniejszy jest jednak – wobec realistycznego nastawienia polityki francuskiej – fakt, że t[ak] zw[any] rząd lubelski sprawuje w chwili obecnej władzę na ziemiach polskich. Staje się on bowiem przez to samo automatycznie partnerem jedynie w dwóch problemach polsko-francuskich, interesujących doraźnie tutejszą szeroką opinię, a mianowicie: w sprawie jeńców i deportowanych, oraz przedsiębiorstw i kapitałów francuskich w Polsce²³. I dlatego mimo pozornych lub nawet rzeczywistych zabiegów ze strony czynników oficjalnych o poszanowanie istniejących traktatów i poprawności wobec Ambasady R.P. w Paryżu, zaprzeczyc się nie da, iż siłą faktów os Garreau-Jędrzychowski staje się z każdym dniem bardziej właściwą osią stosunków polsko-francuskich.

Do przechylania się wagi na korzyść Lublina przyczynia się szerzące się w Paryżu przeświadczenie o postępującej dezintegracji środowiska polskiego w Londynie, przeświadczenie oparte czasem na faktach, a częściej jeszcze na sposobie przedstawiania ich przez wielkie agencje prasowe, w pierwszym rzędzie Reutera. Ukazujące się w prasie niemal dzień za dniem zabarwione odpowiednio wiadomości o rozwiązaniu Rady Narodowej, o odezwie 14-tu członków tejże Rady, skierowanej przeciw rządowi²⁴, o politycznym tle zmian przeprowadzonych w dowództwie wojskowym, o ustąpieniu części Komitetu Zagranicznego P.P.S., o uchwale władz Stronnictwa Pracy, o polemikach między *Dziennikiem Polskim*,

22. Byli nimi: Charles Tillon (ur. 1897), 10 IX 1944 – 16 XI 1945: minister lotnictwa oraz François Billoux (ur. 1903): 10 IX 1944 – 16 XI 1945: minister zdrowia.

23. Świadczył o tym dowodnie pobyt kpt. Foucheta w Polsce. Zob. J.L. Pierron, „*La mission de Christian Fouchet en Pologne, 28 décembre 1944 – 31 mars 1945*”, „*Guerres Mondiales et Conflits Contemporains*”, R. 41, 1991, s. 75-90.

24. Została ona rozwiązana 21 III 1945 r. Zob. w tej sprawie, a także kryzysu w jej łonie R. Turkowski, „Rada Narodowa Rzeczypospolitej Polskiej (1939-1945)”, (w:) „*Władze RP na Obczyźnie podczas II wojny światowej*” (dalej cyt. *Władze*), red. Z. Błażyński, Londyn 1994, s. 438-439.

organem obecnego Premiera, a *Jutrem Polski*²⁵, organem b[yłego] Premiera – wywołuje nawet u ludzi krytycznie nastawionych do Komitetu Lubelskiego przeświadczenie, że przeciwwagi dla Komitetu tego szukać należy może w kraju, ale już w żadnym wypadku nie znajdzie się jej w Londynie. Walka z nastawieniem takim jest niezmiernie trudna, gdyż nie można bez podważenia całej konstrukcji politycznej na której opierał się dotychczas autorytet instytucji polskich w Londynie, wytłumaczyć Francuzom, iż ludzie, którzy przez oficjalną propagandę naszą przedstawiani byli do niedawna jako autorytatywni wyraziciele opinii okupowanego i walczącego kraju, dziś gdy znaleźli się w opozycji, już opinii tej nie odzwierciedlają. Tylko i wyłącznie wzmożenie dyscypliny wewnętrznej polskich czynników politycznych na emigracji, tylko zjednoczenie ich i zadokumentowanie jedności narodowej wobec grożących nam niebezpieczeństw mogłoby zahamować pogłębiający się z każdym dniem proces odwracania się zagranicą od władz polskich w Londynie.

Symptomu przemiany, jaka z takich czy innych powodów nastąpiła w opinii publicznej, upatruję choćby w takim fakcie, że dyskusja w prasie francuskiej jak zresztą i światowej, dotycząca udziału Polski w konferencji w San Francisco, jest już dzisiaj głównie dyskusją czy i w jakim stopniu uchwały konferencji krymskiej zostały lojalnie wykonane. Nie więc sama treść uchwał krymskich, lecz tylko sposób ich interpretacji jest obecnie źródłem rozbieżności, a spór dotyczy problemu, czy w San Francisco zasiadać mają przedstawiciele Lublina, czy nowego powołanego w Moskwie rządu. Obawiam się, że rząd francuski powołany będzie do wypowiedzenia się w tym tylko sporze. I że tylko w tych, tak ciasnych i paradoksalnych granicach, Polska na jego życliwość i poparcie może liczyć.

AMBASADOR R.P.

K. Morawski

25. Dwutygodnik, redagowany w latach 1942-1944 przez Stanisława Grabskiego, od którego SL odkupiło licencję pod koniec 1944 r. i zamieniło na tygodnik. Od 20 grudnia tegoż roku na czele redakcji stanął Stanisław Młodożeniec.

WSPOMNIENIA

Roman BORTNOWSKI

DANIŁOWSKIJ DIETPRIJOMNIK

ZAMIAST WSTĘPU*

Moje dzieciństwo upłynęło w środowisku czołowych działaczy Komunistycznej Partii Polski. Należeli do nich zarówno ojciec jak i mój ojczym, obydwaj straceni w ZSSR przez NKWD w 1937 roku, szczytowym punkcie represji stalinowskich.

Jako dziecko przebywałem kolejno w Warszawie, Sopocie, Berlinie, Kopenhadze – czyli w miastach, gdzie w danym momencie znajdowało się kierownictwo nielegalnej w okresie międzywojennym KPP.

W 1933 roku, gdy miałem dziewięć lat, przenieśliśmy się na stałe do Moskwy, gdzie mój ojczym objął funkcję przedstawiciela KPP przy kierownictwie Kominternu. Ojciec czasami na krótko przyjeżdżał do Moskwy na jakieś zjazdy czy kongresy. Na początku 1937 roku NKWD aresztowało mojego ojca, po trzech czy czterech miesiącach – również

* Przytoczony niżej tekst składa się z fragmentów nieopublikowanego dotąd wspomnienia-powieści pt. „Moja Odyseja”.

Bronka, mojego ojczyma. Oba w pierwszych dniach listopada tego samego roku NKWD rozstrzelało.

Na jesieni tegoż roku matka złożyła do NKWD podanie, aby umożliwiono jej wyjęcie ciepłych rzeczy, jej i dzieci, z pokoju opieczetowanego po aresztowaniu męża. Prośba ta została spełniona. Enkawudziści przyszli pewnej nocy. Nocna wizyta mnie nie obudziła. Gdy rano matka opowiedziała mi o niej – dostałem obsesji. Ogarnął mnie wielki strach, że któreś nocy oni przyjdą po moją mamę, a ja się nie obudzę. Że się nawet nie pożegnamy, tak jak nie pożegnałem się ani z ojcem, ani z Bronkiem. Od tej nocy zacząłem sypiać w nogach mojej mamy na skraju szerokiego tapczanu. Dawało mi to poczucie większego bezpieczeństwa.

Ale gdy nadeszła ta noc i kiedy oni rzeczywiście przyszli – znowu się nie obudziłem. Obudziła mnie moja mama. Siedziała tuż przy mnie na skraju łóżka i głaskała mnie po włosach. Trzyletnia Marysia jeszcze spała w swoim łóżeczku. Na dworze było zupełnie ciemno. Wisząca lampa rzucała spod abażuru ostre rażące światło. Oparty o framugę prowadzących do naszego pokoju drzwi stał dozorca domu. Przy stole siedziało dwóch enkawudystów. Skończyli już rewizję, pisali protokół, po czym kazali go podpisać mamie i dozorczy. Potem polecili mamie, aby się ubrała i spakowała trochę rzeczy.

Przed wyjściem mama obudziła Marysię, pożegnała się z nią i powiedziała do mnie po polsku:

– Synu, zawsze pamiętaj o Marysi...

– Zabrania się rozmawiać *na inostrannych jazykach!* – przerwał jej enkawudysta. Wyprowadził ją z mieszkania. Wyszli na podwórkę, na którym czekał już samochód...

W pokoju pozostały już tylko cztery osoby: oficer NKWD – w mundurze z błękitnymi wypustkami, dozorca domu – brodaty, w firmowej czapce z czarnym, lakierowanym daszkiem, oraz dwoje dzieci – ja, wówczas trzynastoletni chłopiec z czarną czupryną i jasnowłosa, pucułowata, trzyletnia dziewczynka – moja siostra Marysia. Siedząc w dziecięcym łóżeczku, zanosila się od płaczu i w kółko powtarzała:

– Moja mama... Ja chcę do mojej mamy...

Stojąc przy oknie, odwrócony plecami do pokoju, przełykałem łzy i patrzyłem na puste podwórko, na którym nie było już żadnego samochodu. Dozorca stał w milczeniu, w charakterze urzędowego świadka rewizji uczestniczył w takich seansach nie raz i nie dwa. Rzecz, jak wspomniałem, działa się bowiem w owym słynnym 1937 roku...

Oficer zdecydowanym ruchem zagarnął rozsypane na stole urzędowe papiery, schował je do raportówki, zakręcił wieczne pióro i włożył do zewnętrznej kieszeni wojskowej bluzy. Przeciągnął się, wstał od stołu i podszedł do wiszącej przy oknie na ścianie drewnianej skrzynki aparatu telefonicznego. Wykręcił numer. Chwilę później podał swoje nazwisko i powiedział:

– Dzwonię – tu podał numer naszego telefonu. Po chwili milczenia kontynuował – Tak... Tak... Jesteśmy już gotowi... Pozostaje tylko spakować rzeczy dzieciaków i opieczetować mieszkanie... – kolejna przerwa, a potem – Tak... Samochód może wyjechać za kilka minut... Niech wjedzie na podwórko i zatrąbi... Powtarzam: ulica Kuzniecki Most 19.

W pokoju panował straszliwy nieład: wyrzucone z szafy ubrania, jakieś luzem poniewierające się papiery, rozsypane fotografie, wywalone z półek książki, moje szkolne zeszyty i podręczniki, Marysi zabawki – wszystko to znajdowało się dookoła: na rozgrzebanej pościeli łóżka, na stole, podłodze, parapecie okna. Taki sam nieład w mieszkaniu zastaliśmy, gdy przed trzema miesiącami weszliśmy tu dzień po aresztowaniu Bronka, po powrocie z letniska. Tyle, że wtedy drzwi do znajdującego się w amfiladzie sąsiedniego, dziecięcego pokoju były zamknięte i zabezpieczone dużą czerwoną pieczęcią lakową, zerwaną dziś przez enkawudystów podczas powtórnej rewizji.

Rzeczy Marysi spakowałem do jednej z walizek. Przed zamknięciem drugiej dołożyłem do swojego bagażu poniewierający się na parapecie portfel mojego ukochanego ojczyma, do którego włożyłem ze trzy fotografie. Ubrałem płaczącą wciąż siostrę. Właśnie wtedy rozległ się z podwórka donośny w nocnej ciszy dźwięk klaksonu samochodowego. Oficer podszedł do okna, wyjrzał przez nie i powiedział:

– *Paszli!...*

Wziął do rąk obie nasze walizeczki, ja wziąłem na ręce wciąż zanoszącą się od płaczu Marysię. Ruszyliśmy.

Przed zamkniętymi już drzwiami pozostał sam tylko dozorca. Nikt nas nie żegnał. Sąsiedzi wspólnego mieszkania zaczęli się, nie dawali najmniejszych znaków życia, nawet nie próbowali wyjrzeć ze swych pokoi...

DANIŁOWSKIJ DIETPRIJOMNIK

Wiozący nas samochód wjechał w środku nocy na ulicę o nazwie *Daniłowskij Wał*. Zatrzymał się przed wielką bramą prowadzącą na teren *Swiato-Daniłowskiego* monasteru. Obecnie mieści się tu siedziba patriarchy Wszechrusi, podczas gdy wówczas, w 1937 roku, przeznaczenie tego kompleksu zabudowań, otoczonego potężnym, wysokim i grubym murem, było całkiem inne. Znajdowała się tu podległa NKWD instytucja o nazwie *Daniłowskij Dietprijomnik*, centralny punkt rozdzielczy, kierujący pozbawione rodziców dzieci z terenu Moskwy i okolic do rozsianych po bezkresnych terenach Związku Sowieckiego domach dziecka. W opisywanym okresie, „pensjonariuszami” tej instytucji były wyłącznie dzieci wyrwane ze swoich domów w wyniku zastosowanych przez NKWD wobec rodziców represji.

W parterowym, murowanym budynku, tuż przy bramie monasteru, znajdowała się *prijomnaja*, czyli izba przyjęć. Wprowadzono nas do niej. Oficer, który nas przywiózł, otrzymał pokwitowanie, włożył je do raportówki i wyszedł. Rozpoczęła się procedura przyjęcia. Posadzono nas kolejno na dość wysokim, drewnianym fotelu, pierwotnie chyba przeznaczonym dla jakiegoś zakładu fryzjerskiego. Posiadał on bowiem zagłówek o regulowanej wysokości, stosowany w owych czasach podczas golenia przez moskiewskich fryzjerów. Sfotografowano nas *en face* i z profilu, umieszczając na wysokości piersi specjalną rameczkę z nazwiskiem i imieniem.

Pierwszą fotografowano zapłakaną Marysię, umieszczając oczywiście w ramce nazwisko Bortnowska. Ja miałem pewien problem z podaniem swojego nazwiska: przed laty, po przyjeździe do Moskwy, zostałem zapisany do szkoły pod

„lewym” nazwiskiem, figurującym w ówczesnym paszporcie matki podczas przekraczania granicy ZSSR. Później matka i Broniek zaniedbali sprawę uporządkowania mojego nazwiska. Charakterystyczne: jako rewolucjoniści gardzili głupimi, ich zdaniem, biurokratycznymi formalnościami, aczkolwiek po urodzeniu się Marysi własne małżeństwo zarejestrowali w urzędzie stanu cywilnego. W chwili przywiezienia nas do *dietprijomnika* rzecz jasna nie posiadaliśmy żadnych dokumentów osobistych. Gdy przyszła moja kolej i fotograf posadził mnie na fotelu – ze strachu, że mogą nas rozłączyć podałem jako swoje nazwisko ojczyma.

Tak oto tej nocy, przed obliczem nieświadomych uroczystości chwili urzędników NKWD, własną decyzją przypieczętowałem formalności usynowienia mnie przez Bronka. Pozostałem już na całe życie Romanem Bortnowskim, tylko *otczestwo*, czyli używaną przez Rosjan pochodną od imienia ojca, podałem nie „Bronisławowicz”, a „Aleksandrowicz”, bo w domu na ojca mówiono Olek. Mogłem zresztą wówczas zadeklarować dowolne imię i nazwisko, każde przyjętoby z dobrodziejstwem inwentarza.

Kolejną czynnością wkraczania w to nowe, pełne niewiadomych życie było zdejmowanie odcisków palców. Rosyjska poetka Natasza Astafjewa, nawiasem mówiąc córka zgłodzonego przez NKWD działacza KPP Jerzego Czeszejko-Sochackiego, a moja koleżanka z okresu berlińskiego, w jednym ze swoich wierszy umieściła takie oto strofy:

Daniłowskij Wał.

Dietprijomnik.

Tam

ottiski palców snimajut nam

Ze mną ta operacja poszła szybko i sprawnie. Gorzej było z Marysią: wrzeszczała, zanosila się od płaczu, usiłowała wyrwać rączki. Urzędnik zepsuł blankiet, machnął ręką i dał sobie spokój. Wypełnienie przez inną urzędniczkę dla każdego z nas kilkustronicowej ankiety, zakończyło formalności.

Zaryczana Marysia w międzyczasie usnęła. Wyniesiono ją na rękach do oddziału dla dziewcząt. Jakiś starszy człowiek,

ubrany w cywilne ubranie poprowadził mnie przez wielkie, oświetlone silnymi lampami podwórze monastynu do oddziału dla chłopców. Weszliśmy na pierwsze piętro. Tam wprowadził mnie do sali, w której stało kilkanaście łóżek i nie zapalając światła powiedział półgłosem:

– Wybierz sobie pierwsze lepsze wolne łóżko i kładź się spać. – W głosie jego jak gdyby przewijały się nutki współczucia. – Sen, synku, to najlepsze lekarstwo na wszystkie zmartwienia...

Nie rozbierając się, położyłem się na zasłane kocem łóżko. Zaczęło świtać. Nie spałem. Przygniatało mnie uczucie krzywdy wyrządzonej nam wszystkim – mnie, mamie, Bronkowi, ojcu, Marysi. „Jak to w ogóle jest możliwe, aby w Związku Sowieckim aresztowano takich wspaniałych komunistów jak Bronek, ojciec, Leński i ich przyjaciele? A mamę?... Dlaczego mamę?!” – cisnęły się pytania bez odpowiedzi.

Po jakimś czasie zmienił się tok moich myśli – skierowały się ku zbliżającemu się spotkaniu z nowym otoczeniem. Nie miałem wątpliwości, że to będą *besprizorniki* – tacy, jakich przed kilkoma laty, podczas pierwszego przyjazdu do Moskwy, widziałem na zaśnieżonych ulicach Moskwy. Tacy, jakich widziałem na bardzo głośnym w początkach lat trzydziestych filmie „*Putiowka w żizn'*”, w którym małoletnich *besprizornych* bandytów „przekuwano” w młodych, wzorowych, obywateli sowieckich. Zastanawiałem się, jak się mam wobec nich zachować. „Rzucą się na mnie na pewno, będą bić i rabować – myślałem – a ja będę się musiał jakoś bronić!...”. Na chwilę aż zeszytniałem ze strachu.

Zaczęło się rozjaśniać. Nastawał pierwszy od opuszczenia domu dzień. Rozejrzałem się: łóżka stały na sali rzędami, nie wszystkie były zajęte. Poza drzwiami na korytarz były tu jeszcze jakieś drugie, prawdopodobnie prowadziły do sąsiedniego pokoju. Rozległ się głośny dzwonek pobudki. Mieszkańcy sali, a były to wyłącznie maluchy, zaczęły się ruszać na swoich łóżkach. Z trzaskiem otworzyły się drzwi – te drugie – i ukazał się w nich duży, krępy, niebieskooki, jaskraworudy chłopak w wieku jakichś szesnastu lat. Miał na sobie niebieskie, gimnastyczne majtki i podkoszulek bez rękaw-

wów, z ramienia zwiślał mu ręcznik. Szedł przez ten przejściowy pokój do umywalni. Zobaczywszy mnie, „nowego”, zatrzymał się i zaczął uważnie przyglądać się.

„Teraz się zacznij – pomyślałem – a on taki duży i silny!”

Po chwili rudzielec odezwał się:

– Ty!... Skądś cię znam!

Milczałem. Wtem chłopak spytał:

– Ty!... Mieszkałeś kiedyś, może przed Hitlerem w Berlinie?

– Tak...

– I chodziłeś tam do szkoły przy *torgpredstwie*?

– Tak... A bo co?...

– A więc cię znam ze szkoły! – stwierdził z wyraźną satysfakcją. – Wstawaj z wyrka, przenoś się do naszego pokoju!



Rudy wprowadził mnie do niewielkiego pokoju mieszczącego się obok sali, w której bez snu przeleżałem tę pierwszą noc. Pokój zamieszkiwało kilku chłopców w wieku od jakichś jedenastu do szesnastu lat. Były tam też dwa wolne łóżka. Towarzystwo dopiero budziło się. Jedni leżeli jeszcze w łóżkach, inni właśnie wstawali.

– Przyprowadziłem „nowego” – zakomunikował rudy, nie zdejmując z ramienia ręcznika – to mój stary znajomy z Berlina. Mów – kiwnął na mnie – jak się nazywasz, skąd się tu wzięłeś?

– Romka – tu wymieniałem świeżo przybrane nazwisko ojczyma. – Przywieźli mnie tu nocą wraz z siostrą. Właśnie tej nocy aresztowano nam mamę...

– Ta-a-ak... A co z ojcem?

– Przed trzema miesiącami aresztowany przez NKWD.

– Kim był, gdzie pracował? – rudy kontynuował przesłuchanie, reszta chłopaków przysłuchiwała się.

– Polskim komunistą, pracował w Kominternie...

Odpowiedź prawdopodobnie usatysfakcjonowała rudego. Kiwnął głową i zmienił temat.

– Do której teraz chodzisz klasy?

– Do szóstej...

– Czytałeś „Dwanaście krzeseł” i „Złote cielę”? (chodzi o nadzwyczaj w owych czasach popularne w kręgach inteligencji i inteligenckiej młodzieży powieści satyryczne Ilji Ilfa i Jewgenija Pietrowa).

– Oczywiście!!

– No to w porządeczku. Jesteś przyjęty do naszej kompanii – zakończył przesłuchanie.

Widać było, że to on jest przywódcą chłopaków. Stanowczo nie sprawiał wrażenia ani bandyty, ani *besprizornego*, co więcej – zadeklarował się jako mój „znajomy z Berlina”. Odetchnąłem z ulgą. A rudy rozpoczął prezentację obecnych. Zaczął od siebie.

– Nazywam się Jurka Wagner – powiedział. – A to jest Olgierd Putna, człowiek światowy, rzecz można nieomal rodowity londyńczyk – wskazał na wysokiego, szczupłego szesnastolatka.

Był wyjątkowo, wręcz uderzająco piękny: długie, faliste, jasne włosy o popielatym odcieniu, uduchowiona twarz o klasycznych, regularnych rysach – jakby przed chwilą zszedł z obrazu Greuze’a. Zdążył już ubrać się: miał na sobie jasnoniebieską koszulę z rozpiętym kołnierzem, spod którego wystawała związana na luźny węzeł jedwabna chusta. Na wierzchu miał krótką, do pasa, kurteczkę z cienkiej, gładkiej skóry o oliwkowym kolorze, zapinaną na zamek błyskawiczny – bez przesady wyglądał jak model młodzieńca z żurnalu. Ojciec Olgierda, generał Putna, Łotysz wywodzący się z przybocznej gwardii Lenina, jeszcze do niedawna *attaché* wojskowy ZSSR w Londynie, został ze dwa-trzy miesiące temu skazany na karę śmierci w procesie marszałka Tuchaczewskiego i innych generałów. I wraz z nimi wszystkimi – stracony. Olgierd przyjaźnie uśmiechnął się do mnie.

– *How do you do, dear Sir!*...

Stanowczo nie byłem wśród małych *besprizornych* bandytów! Zaś Jurka kontynuował:

– Ten małolat z niedomytą gębą to Jurka Piatakow, nazywamy go tu małym Jurką. Wyłaż wreszcie, gnoju, z łóżka, bo spóźnisz się na śniadanie! – warknął na jedenastoletniego chłopca, który leżąc w łóżku stroił spod koca małpie

miny. Był ostrzyżony na „łysą pałę”, a duże, odstające uszy stanowiły podstawowy akcent jego głowy. Rudy Jurka dodał: – Sprowadzono go tu wraz ze starszą siostrą przedwczoraj.

Tu dygresja: ojciec małego Jurki, Georgij Piatakow, był za czasów Lenina jednym z czołowych działaczy partii bolszewickiej. Obok Trockiego, Stalina, Zinowiewa, Kamieniewa i Bucharina został przez Lenina wymieniony w tak zwanym „testamencie” wodza jako potencjalny kandydat do sukcesji. W miarę umacniania się władzy Stalina, Piatakowa konsekwentnie usuwano z najwyższych stanowisk, w ostatnim okresie życia został zastępcą Sergo Ordżonikidze, ludowego komisarza (czyli ministra) przemysłu ciężkiego (warto nadmienić, że sam Sergo, jeden z najbardziej wówczas popularnych przywódców sowieckich, rok czy półtora po opisywanych tu wydarzeniach, zginął w bardzo niejasnych okolicznościach, jakoby w wyniku samobójstwa). Piatakowa skazano na śmierć podczas drugiego ze słynnych moskiewskich procesów, tego z 1937 roku, na którym figurowali wraz z Karolem Radkiem jako główni oskarżeni. Sprawozdania z tego procesu, zawierające płomienne wystąpienia oskarżycielskie generalnego prokuratora ZSSR Wyszyńskiego i pełne skruchy zeznania oskarżonych, ochoczo przyznających się do najbardziej nawet niewyobrażalnych zbrodni, wydrukowały przed miesiącami wszystkie gazety. Kontynuując dygresję: w wydany w 1938 roku „Krótkim Kursie Historii WKP(b)” – nieco później autorstwo tego dzieła przypisano osobiście Stalinowi – zawarta jest następująca charakterystyka ojca Jurki i jego starszej siostry (cytuję wg polskiego wydania z 1949 roku):

„... partia nie mogła jeszcze wiedzieć, że (...) Kamieniew, Zinowiew, PIATAKOW (podkreślenie moje – RB) i inni nawiązują już łączność z wrogami ZSSR, że (...) te karły białogwardyjskie, których siłę można byłoby porównać chyba tylko z siłą nędznego robaka, uważały siebie – rzecz godna śmiechu – za gospodarzy kraju.

(...) Ci nędzni służalcy faszystów (książkę wydano przed zawarciem paktu Ribbentrop-Mołotow – RB) zapomnieli, że wystarczy by naród sowiecki poruszył palcem, żeby nie pozostało po nich ani śladu...

Sąd sowiecki skazał bucharinowsko-trockistowskich wy-
rutzków na rozstrzelanie. Komisariat Ludowy Spraw Wew-
nętrzných (czyli NKWD – RB) wyrok wykonał” (wybrano ze
str. 328-392). W ten oto sposób 30 stycznia 1937 roku
przerwano życie Georgija Piatakowa.

Czas jednak powrócić do przerwanej opowieści: Jurka
przedstawił następnie pozostałych mieszkańców pokoju:
Andrzeja Budkiewicza, Miszę Stiepankowa i innych – wszyscy
oni byli synami bardziej czy mniej znanych działaczy partyj-
nych, wojskowych czy gospodarczych. Ojców ich wszystkich,
a potem i matki, aresztowano jakiś czas temu, a ich, wraz z
ewentualnym rodzeństwem, tu przywieziono.

Zapytałem, czy w *dietsprijomnikie* działa szkoła, rok
szkolny wszak rozpoczął się przed dwoma tygodniami. Mały
Jurka, z rozkosznym uśmiechem na brudnej buzi – do mycia
nikt tu nikogo nie zmuszał – powiedział:

– Pod tym względem to tu jest fajnie, mamy wydłużone
ferie!!

Zaś rudy Jurka, wyraźnie lekceważąc wypowiedź
małoletniego przedmówcy, poważnie wytłumaczył:

– Chłopie, tu nie ma żadnej szkoły. Zrozum, stary, tu
jest *dietsprijomnik*! Tu przywozi się dzieci i młodzież, kom-
pletuje z nich odpowiednie grupy i wysyła do różnych *dietsprijom-
domów*... Tu nie ma nauki, tu nie ma wielu innych rzeczy...
Tu jest poczekalnia!...

– A jak długo się czeka? – zapytałem.

– Różnie – wtrącił się do rozmowy Olgierd. – Ja na
przykład jestem tu od przeszło dwóch tygodni. Jurka – tu
wskazał na rudego – znacznie dłużej. A niektórych wysyłają
od razu, po paru dniach. Nie ma reguły...

Jedyną osobą, o której nic się nie dowiedziałem, był sam
Jurka. Gdy przed śniadaniem wyruszyliśmy na mały spacer,
zapytałem Olgierda:

– A czym synem jest sam Jurka, kim byli jego rodzice?
O każdym on coś powiedział, a o sobie ani słowa...

– O ile się orientuję – powiedział półgłosem Olgierd –
jest on synem Michaiła Tuchaczewskiego... Ale – tu się
zawahał – z innego, nieformalnego związku...

Mały skwerek otoczony był ze wszystkich stron zabudową niskich, przysadzistych, jedno- czy dwupiętrowych budynków, z odpadającymi tynkami murów i o małych oknach. Rosło na tym skwerku kilka krzaków, parę drzewek jarzębiny pełnych czerwonych kiści. Był też pożółkły, wypalony podczas minionego lata przez słońce trawnik. Spacerowało się po betonowych alejkach, wzdłuż których stało kilka ławek. Tu spotkaliliśmy dziewczęta. Od razu dwie z nich zauważyłem. Były wysokie, szczupłe, w wieku po jakieś piętnaście lat. Jedna była krótko ostrzyżoną szatynką, druga – jasnozłotą blondynką, o włosach zaplecionych w dwa grube, długie warkocze. Ciemnowłosa niosła na rękach moją pochlipującą Marysię. Zauważywszy mnie mała wyrwała się z rąk przygodnej opiekunki i podbiegła w moją stronę z głośnym krzykiem:

– Roma!... Roma!... Zaprowadź mnie do mojej mamusi!...

Przytuliła się do mojej nogi, stopniowo zaczęła się uspokajać. Podeszły dziewczęta.

– Ależ beksa z tej twojej siostry – stwierdziła z niesmakiem blondynka – wciąż płacze i płacze, od wczesnego ranka. Próbowaliśmy z Musią – tu wskazała na koleżankę – ją uspokoić, ja ją nawet do swojego łóżka wzięłam, a ona bez przerwy: „Mamo!... Mamusko!... Ja chcę do mamy!...” – jak byśmy mogły jej w tym pomóc... Jak katarynka...

Szliśmy teraz we czwórkę. Marysia kurczowo trzymała mnie za rękę. Koledzy spoglądali na mnie bez entuzjazmu, a mały Jurka pogardliwie krzyknął:

– Patrzcie no tylko, kawaler się znalazł! Już zafundował sobie babskie towarzystwo... Babski król! – splunął z obrzydzeniem. Natychmiast zareagowała na to złotowłosa:

– Jura!! Jak ty się zachowujesz?! Jak ci nie wstyd!...

Olgiert obserwujący podniecenie złotowłosej dziewczyny, flegmatycznie, jak przystało na młodego angielskiego dżentelmena, odezwał się:

– Uspokój się, gnoju, bo ci powyrywam nogi z... – popatrzył na dziewczęta i dokończył – z siedzenia!

Złotowłosa panienka nazywała się Rada. Mały Jurka, jak się okazało, był jej bratem. Natomiast Musia była starszą

siostrą Andrzeja, wysokiego, smukłego jedenasto- czy dwunastolatka. Ich ojciec, Stanisław Budkiewicz, Polak, był wysokiej rangi dowódcą w Armii Czerwonej.

Nie było takiej siły, która pozwoliłaby oderwać ode mnie Marysię. Kurczowo ścisnęła moją rękę. Aczkolwiek najchętniej dołączyłbym się do rozmawiających o czymś ciekawym kolegów – przespacerowałem z dziewczynami aż do śniadania i usiadłem z nimi w stołówce razem do stołu...



Każdego dnia, ściślej mówiąc każdej nocy, do *Daniłowki* – tak nazywaliśmy między sobą tę szacowną instytucję – przywożono wciąż nowych i nowych „pensjonariuszy”. W dwa czy trzy dni po naszym przybyciu miał jednak miejsce wyjątek – kolejny „nowy” przybył w porze obiadowej. Miał koło piętnastu lat. Był stosunkowo wysoki, szczupły, miał gęstą czuprynę, kasztanową z rudym odcieniem. Przyciągało uwagę duże znamię na jego lewym policzku. Z racji wieku rudy Jurka zaprosił go do zamieszkania w naszym pokoju. Na imię miał Żenka, dokładniej mówiąc nazywał się Jewgenij Diemidenko. Jego droga do *Daniłowki* była inna niż pozostałych chłopców, znalazł się tu z własnej inicjatywy. Oto jego opowieść o wydarzeniach, które go do nas przywiodły:

– Mieszkalem z ojcem w Szczółkowie pod Moskwą. Tylko we dwójkę, rodzice rozeszli się. Moja matka była Niemką, przed laty wyemigrowała z powrotem do swojej ojczyzny. Ojciec był dyrektorem dużej fabryki chemicznej w Szczółkowie, był bardzo przez wszystkich szanowany. Sam Ordżonikidze przyznał mu wspaniałą nagrodę – samochód osobowy M-1, piękny, czarny, błyszczący (mowa o pierwszym chyba modelu sowieckich samochodów osobowych, model ten był żywcem skopiowany z małego „opla”). A w czerwcu po ojca przyszło NKWD...

Gdy go wyprowadzali powiedział do mnie: – „Nic się, Żenia, nie martw, to jest całkowite nieporozumienie. Za dwa – trzy dni wszystko się wyjaśni i wrócę do domu”.

Pozostałem sam w naszym trzypokojowym mieszkaniu. Pojechałem po paru dniach do Moskwy, do cioci Dusi, żony

przyjaciela mojego taty. A ona mówi do mnie: „Żenia, bardzo cię lubię, nadzwyczaj szanuję twojego tatę... Ale zrozum: mojego męża przecież też zabrało NKWD... Ja mam dwoje małych dzieci, zupełnie nie dają sobie rady. Już nie mam co sprzedawać... Jeżeli Isaja Kuźmicza (tak nazywał się ojciec Żenki) wkrótce nie wypuszczą – nie będzie innej rady, będziesz musiał pójść do domu dziecka... Zresztą nie powinno tam być ci źle – czytałeś przecież „Poemat pedagogiczny” Makarenki.

Przemieszczałem sam z miesiąc. Parę razy byłem w *prijomnoj* NKWD na Kuznieckim Moście, ale nic mi tam nie powiedzieli... (Tu kolejna dygresja: mieszcząca się bezpośrednio naprzeciwko domu, w którym znajdowało się nasze moskiewskie mieszkanie, *prijomnaja* NKWD pełniła między innymi funkcję punktu udzielania – lub odmowy udzielania – informacji o osobach aresztowanych; przejmujący obraz kolejki kobiet i dzieci oczekujących przed okienkiem dla interesantów w *prijomnoj* jakiejkolwiek informacji o losach swoich najbliższych pokazał reżyser Abuładze we wspomnianym już filmie „Pokuta”).

Postanowiłem więc – kontynuował Żenka – pójść do samego Kalinina (Michaił Kalinin pełnił w owych czasach funkcję przewodniczącego Rady Wykonawczej ZSSR czyli nominalnie był prezydentem Związku Sowieckiego; nawiasem mówiąc: w czasie gdy pełnił on funkcję prezydenta, jego żona Jekatierina odsiadywała – jako „wróg ludu”! – wieloletni wyrok w łagrach GUŁAG-u!). Udało mi się dostać do *prijomnoj* Kalinina. Przyjęła mnie tam jakaś starsza kobieta. Wszystko jej opowiedziałem. Wtedy dała mi kartkę papieru, pióro i kazała usiąść przy takim małym stoliku i napisać podanie. Powiedziała, że mam zaadresować go bezpośrednio na towarzysza Kalinina. Napisałem i oddałem jej. Przeczytała i powiedziała: „Wracaj, Żenia, do domu i czekaj na odpowiedź”. Czekałem do dziś. A rano puka do naszego mieszkania jakiś młody facet w mundurze NKWD. Pyta: „Ty jesteś Żenia Diemidenko?” Mówię, że tak. A on na to: „Towarzysz Kalinin przychylił się do twojej prośby. Pakuj, brachu, walizkę, zawiozę cię do domu dziecka!”. I przywiózł mnie tu, do was...

Minęło z dziesięć dni. Wrzesień w dalszym ciągu był ciepły i piękny, powoli nadciągała jednak złota jesień.

Podczas obiadu do stołówki wkroczyła jedna z wychowawczyń. W ręku trzymała arkusz papieru. Głośno powiedziała:

– Uwaga! Uwaga! Dzieci, proszę o ciszę!...

Gwar ustał. A ona wtedy:

– Ci spośród was, których nazwiska i imiona wyczytam, stawia się po obiedzie w świetlicy. I nie ociagać się! Spóźnień nie będziemy tolerować!...

Między innymi wymieniła i moje świeżo przybrane nazwisko. Na liście byli też Żeńka, rodzeństwo Rada i Jurka Piatakowie, rodzeństwo Musia i Andrzej Budkiewiczowie, Lena Charina, siostry Laura i Julia Krasuckie (też z polskiej rodziny), Tania Karcewa, Willi Bielewicz (Polak) i inni. Razem, jak się potem okazało, wymieniono nazwiska dwudziestu sześciu dzieci w wieku od siedmiu do szesnastu lat. Mojej trzyletniej Marysi na tej liście nie było!...

Gdy usadowialiśmy się na stojących rzędami ławkach, do sali wszedł niski, chudy mężczyzna w wojskowej bluzie bez dystynkcji. Po zapadnięciu ciszy powiedział:

– Dzieci, Władza Sowiecka i osobiście towarzysze Stalin pamiętają o was, otaczają was opieką i troską. Kierujemy więc was do domu dziecka... – na chwilę się zatrzymał, potem dodał: – bardzo dobrego i dużego domu dziecka. Tam będziecie mieszkać, uczyć się w szkole, a jednocześnie we własnych warsztatach zdobywać wspaniałe zawody. Jesteśmy przekonani, że docenicie to wszystko, co dla was czynimy, że będziecie dobrze się uczyć i nie będziecie wyprawiać żadnych głupstw – tu podniósł wskazujący palec prawej ręki i nam pogroził – jednym słowem, że nie zawiedziecie naszego zaufania. A teraz – kontynuował – idźcie do waszych sypialni, pozabierajcie, co tam macie, i wychodźcie na podwórze, tam wyznaczona jest zbiórka. Reszta waszych rzeczy będzie wystawiona przy bramie, stamtąd je zabierzecie. Czy są pytania? – zakończył.

Przez parę chwil trwało milczenie. Oswajaliśmy się z przekazaną nam wiadomością. Jedna z dziewczynek podniosła rękę.

– No, co tam? Słucham cię, mów...
– A gdzie jest ten dom dziecka, do którego nas powiozą?
– Całkiem niedaleko, w obwodzie gorkiewskim, mniej niż doba jazdy z Moskwy. Leży nad samą Wołgą... W bardzo ładnej okolicy – ton jego sugerował, że miejsce to zna osobiście.

Podniosłem rękę.

– No...

– Jestem tu z siostrą. Chciałbym żebyśmy pojechali razem... Dobrze?

– Ila lat ma ta twoja siostra?

– Trzy.

– Nie! Jest zbyt mała. Wśród was nie ma dzieci w wieku przedszkolnym. Zresztą... – zamilkł na chwilę – ją też skierujemy do bardzo dobrego domu dziecka... Tak więc nie masz czym się martwić. Są jeszcze pytania? Nie ma? No to w drogę, młodzi przyjaciele – zakończył spotkanie.



Takie to były okoliczności naszego z Marysią rozstania...

Po moim wyjeździe przebywała ona w *Daniłowce* jeszcze przez kilka tygodni. Dowiedziałem się dopiero po latach, że w tym czasie ciężko zachorowała. Miała bardzo wysoką gorączkę, leżała sama w izolatce, męczyło ją pragnienie, bredziła w malignie. Wydawało się jej, że ja wkradam się do pokoju przez okno i daję jej pić. A potem przychodzi mama, tuli ją i wręcza jej wspaniały prezent – wielką, piękną lalkę z długimi, jasnymi włosami zaplecionymi w warkocze...

Nie były to tylko same urojenia: rzeczywiście ciężko chorą Marysię odwiedziła wówczas Wiera Michajłowa – dobra znajoma naszej rodziny, pierwsza żona Bronka. Wszczęta wtedy starania, aby pozwolono jej zabrać Marysię do siebie. Nic z tego nie wyszło. Natomiast w stosunku do niej wyciągnięto odpowiednie konsekwencje: za próbę zaadaptowania dziecka „wroga ludu” karnie zwolniono ją z pracy (była kierowniczką hali maszyn w jakimś ministerstwie).

Miała jednak szczęście – chyba tylko wyłącznie przez przypadek NKWD jej nie aresztowało...

STALIN NAM OJCEM

Nasz pociąg osobowy wrześniowym, chłodnym rankiem wtoczył się na peron dworca głównego w mieście Gorkij (zarówno przed pierwszą wojną światową jak i obecnie – Niżnij Nowgorod). Wysiedliśmy zaspani i zdrętwiali od ciasnoty w przedziałach, nadzorowani przez wychowawczynię *Daniłowki* i milicjanta z przypiętym do pasa rewolwerem. Tu czekała nas przesiadka. Wsiedliśmy do tramwaju. Każde z nas, starszych, trzymało w rękach własny bagaż i dodatkowo jakieś bagaże maluchów. Zjeżdżając w dół wzdłuż nadzwyczaj stromego wąwozu dojechaliśmy nad sam brzeg Wołgi, do wielkiej rzecznej przystani pasażerskiej. Dotąd widziałem tylko Wisłę, wąziutką berlińską Szprewę i rzekę Moskwę, nie licząc rzeczek i strumyków w miejscowościach lotniskowych. Teraz z zachwytem i zdumieniem patrzyłem na płynącą obok ogromną rzekę, jaką jest Wołga po wypłynięciu do niej Oki.

Po wielu godzinach nudnego oczekiwania na przystani nadwożańskiego portu wsadzono nas na statek. Następnego ranka, po przepłynięciu około stu kilometrów dobił on do przystani, którą była barka przymocowana linami do brzegu. Tablica na budce tego „portu rzecznego” informowała, że jesteśmy w miasteczku Łyskowo (to właśnie Łyskowo w powieści „Dwanaście krzeseł” Ilfa i Pietrowa przedstawione zostało jako klasyczny przykład zabitej deskami rosyjskiej prowincji). Czekala nas przeprawa na drugą stronę rzeki. Był kolejny piękny, aczkolwiek rzeński wrześniowy poranek. Całe towarzystwo władowano do dwóch sporych łodzi, każda była obsługiwana przez sternika i wioślarza.

My, chłopacy, wsiedliśmy jako pierwsi do jednej z nich. Dziewczęta i moskiewscy konwojenci zajęli drugą. Sternicy odepchnęli łodzie od brzegu, wioślarze pociągnęli za wiosła i brzeg, na którym znajdowała się przystań, zaczął się oddalać. Na łodzi z dziewczynami panował porządek. Inaczej się rzecz miała u nas. Któryś z chłopaków zapytał:

– Kto nie umie pływać?

Parę takich oferm znalazło się, w ich liczbie i ja. Wtedy kilku chłopców, nie zwracając uwagi na upomnienia, a potem

i przekleństwa załogi, rozhuśtało łódź. Małolaty zaczęły ze strachu pochlipywać i wrzeszczeć. Ja też byłem głęboko przestraszony, cały zeszytniałem, podobno zbładłem. Honor nie pozwalał mi jednak dołączyć do błagających o litość maluchów. Żeńka, najstarszy wśród nas, nie brał udziału w hecy, ale też i nie interweniował. Sam nie odczuwał najmniejszego strachu – świetnie pływał. Opowiadał mi później, że właśnie wtedy zwrócił na mnie uwagę, bo jego zdaniem zachowałem się, jak to sformułował, godnie. Wreszcie załoga zaprowadziła porządek na pokładzie. Po jakimś czasie obie łodzie szczęśliwie dobiły do przeciwległego brzegu, będącego piaszczystą łąką przechodzącą w jeszcze zieloną łąkę.

Na biegnącej przez łąkę rozjeżdżonej wozami drodze stały dwa chłopskie wozy z zaprzęgniętymi w nie końmi. Wozy te przysłano tu po nas ze stanowiącego cel naszej podróży domu dziecka. Wrzuciliśmy na nie nasze skromne bagaże, usadowiono na nich co młodsze dzieci, a do jednego z wozów wsiadła też tęga wychowawczyni z *Daniłowki*. Wozy ruszyły, za nimi reszta towarzystwa wraz z milicjantem. Odpoczywając parę razy po drodze przeszliśmy blisko trzydzieści kilometrów. Bardzo już zmęczeni, późnym popołudniem dotarliśmy do punktu docelowego – sioła Kniaginino.

Była to stosunkowo duża osada, siedziba gminy. Liczyła ze dwa tysiące mieszkańców. Rozległe sioło leżało nad stosunkowo niewielką rzeką Imzą (oczywiście jak na stosunki rosyjskie, szerokość jej mniej więcej odpowiadała szerokości Pilicy pod Sulejowem), której brzegi porastały gęste zarośla trzciny. Miejscowość składała się z dwóch równoległych ulic, z których jedna, główniejsza, pokryta była „kocimi łbami”. Wąziutkie i małe dróżki poprzeczne przecinały te ulice pod kątem prostym. Na obrzeżu sioła leżały trzy chutory: jeden za Imzą – Zarieczje, pozostałe oddzielone były od Kniaginina parowami. W środku osady były dwie cerkwie, obie nieczynne, jedną z nich przekształcono w klub, do którego zaglądało z rzadka kino objazdowe. Trzecia, z częściowo zburzoną dzwonnica, stojąca za siołem na górze, na cmentarzu porośłym gęstymi krzakami bzu, wykorzystywana była jako spichlerz. W samym środku sioła znajdował się zawsze pusty wybrukowany „kocimi łbami” plac (kiedyś targowy), a przy

nim spory jednopiętrowy, murowany budynek, na parterze którego mieściły się poczta i jedyny w siole sklep wielobranżowy. „Wielkomiejski” charakter miejscowości poza cerkwiami podkreślało kilka murowanych budynków: dwie szkoły – *siemilietka* (podstawówka) oraz *diesiatilietka* (szkoła średnia), jak i wspomniany już gmach poczty i sklepu. Resztę zabudowy stanowiły drewniane, parterowe chałupy, przeważnie w nie najlepszym już stanie. Byłe co, na przykład przejazd zabłąkanej ciężarówki wzbijającej tumany kurzu, był tu wydarzeniem długo komentowanym. „Nie, to nie jest Rio de Janeiro!” – mawiał o takich miejscowościach Ostap Bender, bohater „Dwunastu krzesel”, książki ze znajomości której byłem przepytywany przez Jurkę Wagnera.

Na samym skraju, właściwie już poza granicą zabudowy sioła, znajdował się spory kawałek budynków z czerwonej, klinkierowej cegły, w którym zarówno przed pierwszą wojną światową, jak i potem – w latach poprzedzających kolektywizację, funkcjonował browar. Teraz mieścił się tu duży dom dziecka, właściwie cały kombinat o dumnej nazwie *Kniagininskij Dietgorodok* (*dietgorodok* – skrót od *dietskogo gorodka*, czyli miasteczka dziecięcego). Całość *dietgorodka* była podzielona na pięć mieszczących się w odrębnych budynkach oddziałów zwanych *korpusami*. Na czele każdego z nich stał naczelnik, jemu podlegali wychowawcy. Całością kierował dyrektor. Trzy *korpusy* znajdowały się na terenie byłego browaru. Tam też były stołówka, kuchnia, warsztaty (stolarski i szewski), jak i jedyna w Kniagininie „elektrownia” – czyli niewielka buda, w której ustawiono jednocylindrowy, zdezelowany silnik, opływający kroplami ropy przylegający teren. Tu też znajdowały się pomieszczenia zaplecza gospodarczego: pralnia, stajnia i magazyny. Pozostałe dwa *korpusy* oznaczone rzymskimi numerami II i III zlokalizowane były poza terenem *dietgorodka*, przy wspomnianym uprzednio placu targowym.

Wychowankami *dietgorodka* były – do czasu przyjazdu naszej grupy – wyłącznie sieroty i półsieroty. Nie było wśród nich dzieci i młodzieży o przeszłości kryminalnej. Wychowanków z reguły przetrzymywano tu najwyżej do ukończenia szkoły podstawowej lub ukończenia czternastu – piętnastu lat,

potem kierowano ich do FZO – posiadających internaty szkół przysposobienia zawodowego.



Wozy wjechały na teren *dietgorodka*. W ślad za nimi wkroczyła nasza grupa zmęczona całodziennym marszem. Zatrzymaliśmy się tuż za bramą, przy czerwonym, ceglanym narożniku *korpusu* głównego. Dzień dobiegał końca, ale zmrok jeszcze nie zapadł. Nasi moskiewscy konwojenci weszli do biura, my staliśmy w oczekiwaniu. Naprzeciwko nas, „nowych”, stopniowo gęstniał tłumek skromnie ubranych dzieci i wyrostków, na ogół chłopców, z głowami ostrzyżonymi na „łysą pałę”. Uważnie przyglądaliśmy się sobie nawzajem. Byłem przekonany, że tym razem trafiłem już na tych prawdziwych *besprizornych*. Przeciągające się milczenie przerwał przedstawiciel rdzennych wychowanków. Był to niewielki chłopiec w wieku jakichś jedenastu lat, o bardzo dziwnym kształcie głowy – była nieproporcjonalnie duża, a z tyłu nienaturalnie wypukła:

– Skąd was przywieźli? – zagadnął Miszę Stiepankowa.

– Z Moskwy...

– Co ty powiesz?... Wszystkich?... – był wyraźnie zdziwiony, po raz pierwszy w jego krótkim życiu zdarzyło mu się napotkać ludzi, którzy przyjechali wprost ze stolicy.

– Ty!... Jak się nazywasz?... – kontynuował nawiązywanie znajomości.

– Misza... A ty?

– Ja?... – uśmiechnął się jakby z zażenowaniem. – Sania... Albo Sasza czy Szura...

– Jaki on tam Sania czy Szura – przerwał mu chudy, wysoki wyrostek z długim, orlim nosem. Wyglądał na czternaście – piętnaście lat. – On się nazywa „Dynia”, a nie żaden tam Saszeńka... – „ksywka” zdecydowanie nawiązywała do kształtu głowy małolata. Ale agresji nie było również w głosie starszego. Odetchnąłem, na razie nikt nie wyglądał na zbója.

Wtem z małego, parterowego budyneczku przy bramie, w którym mieściła się kancelaria *dietgorodka* – gabinet

dyrektora i pomieszczenie rachuby – wyszła grupa dorosłych. Byli wśród nich wychowawczynie z *Daniłowki* i milicjant z eskorty. Odezwał się niewysoki, szczupły mężczyzna w wojskowej bluzie bez dystynkcji, w wojskowych spodniach *galife* i butach z cholewami. Jak się później okazało był to dyrektor *dietgorodka*.

– Proszę o ciszę! „Starzy” wychowankowie mają się rozejść, na miejscu pozostają tylko ci, co teraz przyjechali.

Do akcji wkroczyła moskiewska wychowawczynie. Spoglądając do trzymanej w ręku kartki zaczęła wywoływać ułożone alfabetycznie nazwiska, a myśmy je potwierdzali mówiąc:

– Jestem!... – czy – Obecny!...

Gdy zakończyła ten swoisty apel, powiedziała towarzyszącym jej mężczyznom:

– Widzicie, towarzysze, wszystko się zgadza, tak jak mówiłam – dwadzieścia sześć osób, co do jednej. – I kończąc jakąś prowadzoną widocznie uprzednio rozmowę dodała: – Możecie więc już bez zastrzeżeń wystawić mi to pokwitowanie.

Dyrektor kiwnął potakująco głową, ale najpierw przemówił do nas:

– Od tej chwili jesteście wychowankami *Kniagininskiego Dietgorodka*. Ja jestem tu dyrektorem, nazywam się Piotr Iwanowicz Łopuchin. To jest – tu wskazał na stojącego obok, wysokiego, potężnego mężczyznę w wieku trzydziestu kilku lat – wasz nowy przełożony, nazywa się Paweł Aleksandrowicz. On jest naczelnikiem trzeciego *korpusu*, w którym wy wszyscy, i dziewczęta i chłopcy, będziecie teraz mieszkać. Winniście bezwzględnie podporządkować się wszelkim jego poleceniom i wskazówkom. Do niego, lub do podległych mu wychowawców, będziecie się meldować ze wszystkimi waszymi sprawami. Jutro – kontynuował – macie wolny dzień, będziecie mogli zapoznać się z waszym nowym domem i nowymi kolegami. Pojutrze rozpoczniecie normalną naukę w szkole. Jeżeli któreś z was będzie chciało, to popołudniami możecie popracować w którymś z warsztatów, mamy tu stolarnię i warsztat szewski. A teraz pójdziecie z Pawłem Aleksandrowiczem na kolację, właściwie będzie to wasz obiad. Po obiedzie – zakończył – zaprowadzi on was do waszego *korpusu* i przydzieli każdemu łóżko.

W ślad za naczelnikiem ruszyliśmy do stołówki, mieszczącej się w ogromnej sali na parterze budynku głównego. Usiedliśmy czwórkami przy stołach pokrytych brązową ceratą. W towarzystwie dwóch innych chłopców usiadłem przy wspólnym stole z Żeńką. Dyżurni – byli nimi „starzy” wychowankowie – roznieśli ustawione na tacach talerze z cienkim, niezbyt ciepłym kapuśniakiem z kiszzonej kapusty (rosyjska nazwa tego dania elegancko nazywa się *szczi*). W każdym talerzu znajdowała się też mikroskopijna porcja mięsa, coś w rodzaju sześcianiku o boku około jednego centymetra. Później dopiero mieliśmy przekonać się, że takie danie traktowane było jako uroczyste, przywitalne przyjęcie. Te malutkie porcje mięsa serwowane były tylko przy bardzo uroczystych okazjach, czyli na rocznicę rewolucji, święto 1-go Maja i Nowy Rok. Potem inny dyżurny obszedł stoły trzymając w rękach tacę, na której leżały pajdy czarnego chleba – po jednej na osobę. Po zjedzeniu zupy każde z nas dostało – do tego samego talerza – po porcji kaszy jaglanej okraszonej miareczką oleju roślinnego. Następnie talerze zostały zebrane, zamiast nich rozdano czyste, też głębokie. Teraz przeżyliśmy szok – do talerzy tych rozlano nam *czaj*, słodzony sacharyną surogat herbaty z marchwi. Należało go pić czerpiąc z talerza łyżką stołową oblizaną po zjedzeniu kaszy. Z czasem przyzwyczailiśmy się do takiego sposobu picia herbaty...



Zajęliśmy z Żeńką sąsiadujące ze sobą łóżka w kilkunastoosobowej sali. Żeńka, najstarszy chłopak w grupie *moskwicków* (tak nas zbiorowo „ochrzczono” w *dietgorodkie*), jak zresztą i w całym – jak się okazało – domu dziecka, z konieczności skazany został na kolegowanie się ze mną – młodszym od niego o dwa lata i dwie klasy. Inni chłopcy z naszej grupy byli jeszcze młodsi, przynajmniej o kolejne dwa lata. Żeńka był większy i silniejszy ode mnie. Wybiegając w przyszłość – stał się dla mnie oparciem w różnych trudnych sytuacjach i z czasem zacząłem go traktować jak starszego brata, jak wzorzec i wyrocznię.

Następnego dnia po pobudce odbyło się poranne mycie.

Woda – niezależnie od pory roku – była tylko zimna, nalewano ją do blaszanych skrzynek – umywalek, zawieszonych na ścianie, nad rynną ściekową ustawioną w nieogrzewanej sieni. Aby nabrać wodę na dłonie należało podbić ręką metalowy trzpień wystający z dna beczki – umywalki.

Po zaścieleniu łóżek i ubraniu się wyszliśmy całą gromadą, razem ze „starymi” wychowankami, przed budynek *korpusu*. Kazano nam ustawić się czwórkami, frontem do wychowawczyni. Była to szczupła, niska, krótkoostriżona kobieta w wieku jakichś trzydziestu lat. Ubrana była w półwojskowy żakiet i buty typu oficerki z błyszczącymi cholewami. Z zaciętą, marsową miną wydała komendę:

– Baczość!... Kolumna... na-pra-wo!... Marsz!... Raz, dwa, trzy, lewa... lewa... Masza, intonuj!

Dziewczynka z grona „starych” wychowanek wysokim, czystym, dziewczęcym głosem zaintonowała:

– *Szyraka strana maja radnaja...*

I cała kolumna podchwyciła słowa bardzo wówczas popularnej i powszechnie śpiewanej pieśni, wychwalającej kraj, w którym człowiek oddycha w warunkach niespotykanej nigdzie indziej wolności. Tak było tego pierwszego poranka. Tak już pozostało na zawsze: niezależnie od pory roku i pogody w drodze do stołówki, idąc przez całe Kniaginino śpiewaliśmy piosenki patriotyczne, zarówno te stare, z okresu wojny domowej, jak i te późniejsze, o ukochanym towarzyszu Stalinie i Ojczyźnie.

Dzień później, bezpośrednio po śniadaniu zaprowadzono nas po raz pierwszy do szkoły. Najstarszych – do *diesiatilietki*. Lena poszła do dziewiątej klasy, Rada, Musia, Laura i Żenka – do klasy ósmej. Nieco młodszych oraz maluchów zaprowadzono do *siemilietki*. Mnie z Tanią Karcewą i jeszcze jedną dziewczynką – do klasy szóstej, pozostałe dzieci – najwyżej do czwartej.

W obu szkołach zdecydowaną większość stanowiły dzieci i młodzież pochodzące z Kniaginina i najbliższych okolic. Byli oni przez nas, wychowanków *dietgorodka*, nazywani *dieriewienskimi*, czyli wsiowymi. Stosunki między nami a wsiowymi układały się różnie, nie zawsze najlepiej. Wychowanek naszego domu dziecka, dwunastoletni poeta Sioma

Jakimienko, w swoim poemacie ujął sprawę następująco:

Nożki wzjaw	„Wyłamawszy nogi
od stuljew wienskich	z krzesel giętych
Bit' poszli my	Bić poszliśmy
dieriewienskich...	wsiowych...”

Spora część osób z naszej grupy *moskwiczów*, w tej liczbie na pewno ja, w swojej dotychczasowej karierze uczniowskiej wykazywała się co najwyżej przeciętnymi zdolnościami do nauki. Tu, w Kniagininie, na tle naszych wiejskich rówieśników, my, uczniowie z wielkiego miasta, błyszczeliśmy jak brylanty. Na przykład: na pierwszej bodajże lekcji języka niemieckiego (w moskiewskiej szkole próbowano mnie uczyć francuskiego) zostałem wywołany do odpowiedzi. Nauczycielką była stara, potężna, tęga Nadieżda Nikołajewna Znamienskaja, jak mi później opowiedziano wywodząca się z hrabiowskiej rodziny. Po raz pierwszy od wielu lat na swoje pytanie starsza pani usłyszała odpowiedź wypowiedzianą w czysto berlińskim dialekcie!

– *Wunderbar, mein Kind!* (wspaniale, moje dziecko) – powiedziała swym tubalnym głosem z najwyższym uznaniem. Wybiegając znowu w przyszłość: nie od rzeczy będzie nadmienić, że zachwyt nauczycielki wcale nie wyszedł mi na dobre – przestała czegokolwiek ode mnie wymagać, stawiała mi coraz mniej zasłużone piątki, aż w końcu gruntownie zapomniałem języka niemieckiego, podobnie zresztą jak polskiego, którego zapomnieliśmy zarówno ja, jak i moje polskie koleżanki Musia i Laura.

Starsza pani, która podczas wojny domowej uciekła z rodzowego majątku i zaszyła się tu, w Kniagininie, jak najdalej od wszelkich władz, z czasem polubiła mnie i pożyczała mi do czytania książki ze swojej bogatej prywatnej biblioteki, cudem uratowanej z pożogi wojny domowej.



Naszym prawdziwym, intymnym domem były pokoje sypialne, a właściwie wieloosobowe sale. Tu się nie tylko

spać. Tu odrabiało się lekcje (ku zazdrości wsiowych – przy prawdziwym świetle elektrycznym, a nie jak oni – przy nędznych lampach naftowych!), tu wiodło się z kolegami długie rozmowy, tu też czytało się książki, bowiem czytanie było wspaniałą odtrutką od codziennej monotonii. Tu pod łózkami trzymaliśmy walizeczki, a częściej drewniane skrzyneczki, w których każdy z nas przechowywał swoją prywatną własność. Tu wreszcie wieczorami, gdy wyłączano światło (mechanik wyłączał „elektrownię” przed dziewiątą wieczór i szedł do domu) opowiadaliśmy sobie treść przeczytanych książek. W tym przodowaliśmy z Żeńką. Zaskarbiłem podziw i szacunek moich kolegów z sypialni opowiadając im przez wiele kolejnych wieczorów „Trzech muszkieterów” i „Hrabiego Monte Christo”.

Zdarzało się, że przeczytana książka stawiała się przyczyną wręcz absurdalnej sytuacji. Czwarto- czy piątoklasista Misza „przełknął” z wielkim przejściem powieść Waltera Scotta, której akcja toczyła się w epoce angielskiego średniowiecza. Z całkiem nieznanych powodów ogromne wrażenie na młodym czytelniku wywarła zacytowana w tej książce wypowiedź Cromwella: „Nadzieję pokładaj w Bogu, lecz strzeż proch przed zawilgoceniem”. Na kartce z zeszytu starannie wykalgigrafował Misza dużymi literami tę sentencję, a pod cytatem umieścił podpis: „Oliver Cromwell” i przymocował ten arkusz pinezkami na ścianie nad wezgłowiem swego łóżka. No i zaczęła się heca! Wychowawczyni Anastazja Nowikowa, ta co nosiła buty z wysokimi, błyszczącymi cholewami, pieśczośliwie przezwana przez nas „feldfeblem w spódnicy”, miała zwyczaj codziennie rano sprawdzać nasze łóżka. Czy je ktoś w nocy nie obsiusiał (winowajca poddawany był ostracyzmowi w obecności wszystkich innych współmieszkańców) oraz czy wszystkie zaścielone zostały według nakazanego przez nią wzoru (siennik wyrównany „na płasko”, prawy skraj prześcieradła owija równym pasem odpowiednio podwinięty koc, bez najmniejszej zmarszczki!). Jeżeli przegląd wypadł dla kogoś niepomysłnie – cała pościel wraz z siennikiem ładowały na podłodze i sprawca wykroczenia zaczynał ścielić od nowa. Tego dnia, podczas ulubionego przez Nowikową sprawdzania łóżek, wzrok jej padł na plakat Miszy. Zapytała zdumiona:

– Kto to powiesił?

– Ja! – z dumą stwierdził autor plakatu.

– A kto to jest, ten cały Cromwell? – na wszelki wypadek podniosła głos. – Kto?? *Nu*, kto??? A może jakiś „wróg ludu”? – w głosie jej zabrzmiały nutki hysterii. – Może trzeba niezwłocznie powiadomić o tym Cromwellu NKWD? – krzyczała z istic damską egzaltacją.

Miałem i ja swą przeprawę z tą wychowawczynią. W owych latach byliśmy wyposażeni w produkowane w drukarni według jednolitego w ZSSR wzoru dzienniczki szkolne. Było tam specjalne miejsce na plan lekcji, na tematy zadań domowych, na wystawianie uczniom oceny, na ewentualne uwagi nauczycieli. Była tam też rubryka na cotygodniowy podpis rodziców, przyjmujących to wszystko do wiadomości. Bardzo ciężko przeżywałem rozłąkę z domem, oderwanie od najbliższych. Właśnie dlatego cotygodniowe przedkładanie dzienniczka nie lubianej przeze mnie wychowawczyni, zabieganie o jej podpis w rubryce przewidzianej dla moich rodziców, traktowałem jako zdradę wobec nich, jako czyn haniebny. Składałem więc w tej rubryce własnoręczny podpis, ozdobiony dla powagi fantazyjnymi zawijasami, uzupełniając go uwagą: „z braku takowych”. Bezceństwo to wykryła jako pierwsza moja wychowawczyni z klasy, niejaka Starikowa, również Anastazja, i pośpieszyła powiadomić o tym gorszącym wykroczeniu naszego „feldfebla w spódnicy”. Ta zaś urządziła mi wielką awanturę:

– Na co ty, gówniarzu, sobie tylko pozwalasz?? – wrzeszczała. – Na co?! Patrzcie tylko na niego: wymyślił sobie – „z braku takowych”! Zapamiętaj bałwanie, raz i na zawsze: co jak co, ale rodziców to ty masz! Są nimi: władza sowiecka i ja!!

Przypominają mi się strofy z cytowanego uprzednio wiersza Natalii Astafjewoj:

Rodina mat'. Stalin atiec.

*Nie slizskom li mnogo
dlia dietskich sierdiec*

„Ojczyzna nam matką,
Stalin ojcem.

Czy to nie zbyt wiele
dla serc dziecięcych...”

Jeżeli już wspominałem o czujności: cechowała ona nie tylko naszą wychowawczynię z domu dziecka. Wspomniana uprzednio wychowawczyni klasowa Anastazja Iwanowna Starikowa uczyła nas języka rosyjskiego. Pewnego dnia zadała nam do domu wypracowanie, którego treścią miało być dopisanie własnego zakończenia do opowiadania Maksyma Gorkiego pod tytułem *Czełkasz*. Opowiadanie to, należące do cyklu *Bosiackich rasskazow*, traktuje o twardych i hardych, czupurnych lumpenproletariuszach z portów nad Wołgą czy nad Morzem Czarnym z czasów Rosji carskiej. Moja wersja zakończenia skomponowana została w tak mi wówczas bliskiej konwencji rewolucyjno-romantycznej: bohater opowiadania, *bradiaga* o przezwisku „Czełkasz”, przystępuje do ruchu rewolucyjnego. Działa w konspiracji, zostaje pojmany, sądzony i skazany przez wrogie, niesprawiedliwe sądy na katorgę. I idzie, pobrząkując kajdanami, prowadzony przez nieludzkich carskich żandarmów. Zarówno za formę literacką jak i wzniosłą treść ideową spodziewałem się ze strony nauczycielki wyrazów zachwytu i słów najwyższego uznania. Całkowicie więc byłem zaskoczony, gdy rozdając w klasie sprawdzone zeszyty nauczycielka z niesmakiem powiedziała mi:

– Fetorek jakiś nieprzyjemny zalatuje z twojego wypracowania... Wredny taki zapaszek... Aż na odległość wyczuwa się w nim jakby jakieś teoryjki trockistowsko-bucharinowskie!... – Rozważania zakończyła brutalnym stwierdzeniem: – postawiłam ci „niedostatecznie”!

I jeszcze jeden kwiatek z tej łączki: dzieliłem w ławce szkolnej miejsce z moim kolegą Szurką Zykowem, wychowankiem naszego *dietgorodka*, do którego trafił, gdyż ojciec-pijak wypędził go z domu. Otóż pewnego razu podczas lekcji, z miną wielce tajemniczą, powiedział mi szeptem:

– Przyjrzyj się uważnie rysunkowi na okładce swego zeszytu!

Zacząłem się przyglądać. Zeszyt był jak to zeszyt, najzwyczajniejszy w świecie. Niebieska okładka miała, jak zwykle, na tylnej stronie wydrukowaną rycinę. Tym razem przedstawiony był na niej opisany w znanej bajce Aleksandra Puszkina rosnący nad brzegiem morza rozłożysty dąb, do pnia którego przykuty był złotym łańcuchem opowiadający bajki

kot w wysokich butach z ostrogami.

– No jak, widzisz? – głos Szurki zdradzał niezwykle podniecenie.

– A niby co mam widzieć? – byłem całkowicie zdezorientowany.

– Jak to co?! Popatrz na gałęzie!!

Przyjrzałem się.

– Gałęzie jak gałęzie...

– Ech ty... – i Szurka szeptem zaczął mnie uświadamiać, że podli „wrogowie ludu”, sabotażyści, nie tylko wysadzają w powietrze kopalnie, huty i mosty kolejowe. Teraz zabrali się oni do zeszytów szkolnych!

– Popatrz, fujaro! – z triumfem wskazał mi palcem na płataninę kresiek, przedstawiających gałęzie rozłożystej korony drzewa. – Widzisz?!... Przecież te gałęzie wyraźnie układają się w chytrze zamaskowany *faszystyskij znak* (tak po rosyjsku nazywa się swastyka).

Tak to podczas lekcji, zamiast zdobywać wiedzę, wpatrywaliśmy się w zawiłe kreski gałązek. Nie mam oczywiście pojęcia w jaki sposób ta plotka trafiła do Kniaginina. Ciekawe jest to, że na podobną historię natrafiłem kilka lat temu czytając rozrachunkową powieść Władimira Dudincewa o nazwie „Białe szaty”. Znalazłem w niej, że w całkiem innej części ZSSR, ale w tych samych czasach, na rycinach tylnych okładek zeszytów szkolnych też poszukiwano diabelskiego znaku – swastyki, rzekomo przemyconego przez zakamuflowanych wrogów. Zakończenie tej historii było następujące: czujne organa NKWD ku ogólnej satysfakcji dostrzegły we właściwym czasie te wrogie knowania i z niebieskich okładek zeszytów zniknęły wszelkie obrazki.



Na kolejne rocznice rewolucji październikowej i święta pierwszomajowe przystrajaliśmy nasz *dietgorodok*. Wszędzie powiewały czerwone sztandary. Na najbardziej honorowym miejscu, czyli zewnętrznej – od strony „miasta” – ścianie *korpusu* głównego, wywieszaliśmy przeogromny portret dobrotliwie uśmiechniętego Josifa Wissarionowicza, a pod

nim rząd mniejszych portretów członków Biura Politycznego. Wszyscy oni mieli skupione wyrazy twarzy, i dlategoś dziwnie długie i cienkie szyje. Pod portretami umieszczone było wielkie hasło: *Spasibo towariszczu Stalinu za nasze szczęśliwoje dietstwo*. To samo hasło przytoczone zostało we wspomnianym wierszu Astafjewoj:

<i>My dieti wragow –</i>	„Jesteśmy dziećmi wrogów –
<i>plakat nas priwietstwuje:</i>	plakat nas wita:
<i>Spasibo towariszczu Stalinu</i>	Dziękujemy towarzyszowi
	Stalinowi
<i>za szczęśliwoje dietstwo...</i>	za szczęśliwe dzieciństwo...”

Podczas każdych świąt odbywała się też uroczysta akademia. Ramowy scenariusz takich uroczystości ustalony był raz na zawsze. A więc punkt pierwszy – wybór honorowego prezydium. Punkt drugi – referat okolicznościowy. I wreszcie punkt trzeci – część artystyczna. Wybór tak zwanego honorowego prezydium odbywał się w sposób następujący: kolejny dyrektor *dietgorodka* łamiącym się ze wzruszenia głosem proponował wybrać do tego ciała jako pierwszego – ukochanego wodza i nauczyciela wszystkich narodów, największego przyjaciela dzieci Josifa Wissarionowicza Stalina. Tu następowały burzliwe i długotrwałe oklaski z owacją na stojąco, zupełnie tak, jak to opisywano w gazetach przy sprawozdaniach z większych uroczystości państwowych. Gdy wreszcie zapadała cisza dyrektor wymieniał kolejno (oklaski były, ale nie tak długotrwałe i gorące) nazwiska: Mołotowa, Woroszyłowa, Kaganowicza, Kalinina, Jeżowa (po 1938 roku jego nazwisko przestano wymieniać, zamiast niego pojawił się Ławrietij Beria) i pozostałych członków Biura Politycznego. W ramach części artystycznej śpiewano gruzińską melodyjną piosenkę „Suliko” (była to ukochana piosenka towarzysza Stalina) i różne *czastuszki* przeplatane tańcami...

Pewnego razu kolejnemu dyrektorowi znudził się taki układ części artystycznej. Zebrał nas, starszych wychowanków, i zakomunikował, że zorganizujemy teatr. Pomysł nam się spodobał – zapowiadał odtrutkę na codzienną szarżyznę życia. Scenariusz był wybitnie sensacyjny: podły dywersant

potajemnie przekracza granicę Związku Sowieckiego, zabijając przy okazji dwóch dzielnych czerwonoarmistów z wojsk ochrony pogranicza. Rozpoczyna pracę w zakładzie przemysłowym (postanowiliśmy, że to będzie stolarnia, jej bowiem wyposażenie da się wykorzystać jako dekorację). Złoczyńca coś psuje zwalając winę na niewinnych i szlachetnych kolegów. Zostaje jednak zdemaskowany przez czujnego komsomolca. NKWD ujmuje *szwarzchareaktera*, sprawiedliwość triumfuje.

Rada została wyznaczona reżyserem przedstawienia. Rola pozytywnego komsomolca przypadła rzecz jasna Żeńce – był najstarszy i najwyższy. Największa trudność powstała przy obsadzaniu roli *szwarzchareaktera*, poza Żeńką nie było wśród wychowanków dostatecznie wysokiego chłopaka. Po długich namowach rolę tę przyjął jeden z wsiowych kolegów Żeńki i Rady z klasy. Mnie, ku mojemu głębokiemu rozgoryczeniu, poza funkcją suflera przydzielono jedynie rolę jednego z dwóch zabitych czerwonoarmistów, tracących swe młodzińcze życie na samym początku aktu pierwszego. Leżąc „martwy” na deskach sceny straszliwie zmarzłem – zacząłem więc dygotać i szcekać zębami. Rozpraszało to uwagę „dywersanta”, najpierw rzucał mi zabójcze spojrzenia, potem ukrywając to przed publicznością, zaczął mi grozić pięścią. Moja aktorska nieudolność okazała się ewidentna – nawet nieboszczyka nie potrafiłem porządnie zagrać! Swoją karierę aktorską na tym zakończyłem. Nawet (o czym piszę dalej) sam Wsiewołod Pudowkin, słynny reżyser filmu „Burza nad Azją”, nie potrafił mnie namówić do podjęcia jeszcze jednej próby.

W sali stołówki, wykorzystywanej też na urządzenie akademii i innych imprez, od czasu do czasu wyświetlano nam też filmy fabularne – sowieckie komedie, filmy o rewolucji czy wojnie domowej lub dramaty o okropnościach niemieckiego faszyzmu (to ostatnie – tylko w okresie poprzedzającym pakt Ribbentrop-Mołotow). Filmy te wyświetlał specjalnie zatrudniony w *dietgorodkie* pracownik – *kinomechanik*. Większość starszych wiekiem wychowanków uczyła się w warsztatach jakiegoś zawodu – stolarstwa czy szewstwa. Ja postanowiłem zdobyć bardziej elitarny zawód: rozpocząłem

terminowanie u *kinomechanika*. Z zamiaru tego nic jednak nie wyszło, gdyż mój mistrz jedynie pozwalał mi przewijać wyświetlone już rolki filmu, głównie zaś wykorzystywał mnie ganiając do przylegającej do sali jadalnej kuchni, z której przynosiłem mu w karafce herbatę. Po stłuczeniu przeze mnie drugiej z kolei karafki, posada została mi karnie wymówiona. Tak więc do dorobku moich specjalizacji i kwalifikacji nie udało mi się zaliczyć *kinomechanika*.

Lepiej poszło z dziennikarstwem. Zostaliśmy wspólnie z Żeńką mianowani „kolegium redakcyjnym” gazetki ściennej całego *dietgorodka*. Pismo to nosiło wdzięczny tytuł *Szczastliwe dietstwo* zaczerpnięty z hasła dziękczynnego adresowanego towarzyszowi Stalinowi. Pisywaliśmy we dwójkę sążniste felietony. Podpisywane były pseudonimem „Bracia ROMŹE”, będącym skrótem od naszych imion: Romka i Żeńka. Zastosowanie skrótu nie było zresztą naszym oryginalnym pomysłem – w centralnych *Izwiestiach* w owych czasach drukowano felietony autorstwa „Braci TUR”.



Z tego okresu odnotuję jeszcze jeden wątek: wspominałem już, że przed wyprowadzeniem mojej matki z domu pozostawiła mi posiadane przez nią pieniądze. Było tego około dwustu rubli, jak na owe czasy kwota niewiele znacząca. W izbie przyjąć *Daniłowskiego Dietprijomnika* pieniądze te zostały mi odebrane. Po kilku miesiącach pobytu w Kniagininie powiadomiono mnie jednak, że te właśnie pieniądze wpłynęły do kasy *dietgorodka* i że wolno mi od czasu do czasu – oczywiście tylko w przypadku, jeżeli wychowawcy nie będą mieli do mnie pretensji – składać do dyrektora podania, aby łaskawie zechciał wyrazić zgodę na podejmowanie przeze mnie drobnych kwot. Podania te winny były zawierać uzasadnienia na co te pieniądze zamierzam przeznaczyć. Zacząłem więc składać te podania. „Fundację” tę przeznaczyliśmy z Żeńką głównie na trzy cele: po pierwsze – na zakup znaczków pocztowych dla naszej niewielkiej korespondencji. Żeńka – czego mu bardzo zazdrościłem – korespondował, za zezwoleniem zwierzchności

dietgorodka, z przebywającą w Niemczech matką, ja zaś pisywałem do Wiery Michajłowej, pierwszej żony mojego ojczyma, tej samej, która usiłowała zabrać Marysię z *Daniłowskiego Dietprijomnika*. Każdy jej list był dla mnie dużym przeżyciem, przypomnieniem rodzinnego domu w Moskwie. Drugie przeznaczenie pieniędzy – obydwaj uważaliśmy się za wytwornych i eleganckich młodzieńców, więc aby nas nie ostrzyżono na „łysą pałę” chodziliśmy do jedynego w Kniagininie fryzjera. Wreszcie po trzecie: od wielkiego święta, na przykład na Żeńki czy moje urodziny, kupowaliśmy w sklepie torebkę cukierków czy pierników, a w porywach i to, i to.

●

Kilka słów o niektórych spośród moich szkolnych nauczycieli. Wspomniałem już uprzednio o nauczycielce niemieckiego, przemiłej Nadziejcie Znamienskiej oraz o nacechowanej bolszewicką czujnością wychowawczyni klasy, nauczycielce rosyjskiego Anastazji Starikowej.

Z sympatią wspominam matematyka, który przez jeden rok uczył nas w *siemilietkie*. Był to wysoki, łysiejący, oschły pan w wieku trzydziestu kilku lat. Wspaniale wykładał. Był milczkiem, z nikim nie zadawał się – ani z innymi nauczycielami, ani – tym bardziej – z uczniami. Prawdopodobnie był Polakiem, nazywał się Walentin (Walenty?) Wołochonowicz. Nikt nie wiedział skąd trafił do takiej dziury jak Kniaginino, za to okoliczności jego zniknięcia dały sporo do myślenia. Otóż pewnego dnia, w środku roku szkolnego, Wołochonowicz po prostu zniknął! Ot – był człowiek, uczył w szkole dzieci, i nagle – zdematerializował się! Przez jakiś czas lekcje matematyki zostały zawieszone, potem przejął je inny nauczyciel. A po Kniagininie rozpetły się plotki, że Wołochonowicz okazał się naślany specjalnie do naszego sioła polskim *szpionem*, ale dzięki Bogu został zdemaskowany i aresztowany przez dzielnych *czekistów* (pracowników organów NKWD).

Podobny był los jeszcze jednego z naszych nauczycieli, niewątpliwie najwybitniejszego. Nazywał się Aleksandr Sido-

row, miałem szczęście być przez niego uczony w ósmej i dziewiątej klasie *diesiatilietki*. Był to dżentelmen czterdziestoparoletni, nadzwyczaj elegancki, zawsze starannie ogolony, pachnący wodą kolońską. Wyróżniał się wśród wszystkich innych mieszkańców Kniaginina płci męskiej, był bowiem jedynym, który zamiast walonków nosił w zimie eleganckie pantofle, z nałożonymi na nie błyszczącymi kaloszami! Od jesieni aż do wiosny chodził w wytwornym pilśniowym kapeluszu (w zimie dodatkowo wkładał wełniane nauszniki), podczas gdy cała reszta mężczyzn w Kniagininie w porach przejściowych nosiła cyklistówki, a w zimie czapy – *małachaje*. Mówiono, że przed przyjazdem do Kniaginina wykładał on na jakiejś wyższej uczelni. Nie wiem, czy odpowiadało to prawdzie, w każdym razie fizyki uczył nas wspaniale. A przy tym traktował nas, uczniów, jak dorosłych, zwracał się do nas *per* „WY”, czyli Pan/Pani. Aż tu ktoś na niego doniósł do odpowiednich władz. Szeptano, że uczynił to nauczyciel historii i konstytucji ZSSR, mąż pulchnej i bardzo jak na Kniaginino eleganckiej chemiczki, z którą wieczorami w pokoju nauczycielskim romansował Sidorow. Finał tego romansu był tragiczny – sprawę rozwiązało NKWD, Sidorowa aresztowano.

Barwną postacią był też nasz nauczyciel gimnastyki Aliksiej Lwowicz Poliwanow, wysoki i wysportowany mężczyzna, absolutnie łysy, z naszego uczniowskiego punktu widzenia bardzo stary – dochodził chyba do pięćdziesiątki. Był to rdzenny mieszkaniec Kniaginina, posiadał tu własny domek z ogródkiem. Miał do nas nadzwyczaj sympatyczny stosunek, gdy mógł – robił nam jakieś przyjemności. Tak na przykład któregoś lata udostępnił nam w swoim ogródku maszynę do kręcenia lodów i z własnej piwnicy dał spory kawał lodu. Zdobyliśmy trochę cukru, mleka, i pracowicie uknęliśmy na tym diabelskim urządzeniu lody śmietankowe. Były bajeczne!! Zresztą były to jedyne lody, jakie trafiły mi się między trzynastym a osiemnastym rokiem życia. Porcje były ogromne, więc po tej uczcie zachorowałem na ciężką anginę.

Dobiegła końca moja nauka w siódmej klasie, ostatniej w szkole podstawowej. Pomimo, że uczeniu się, szczególnie odrabianiu zadań domowych, nie poświęcałem nadmiaru czasu – wyniki miałem więcej niż przyzwoite, dzięki czemu niezależnie od niechęci do mnie wychowawczyni klasy, zostałem prymusem. Zakomunikowano mi, że na razie nie zostanę wysłany z *dietgorodka* do szkoły przysposobienia zawodowego, że w nagrodę za dobrą naukę pozwolą mi pójść do ósmej klasy, już w szkole – *diesiatilietkie*. W owych czasach w Związku Sowieckim szkolnictwo podstawowe i średnie składało się z trzech podstawowych członów: pierwszy – klasy 1 do 4, tak zwana *naczalnaja szkoła*, drugi – klasy 5 do 7, szkoła *siemilietka*, wreszcie trzeci – klasy 8 do 10, *diesiatilietka*, odpowiednik naszego liceum. Tak więc moja najbliższa przyszłość miała pozostać bez większych zmian i – co dla mnie odgrywało zasadniczą rolę – na kolejny rok przesunęło się rozstanie z Żeńką.

W tym okresie moją największą pasją było czytanie książek, czytałem je wszędzie: w sypialni, w stołówce podczas posiłków, a nawet – jak się udawało – pod ławką podczas lekcji. Zresztą czytanie, poza obcowaniem z kolegami, było jedyną dostępną w Kniagininie rozrywką. Seanse kinowe urządzano coraz rzadziej, z czasem całkiem ich zaniechano. Nie tylko w *dietgorodkie*, ale w całym Kniagininie nie było wówczas ani jednego aparatu radiowego. Biblioteki, zarówno w *siemilietkie* i *diesiatilietkie* jak i w *dietgorodkie* były raczej ubogie, ale ja mogłem korzystać z bogatego księgozbioru parokrotnie już wspomnianej w tym opowiadaniu hrabiny Znamienskoj.

Przez te pięć lat, jakie przebywałem w domu dziecka, połknąłem ogromną ilość książek, większą chyba niż przez całą resztę mojego życia. „Iliada” i „Odyseja”, większość książek Aleksandra Dumasa – ojca, prawie wszystko Victora Hugo, dzieła Szekspira i Schillera, wielka klasyka rosyjska od Puszkina, Lermontowa i Gogola poprzez Lwa Tołstoja i Turgieniewa do Dostojewskiego... Oczywiście powieści i opowiadania Jacka Londona, większość wydanych po rosyjsku powieści Liona Feuchtwangera (zarówno tych historycznych jak i współczesnych, o czasach hitlerowskich), przetłumaczeni

na rosyjski współcześni Amerykanie – Theodor Dreiser i Upton Sinclair... Ze współczesnych autorów „sowieckich” najbliższa mi była liryka Sergiusza Jesienina, no i oczywiście „Dwanaście krzeseł” i „Złote cielę” Ilfa i Pietrowa, których to powieści w wyniku wielokrotnego czytania nauczyłem się nieomal na pamięć. W zbiorach starej hrabiny trafiłem nawet – i przeczytałem z wypiekami na twarzy – na przetłumaczone na rosyjski, przedrewolucyjne wydanie „Ogniem i mieczem”!...

W tym okresie przeczytałem też co najmniej dwie książki z literatury politycznej. Pierwsza była Liona Feuchtwangera, jak wspominałem uprzednio – autora mi znanego i przede mnie cenionego. Miała tytuł: „Moskwa – 1937” i w gruncie rzeczy uwiarygodniała przed światem i jego intelektualistami uczciwość i zasadność drugiego z moskiewskich procesów publicznych, tego, którego głównymi oskarżonymi byli Pia-takow i Radek. Autorem drugiej był słynny lewicujący międzywojenny francuski pacyfista Henri Barbusse. Książka nazywała się „Stalin” i była hymnem pochwalnym ku czci tytułowego bohatera, tego, o którym Barbusse napisał: „Człowiek o głowie uczonego, twarzy robotnika, w odzieniu zwykłego żołnierza”.



Nadeszło lato 1939 roku. Dyrektor *dietgorodka* Komlew po kolei wzywał nas, starszych spośród *moskwiczów*, do swego gabinetu i informował, że każde z nas może ubiegać się o przyjęcie do Komsomołu. On osobiście, jako stary członek partii, może udzielić nam rekomendacji (polecenia), albowiem Partia i Ojczyzna gotowe są wybaczyć nam nasze grzechy wynikające z przynależności do rodzin „wrogów ludu” i „zdrajców ojczyzny”. Moje grzechy były co najmniej dwukrotnie cięższe: miałem bowiem wśród „wrogów ludu” nie tylko ojca, lecz również ojczyma, którego nazwisko noszę. Ponadto dodatkową brudną plamę na moim krótkim życiorysie stanowił fakt przebywania za granicą aż do dziewiątego roku życia włącznie, w *panskiej Polsce* i faszystowskich Niemczech (do zawarcia paktu Ribbentrop-Mołotow wciąż jeszcze brakowało paru miesięcy)! Przewyższało to nawet grzechy

Rady, której ojcem co prawda był powszechnie znany i osądzony „wróg ludu” Georgij Piatakow, ale za to nie miała ona żadnego brzydkiego ojczyma i nigdy nie wyjeżdżała poza granicę ZSSR!

Nie wyrzekliśmy się naszych rodziców – ani dziewczyny, ani Żenka, ani ja. Dalej uważaliśmy (poza Radą, która na ten temat nie wypowiadała się), że aresztowania i skazania naszych rodziców były tragicznym nieporozumieniem. Że Jeżow czy jego pomocnicy w organach NKWD, aczkolwiek zdjęci ze stanowisk i zastąpieni Berią i jego współpracownikami, zdołali uprzednio wprowadzić w błąd dobrego i szlachetnego towarzysza Stalina. Byliśmy przekonani, że prędzej czy później dowie się on o tym i zdemaskuje ten nieczyny spisek, naprawi wszystkie krzywdy zadane prawdziwym komunistom, zaś krzywdzicieli – spiskowców surowo ukarze...

Podania o przyjęcie do Komsomołu złożyło każde z nas, które przekroczyło wiek piętnastu lat. Na najbliższym zebraniu związku przyjęto nas do organizacji komsomolskiej. Potem odbyliśmy jeszcze tam i z powrotem po szesnaście kilometrów do rejonowego komitetu Komsomołu, mieszczącego się w stolicy powiatu – siole Bolszoje Muraszokino. W drodze powrotnej do Kniaginina marzyłem o bodaj że półgodzinnym spotkaniu z Bronkiem czy ojcem, na pewno byłiby dumni dowiedziawszy się, że syn ich jest komso-molcem!...

Groza wrześnieowej klęski Polski, wybuchu drugiej wojny światowej, nie dotarły we właściwej skali do naszego Kniaginina, leżącego „za górami, za lasami”. Ten wielki świat był stąd niezmiernie daleko... Tyle, że z dnia na dzień przestano mówić i pisać o okropnościach faszyzmu, przestano nam wyświetlać filmy o walce dzielnych niemieckich antyfaszystów. Poza tym życie w Kniagininie toczyło się po dawnemu. W dalszym ciągu w drodze do stołówki śpiewaliśmy chórem:

... Czужoj ziemi my	„Cudzej ziemi nie
nie chatim ni piadi	chcemy ni piędzi,
no i swajej wierszka nie	lecz własnej
oddadim...”	nie oddamy ani cala...”

Z biegiem czasu rosły nasze pozycje w domu dziecka. Kolejny po Komlewie dyrektor o nazwisku Jerszow, malutki, gładko wygolony i elegancko ubrany pan, zechciał zabawić się w demokrację – prawdopodobnie pod wpływem wspomnianej już przeze mnie, bardzo wówczas modnej i głośniejszej książki Makarenki pod tytułem „Poemat pedagogiczny”. Zarządził więc wybory członków *dietsowiet*, czyli samorządu wychowanków. Obaj z Żeńką zostaliśmy wybrani do tego ciała. Żeńka, jako najstarszy i najsilniejszy wśród chłopców, posiadający też największy i niekwestionowany autorytet, został obdarzony funkcją przewodniczącego tego szacownego gremium, mnie zaś samorząd mianował dyrektorem naszej stołówki (groteska? Zupełnie jak w pewnej, traktującej o czasach rewolucji noweli Michaiła Zoszczenki: „Wańkę wybrano dowódcą pułku, Piet’kę – komisarzem pułku, mnie zaś wybrano pułkowym lekarzem...”).

Stołówką dotąd rządziła starsza pani o wzniosłym tytule „główniej kucharki”. Na imię i *otczestwo* miała Matriona Iwanowna. Była bardzo wysoka, chuda, żyłasta, z ogromnym wolem na gardle. Zarówno sama, jak i podległe jej pracownice kradły na potęgę, uszczuplając i tak już mizerne racje żywnościowe wychowanków *dietgorodka*. Teraz na ten zabagniony teren wkroczyłem ja, „z woli ludu” i w charakterze tego „sprawiedliwego” i „niepodkupnego”. Rzecz nie była prosta – dopiero wspomnienia o naukach etycznych jakich udzielił mi mój ojczym i, co nie mniej ważne, zdecydowana presja ze strony Żeńki, pozwoliły mi bez naruszenia czystości moralno-ideologicznej przetrwać w cnocie ten bardzo krótki okres! A pokusy były nielada: na przykład wrzucony do kotła z zupą, w celu nadania jej jakiegokolwiek zapachu, ochłap gotowanego mięsa z kością!!! Jedynym wywalczonym przeze mnie sukcesem był zakup kubków, teraz z nich, a nie z głębokich talerzy piliśmy herbatę.

Po krótkich paru tygodniach dyrektorowi znudziła się zabawa w demokrację. Można przypuszczać, że doszedł do wniosku, że książki Makarenki a życie – to dwie całkiem różne sprawy. *Dietsowiec* został rozpędzony, pierwsza w moim życiu dyrektorska posada gwałtownie dobiegła końca.

Do dziś jednak nurtuje mnie pytanie, czy wpajane we

mnie zasady „etyki i moralności komunistycznej” wytrzymałyby próbę nieco dłuższej kadencji?...

●

Na przełomie lat 1939/1940 nadszedł mój wielki dzień, spełniły się moje marzenia: dostałem pierwszą kartkę pocztową od mojej mamy! Jako „członek rodziny zdrajcy ojczyzny” (istniała w owych czasach taka „prawna” kategoria!!!) skazana została na osiem lat pobytu w karnych obozach GUŁAG-u. Po przeszło dwóch latach przebywania w znajdującym się na terenie autonomicznej republiki Mordowii obozie o nazwie Tiemniaki, udzielono jej wreszcie informacji o miejscach pobytu jej dzieci. Jej i jej liczny towarzyszkom niedoli pozwolono na nawiązanie z tymi dziećmi korespondencji. Razem z matką w obozie w Tiemniakach było sporo Polek, które przeżyły i w latach 1946-1948 wróciły do kraju. Między innymi były: Celina Budzyńska, Jadwiga Siekierska, Irena Żemrańska, Stefania Orłowska, Wiera Natańska, Paulina Nowicka, Bronisława Morawska...

Kartka od matki była czuła, serdeczna i macierzyńska. Co prawda nie zawierała ona odpowiedzi na większość pytań, które mnie dręczyły, ale były w niej dwie nadzwyczaj dla mnie ważne informacje – że moja mama żyje i wie, gdzie ja się znajduję oraz że żyje Marysia i znany jest jej adres w Kalininie (obecnie Twier’), gdzie przebywa w domu dziecka.

Moja korespondencja z matką trwała przez długie lata, również po przesłaniu jej do innego obozu, pod koło podbiegunowe w autonomicznej republice Komi. Natomiast kontakt listowy z wychowawczyniami Marysi (ona sama oczywiście pisać jeszcze nie umiała) urwał się w 1941 roku, po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, przerwa trwała aż do roku 1944.

●

W początkach lata roku 1940-go nastąpił zdecydowany zwrot w moim życiu. Wtedy to Żeńka i cztery moje starsze koleżanki ukończyli szkołę średnią i otrzymali tak zwane

„złote matury” (*attiestat otlicznika*), czyli świadectwa maturalne z samymi tylko piątkami. Te „złote matury” stanowiły wówczas dla nas, dzieci „wrogów ludu”, jedyną możliwość dostania się na wyższą uczelnię. W normalnym trybie nie mieliśmy najmniejszych szans. Takich jak my odrzucały z założenia wszystkie komisje rekrutacyjne działające przy każdej uczelni. Natomiast według ówczesnego prawodawstwa „złota matura” zapewniała jej posiadaczom pierwszeństwo w przyjęciu na dowolną wyższą uczelnię bez potrzeby zdawania jakichkolwiek egzaminów wstępnych. Legitymującemu się takim świadectwem kandydatowi komisje rekrutacyjne po prostu nie miały prawa odmówić. W ten sposób dostała się na wyższe studia cała piątka moich przyjaciół, a po dwóch latach i ja – jako jedyni spośród całej grupy *moskwi-czów*, zresztą i wszystkich innych znanych mi przedwojennych wychowanków *Kniagininskiego Dietgorodka*.

Warto nadmienić, że w doskonałym – wydawałoby się – sowieckim systemie karno-biurokratycznym była to karygodna wręcz luka!!

Żeńka złożył papiery – i został przyjęty! – na wręcz elitarną uczelnię: do Instytutu Inżynierii Lotniczej w mieście Rybinsk. Wszystkie cztery dziewczyny pojechały do Leningradu. Rada rozpoczęła studia w Akademii Medycznej, Musię, Lenę i Laurę przyjęto na politechnikę. Wracając do dziejów Żeńki: po zakończeniu pierwszego roku studiów i pozytywnie zaliczonej sesji egzaminacyjnej został on, w 1941 roku, a więc po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, relegowany z uczelni. Teraz był nie tylko synem „wroga ludu”. Miał jeszcze na domiar złego matkę Niemkę, zamieszkałą w kraju wroga!



Zostałem więc w Kniagininie sam, bez Żeńki, najbliższego przyjaciela. Młodszy o dwa lata ode mnie *moskwi-czom*: Jurce Piatakowowi, Andrzejowi Budkiewiczowi i Misze Stiepankowowi nie pozwolono, aby po ukończeniu *siemilietki* kontynuowali naukę w szkole średniej. Wyekspediowano

ich z Kniaginina do szkół przysposobienia zawodowego. Każdego do innej miejscowości, aby broń Boże nie przyszły im wspólnie do głowy głupie myśli i nie podjęli próby założenia jakiejś wrogiej, tajnej organizacji.

Teraz ja oraz mój kolega z klasy i rówieśnik, polegliwy Szurka Zykow, byliśmy najstarszymi wychowankami *dietgorodka*. Okres dziewiętej klasy nie pozostawił mi w pamięci jakichś specjalnie interesujących wspomnień. Nie było większych przyjaźni, silnych wzruszeń, nauka szła mi lekko, robiłem się coraz starszy. Dużo korespondowałem: z matką, z domem dziecka, w którym przebywała Marysia, z Żeńką, z Radą, z mieszkającą w Moskwie Wierą Michajłową.

Wraz z Szurką pomagaliśmy personelowi *dietgorodka* przy pracach gospodarczych: przy piłowaniu i rąbaniu drzewa na opał (nie istniało oczywiście w całym Kniagininie żadne centralne ogrzewanie; w *dietgorodkie* piece rozpalano drzewem a potem dokładano „cegły” wysuszonego torfu, które my, starsi wiekiem wychowankowie, w lecie wycinaliśmy w rowach pobliskiego torfowiska, układali w przewiewne pryzmy i tak one schły), przy pielęgnowaniu koni, przy przewożeniu wozami czy saniami towarów itp. itd.

Jedyną wartą poświęcenia kilku słów postacią z tamtego okresu był mój kolejny wychowawca, zaledwie o dwa lata ode mnie starszy młody człowiek o imieniu Michaił. Ukończył on średnią szkołę w jednej klasie z Żeńką i dziewczynami, ale, jak większość kolegów, nie rozpoczął studiów na wyższej uczelni. Przez „starych” wychowawców traktowany on był „z góry”, dawano mu do zrozumienia, że jeszcze mu mleko pod wąsami nie obeschło. Z braku lepszego towarzystwa Misza zaczął kolegować się ze mną, a mnie to oczywiście imponowało. Pewnego dnia jednak, nie wiem dlaczego i po co, spletałem mu brzydkiego psikusa. Była upalna i parna niedziela, jakie zdarzają się w końcu maja, gdy ów zacny pedagog wyraził życzenie, abym powoził go po Imzie kajakiem.

Tu mała dygresja: Żeńka, w przedostatnim roku pobytu w Kniagininie, uzyskał pozwolenie dyrektora na własnoręczne zbudowanie w warsztacie stolarskim kajaka. Był on projektantem i głównym budowniczym tego arcydzieła sztuki

szkutniczej, mnie zaś okazał łaskę pozwalając wziąć udział w przedsięwzięciu w charakterze skromnego pomocnika. Gotową już łódź pomalowaliśmy na żółto-kanarkowy kolor, farby w innym odcieniu nie udało się nam uzyskać. Kajak został przez nas nazwany „Taraszka”, tak bowiem nazywała się wyjątkowo podłża ryba, którą nas w tym okresie prawie codziennie karmiono. Żeńka własnoręcznie wykaligrafował na dziobie łodzi jej nazwę, a pod nią namalował wizerunek patronki. Żart ten nie przypadł do gustu naszemu *naczelstwu*, tym niemniej – pomimo gróźb – kajaka nam nie odebrano. Odtąd pływając po Imzie, spędzaliśmy na nim podczas sezonu sporo czasu. Po wyjeździe Żeńki ja odziedziczyłem po nim główne prawa do łodzi.

Mimo upalnej pogody wychowawca Misza (w obecności innych wychowanków zwracałem się do niego *per* Michaille Siemionowiczu!) zjawił się nad rzeką w czarnym, grubym, sukienym garniturze i „pod krawatem”. Na głowie miał czapkę – cyklistówkę uszytą przez miejscowego czapkarza z tego samego co garnitur materiału. Do wnętrza tej czapki włożona była gazeta *Prawda* zwinięta w pasek o szerokości jakichś czterech centymetrów – była to metoda stosowana przez większość kniagininskih dandysów, dzięki niej kształt czapki nabierał nadzwyczaj „eleganckiego” wyglądu. Jednym słowem: na tę przejażdżkę łodzią Misza zaprezentował się wyjątkowo okazale. Ja, w samych tylko majtkach kąpielowych, wyglądałem przy nim jak Piętaszek przy Robinsonie. Weszliśmy do kajaka przycumowanego w niewielkiej zatoczce. Misza usadowił się na przedniej ławeczce, z nogami wsadzonymi pod konstrukcję dziobu, ja – na tylnej. I wtedy padła komenda:

– Płyn do żeńskiej plaży!

W tym miejscu muszę wyjaśnić, że w owych czasach w Kniagininie nie było plaży koedukacyjnej, damska i męska znajdowały się jedna od drugiej w sporej odległości. Honorowo przestrzegana, aczkolwiek nigdzie nie zapisana umowa stanowiła, że przedstawiciele płci brzydszej nie powinni zanadto zbliżać się do damskiej plaży. Dlatego też, gdy dopłynęliśmy do tego miejsca, rozległy się na całą okolicę pełne oburzenia krzyki i piski. I wtedy, żeby popisać się przed

opalającymi się dziewczynami, popełniłem wobec mojego kolegi i wychowawcy świństwo, którego wstydę się do dziś. Rozhuštałem kajak i krzyknąwszy:

– Misza, trzymaj się! – spowodowałem wywrotkę łodzi do góry dnem.

Gdy wypłynąłem na powierzchnię wody zobaczyłem na niej jedynie dostojnie płynącą wspaniałą czapkę Miszy. Dno kajaka dziwnie podskakiwało. Nie zdążyłem się nawet porządnie przestraszyć, gdy z rzecznej otchłani wyłonił się mój wychowawca. Jego wykrzywiona ze złości twarz, fryzura, koszula wraz z krawatem, piękna sukienna marynarka – wszystko oblepione było pędami wodorostów. Wypluwał wodę i całkiem niepedagogicznie się o mnie wyrażał. Panienki na plaży zaśmiewały się...

Misza był ode mnie starszy, większy i silniejszy. Spuścił mi tęgie lanie, na które bez wątpienia zasłużyłem.



Rozpoczęły się wakacje 1941 roku. Spotkała mnie wielka radość: kolejna dyrektorka *dietgorodka* (ostatnia już podczas mojego tam pobytu), Dina Andriejewna Jabłonskaja, dama niezbyt sympatyczna, niska i tęga, w średnim wieku, wyraziła zgodę, aby były wychowanek Żeńka po pozytywnym zakończeniu pierwszego roku studiów przyjechał na ferie, odpocząć i trochę się dożywić.

Z zapartym tchem słuchałem opowieści jeszcze bardziej wychudzonego Żeńki o dorosłym życiu, o ileż ciekawszym od szarego życia wychowanka domu dziecka. Okazało się, że student pali papierosy. Od tej chwili moje sporadyczne dotąd „popalanie” przekształciło się w nałóg, którego udało mi się pozbyć dopiero po kolejnych czterdziestu ośmiu latach.

I tak my, „Bracia ROMŻE”, wspólnie spotkaliśmy gorący niedzielny poranek pamiętnego 22 czerwca 1941 roku. Po śniadaniu poszliśmy nad Imzę – kąpać się, opalać i wiosłować na naszej „Taraszcze”. Nie słyszeliśmy nadawanego przez niedawno założone w Kniagininie *kołchoźniki*, czyli podłączone przewodowo do radiowęzła głośniki, przemówienia ówczesnego premiera sowieckiego rządu Mołotowa o

napaści Niemiec na Związek Sowiecki. Gdy wracaliśmy znad rzeki przez plac targowy, zobaczyliśmy tam prowizorycznie ustawioną drewnianą trybunę, a wokół niej tłumek zdenerwowanych mieszkańców siola. Wszyscy oprócz nas wiedzieli już o wybuchu wojny. Oczekiwano na rozpoczęcie wiecu. Oczywiście pozostaliśmy na placu.

Wiec otworzył przewodniczący *sielsowietu* (stanowisko pośrednie między sołtysem a naczelnikiem gminy). Powtórzył jak potrafił przemówienie Mołotowa. Zapewnił o rychłym zwycięstwie nad faszystowskimi agresorami, podłymi zdrajcami niemiecko-sowieckiego paktu o nieagresji. Następnie odczytał przekazany mu telefonicznie z rejonu (powiatu) komunikat, iż wszyscy mężczyźni w wieku ponad osiemnastu lat zobowiązani są jak najszybciej powrócić do miejsc swego stałego zameldowania i tam oczekiwać na wręczenie im kart mobilizacyjnych.

Żenka zaczął szykować się do drogi. Miał do przejścia te trzydzieści kilometrów do przystani w Łyskowie. Odprowadziłem go spory kawałek...

Po dotarciu do Rybińska Żenka nie został jednak wcielony do Armii Czerwonej. Uznano, że indywiduum obciążone tak poważnymi plamami na życiorysie nie jest godne otrzymać do ręki broń. Spotkała go też niespodzianka, o której wspomniałem już uprzednio: wyrzucono go z uczelni. Poradzono mu, by poszukał sobie innej, mniej ekskluzywnej. Żenka przypomniał sobie o poznanej poprzedniego lata w Kniagininie dziewczynie, która przyjechała tu do swojej babci na ferie z miasta Gorkij. Spakował więc swoje rzeczy w tobołek i przygodną barką popłynął Wołgą z Rybińska do Gorkiego. Udało mu się: przyjęto go na drugi rok studiów na politechnice w Gorkim i osiadł w tym mieście na kilka lat, aż do uzyskania dyplomu.



W parę dni po wybuchu wojny postanowiłem, że wyruszę jako siedemnastoletni ochotnik na front. Napisałem więc list-podanie do marszałka Timoszenki, ówczesnego komisarza ludowego (ministra) obrony, z odpisem do rezydują-

cego w siole Bolszoje Muraszki^o komendanta *rajwoienkomata* (powiatowej komendy uzupełnień). Napisałem w tym liście, że jako ideowy komsomolec pragnę z bronią w ręku udowodnić, że represjonowanie przez NKWD moich ojca, ojczy^oma i matki polega na nieporozumieniu. Oba listy wysłałem pocztą jako polecone. Całkowicie mnie zlekceważyono, nie odpowiedział mi nie tylko marszałek, ale również *rajwoienkomat*. Prawdopodobnie – tak jak w przypadku Żełki – uznali, że należy dać sobie spokój z wcielaniem do wojska małego o tak paskudnym życiorysie.

Jednocześnie ze mną, i chyba w pewnym stopniu pod wpływem mojego listu, prośbę o przedterminowe wcielenie do wojska złożył mój rówieśnik i kolega z *dietgorodka* Szurka. W odróżnieniu jednak ode mnie miał on czysty życiorys – był półsierotą z ojcem pijakiem. Więc bez kłopotów, jako ochotnika, powołano go do wojska. Wiosną 1942 roku wrócił do Kniaginina. Nie zdążywszy oddać ani jednego wystrzału stracił do łokcia rękę, bowiem pociąg, który wiozł jego jednostkę w stronę frontu, został zbombardowany przez niemieckie lotnictwo. Po krótkim pobycie w *dietgorodkie* – nie był już wychowankiem, trzymano go tu z litości – Szurkę, mimo nieukończenia szkoły średniej – przyjęto na przyspieszone paromiesięczne kursy prokuratorów wojskowych. Drogi nasze rozeszły się na zawsze.

Uczyłem się w ostatniej już, maturalnej klasie. Jako najstarszy wśród wychowanków pomagałem trochę wychowawcom, właściwie wychowawczyniom – prawie wszystkich mężczyzn powołano do wojska. W szkole przybyło mi sporo nowych koleżanek i kolegów – do Kniaginina trafiało coraz więcej ewakuowanych z zachodnich rejonów ZSSR rodzin zawodowych wojskowych. Była to całkiem inteligentna „miastowa” młodzież, ale pozycji prymusa klasy nie straciłem.

Tej jesieni przeżyłem niemiłą przygodę, która porządnie mnie wystraszyła. Otóż pewnego dnia zostałem wezwany do gabinetu dyrektorki *dietgorodka*, gdzie czekał na mnie niez^oznany mi mężczyzna. Był wysoki, stosunkowo młody, dobrze odżywiony. Ubrany był w półwojskowy strój: czarną skórzaną kurtkę (w ówczesnych sowieckich filmach takie kurtki nosili rewolucyjni komisarze z okresu wojny domo-

wej), spodnie – bryczesy i wysokie, błyszczące buty „oficerki”.

– To właśnie ten Bortnowski!... – elegancko przedstawiła mnie dyrektorka.

Nieznamy kazał mi iść za sobą. Poprowadził mnie na pole rozścielające się przed *korpusem* głównym. Z tajemniczą miną rozejrzał się wokół, jakby się obawiał czy ktoś nas na tym pustym polu nie podsłuchuje.

Powiedział mi, że jest *opierupotnomocziennym* rejonowego urzędu NKWD i zażądał, abym mu podał obecny adres poszukiwanego przez nich Jurki Piatakowa. Odpowiedziałem, że adres Jurki jest na pewno znany dyrektorce, bo przecież sama po ukończeniu przez Jurkę siódmej klasy wysłała go do szkoły przysposobienia zawodowego. Wtedy ryknął na mnie abym nie zwracał mu głowy, bo przecież na pewno wiem, że Jurka z tego FZO uciekł. W dalszym ciągu twierdziłem, że nie znam nowego miejsca pobytu Jurki, naprawdę zresztą nie znałem. Przypuszczam, że przesłuchiwanie mnie na tę okoliczność było wynikiem wejrzenia cenzury do listów, jakie pisała do mnie Rada. Skarżyła się, że Jurka przestał jej odpowiadać na listy i prosiła mnie, abym ją natychmiast powiadomił, gdybym się czegoś o jej bracie dowiedział. Enkawudysta jeszcze przez jakiś czas na mnie naciskał. Wypominał mi: wiadomo, że jabłko pada niedaleko od jabłoni, a ja jestem synem „wroga ludu”. Krzyczał, że jeszcze się ze mną policzy. Porządnie mnie nastraszył. Wreszcie dał spokój. Na szczęście dla mnie ten wątek nie miał już dalszego ciągu w moim życiorysie.

Na marginesie tego zajścia: muszę nadmienić, że w owych czasach zdarzały się przypadki aresztowań i wysyłania do łagrów GUŁAG-u młodzieży, a nawet dzieci, których rodzice zostali uprzednio represjonowani przez NKWD. Po latach opowiadał mi Żeńka, że naszych kolegów z *Danilowskiego Dietprijomnika* – rudego Jurkę Wagnera, syna marszałka Tuchaczewskiego i Olgierda Putnę, syna generała Putny, wysłano w 1937 roku nie do domów dziecka, jak nas, a do łagrów GUŁAG-u.

Wróć jeszcze na chwilę do Jurki Piatakowa. Przez długie lata, jakie minęły od owych czasów, nie przeszło mi nawet przez myśl, abym mógł – kiedykolwiek i cokolwiek – usłyszeć

jeszcze o jego dalszych losach. Nie miałem wątpliwości, że jeżeli NKWD go wówczas znalazło – to z całą pewnością represjonowało, a najprawdopodobniej pozbawiło życia, zbyt powszechnie bowiem znane było w ZSSR imię i nazwisko jego ojca, Gieorgija Piatakowa. Aż tu nagle...

W kwietniu 1995 roku dostałem kolejny list od mojej starej przyjaciółki, kilkakrotnie wspominatej w tym opowiadaniu Marii Budkiewicz. Opisała mi dziwny przypadek, jaki się jej ostatnio przytrafił. Była ona niedawno w Muzeum Blokad Leningradu, aby przekazać tam kopię otrzymanego przeze mnie listu, jaki przed laty, w 1942 roku, napisała do mnie jedna z przyjaciółek Rady – siostry Jurki. Poza wiadomością o śmierci Rady w liście tym znalazły się też różne impresje z dziejów blokady miasta, a Musia uznała je za warte przekazania do muzeum. Opisując to całe wydarzenie Musia pisze: „... Powiadomiłam ich, że jestem w posiadaniu listu z oblężonego Leningradu z opisem blokady oraz śmierci Rady Piatakowej. Pracownik muzeum z którym rozmawiałam, aż podskoczył gdy usłyszał to nazwisko.

– Rada Piatakowa?! *Gorkowskaja obłast’?! Kniagini-no!!! Da, da, da!!*

Okazało się, że jest to Kola, syn dyrektorki *dietdoma* Jabłońskiej (...). Opowiadał mi legendę (tak przynajmniej sędzę) o Jurce. Jakoby po tym jak został wysłany z *dietdoma* zmienił nazwisko, wstąpił do szkoły oficerskiej, a później zginął w drodze na front, gdy pijanego wyrzucono go z pociągu...”.

Taka – nie wiadomo czy prawdziwa – historia, w której daleka wydawałoby się przeszłość przeplata się z teraźniejszością...



Moja ostatnia zima w domu dziecka, a była to pierwsza wojenna zima z 1941 na 1942 rok, była wyjątkowo głodna i zimna. Naszym podstawowym wyżywieniem były czarne, przemrożone, słodkie i ohydne kartofle i kapusta, nawet tę kiedyś pogardzaną „taraszkę” wspominaliśmy z rozrzewnieniem. Racje chleba uległy istotnemu zmniejszeniu. Mróz tej

zimy był straszny. Pewnego dnia słupek rtęci spadł do minus 56 stopni, do szkoły oczywiście nie poszliśmy, ale przechodząc przez podwórze z *korpusu*, w którym była sypialnia, do stołówki, odmroziłem nos. Sytuacja nas, starszych, była jeszcze jako taka. W pokoju, w którym mieszkaliśmy, paliliśmy w piecu oczywiście sami. Ceglany piec nagrzewaliśmy do takiego stanu, że jeżeli na jego ścianę trafiały krople wody – to natychmiast z sykiem wyparowywały. Piec ten był w głębi pokoju, podczas gdy stojący w tym samym czasie na stole pod oknem w kałamarzu atrament zamarzał na lód.

Nieporównywalnie gorsze były warunki bytowania dzieci młodszych. Skazani byli na to, że w piecach palił personel – a brakowało i paliwa, i dobrych chęci. Latryny – nieogrzewane zbiorowe budy na świeżym, czyli mroźnym powietrzu, takie właśnie jak u Haszka w „Przygodach dzielnego wojaka Szwejka”, właściwie wykluczały możliwość ich użytkowania przez małe dzieci. Susiały więc w nocy na ściany swoich sypialni, w większości których temperatura była tak niska, że mocz zamarzał tworząc na tych ścianach grubą, śmierdzącą, ohydą skorupę...

Widząc to wszystko martwiłem się o los mojej siostry Marysi, tym bardziej, że od wybuchu wojny wszelka korespondencja z jej domem dziecka urwała się.



Studiujący w Gorkim Żeńka biedował, z wielkim trudem zdobywał jakiegokolwiek jedzenie. Korespondowaliśmy systematycznie, wiedziałem więc o jego sytuacji. Aż pewnego dnia, właściwie przypadkowo, dowiedziałem się o zarysowującej się okazji: konny zaprzęg sanny z naszego *dietgorodka* miał zawieźć jakiś pilny ładunek do centrum obwodu – miasta Gorkij. Natychmiast napisałem sążniste podanie do dyrektorki. Gorąco prosiłem w nim, aby *dietdom* pomógł Żeńce, swemu byłemu wychowankowi, który w wielkim mieście zdobywa obecnie wiedzę „ku chwale Ojczyzny”.

Po pewnych wahaniach dyrektorka powiadomiła mnie, że jest skłonna wyrazić zgodę. Ale pod warunkiem, że ja będę towarzyszył woźnicy, aby mógł jak najszybciej wrócić do

Kniaginina – koń i sanie były potrzebne w gospodarstwie. Dodatkowym warunkiem była zgoda dyrektora szkoły na moją kilkudniową nieobecność. Zgodę tę uzyskałem bez trudu – byłem bądź co bądź prymusem. Bardzo się cieszyłem z perspektywy spotkania z Żeńką. Nie mniejszą atrakcją było też to, że po przeszło czteroletnim przebywaniu wyłącznie w samym tylko Kniagininie zobaczę znowu wielkie miasto: z ulicami, tramwajami, ruchem samochodowym, prawdziwą elektrycznością!

Rozpoczęły się przygotowania do wielkiej podróży. Do pokonania było aż 120 kilometrów. Jak na owe ciężkie czasy, dyrektorka wykonała gest – kazała dać dla Żeńki woreczek jęczmiennej kaszy, butelkę oleju roślinnego, trzy bochenki chleba i cały worek kartofli! Wyposażono mnie w podróży ekwipunek: nowe, ciepłe onuce (*walonki* miałem), oraz wypożyczono mi baranią czapę-*uszanke*, także rękawice i olbrzymi wozacki kozuch.

Pomogłem dziadkowi-wozakowi (jego oficjalne stanowisko nazywało się *raznoraboczij* czyli pracownik do prac różnych) wymościć sanie sianem, zaprząć małą brzuchatą kobyłkę o imieniu Karłusza, i tak zimowym, wczesnym i ciemnym rankiem wyruszyliśmy w podróż.

Droga wiodła przez wspomniane przeze mnie kilkakrotnie Łyskowo, a stamtąd – aż do samego miasta Gorkij – szlakiem przetartym na lodach zamarzniętej, bezkresnej Wołgi. Karłusza zachowywała się dzielnie, zresztą przewożony ładunek nie był wielki, a więc i sanie były stosunkowo lekkie. Żeby nie zamarznąć, na zmianę z woźnicą szliśmy, a właściwie truchtem biegliśmy obok sani. Po pierwszym dniu podróży zanocowaliśmy w stojącym na brzegu rzeki rozpadającym się budynku, w którym mieściło się coś pośredniego pomiędzy zajazdem a domem noclegowym dla bezdomnych. Na podłodze dużej, pełnej dymu machorkowego, mrocznej izby, leżało brudne siano, na którym podróżni rozkładali się do snu. Po kolejnym dniu jazdy dotarliśmy wieczorem do Gorkiego. Naszym konnym zaprzęgiem brnęliśmy przez ciemne ulice (obowiązywało zaciemnienie wojenne). Tarasowaliśmy ruch – byliśmy więc popędzani niecierpliwymi dzwonekami tramwajów i sygnałami aut. Wreszcie z trudem

znaleźliśmy właściwą ulicę. Wjechaliśmy na podwórko jakiejś starej, niskiej kamienicy, gdzie w suterenie oficyny, wraz ze starszym od siebie kolegą, mieszkał student drugiego roku Żeńka.

Ach, co to było za spotkanie, co to był za bal! W obłoku pary, w zbyt na mnie wielkim kozuchu, z workiem przemrożonych podczas podróży na lód kartofli na ramieniu, z wszystkimi innymi delicjami w drugiej ręce, wtoczyłem się do ich zimnej izby...

Moje szczęście trwało ponad dobę. Urozmaiciła je pewna niemiła przygoda. Współmieszkaniec Żeńki, student czwartego roku o imieniu Rafał, zdrobniale Rufka, zapytał mnie, czy poszedłbym do sklepu wykupić chleb. Lojalnie uprzedził, że odpowiedni odcinek kartki (chleb, jak i wszystkie inne produkty żywnościowe były w tych ciężkich wojennych czasach sprzedawane na kartki) jest podrobiony. Przerobił on bardziej czy mniej udolnie odcinek opiewający na 100 gram, na odcinek o nominale 400 gram. Żeńka wtrącił się, zaprotestował, zażądał, aby Rufka nie wrabiał mnie w taki śmierdzący interes. Ale ja uniosłem się honorem, że nie jestem już dzieckiem, ale prawie równym im studentem i podjąłem się tej ryzykownej misji. Niestety z miejsca zostałem zdemaskowany. Sprzedawczyni, ledwo rzuciwszy okiem na odcinek kartki, poznała się na fałszerstwie i narobiła strasznego rabanu. Prawie od razu skądś pojawił się milicjant i trzymając mnie mocno za rękaw kozucha zaprowadził na komisariat.

Trzymano mnie tam przez parę godzin, wreszcie zaprowadzono na przesłuchanie. Śmiertelnie zmęczony i znużony cywil na moje szczęście uwierzył mi, że tę trefną kartkę kupiłem na bazarze od faceta o takim a takim wyglądzie. Nie przepytywał mnie z życiorysu (byłem jeszcze bardzo naiwny i prawdopodobnie powiedziałbym o sobie wszystko), więc nie wyszło na jaw, że pochodzę z rodziny „wrogów ludu”. A mogłoby to grozić nieobliczalnymi konsekwencjami! Przesłuchujący mnie funkcjonariusz ograniczył się do pouczenia mnie, że kartek na bazarze od handlarzy kupować nie należy, bo mogą być – tak jak ta – podrobione. Po czym... – wypuścił mnie!...

Gdy wróciłem do sutereny – zastałem tam bardzo zde-

nerwowanego Rufkę. Okazało się, że wyszedł za mną i widział, jak milicjant wiódł mnie na komisariat. Nie był pewien, czy go nie zadenuncjuję, obawiał się więc, że lada chwila mogą przyjść po niego. A na ucieczkę nie zdecydował się... Żenki w domu nie zastałem. Okazało się, że dowiedziawszy się o zajściu poszedł próbować mnie jakoś ratować z opresji...

Po spędzonych z Żenką dwóch nocach i jednym dniem odnalazłem w umówionym miejscu woźnicę i zaprzęg, a po kolejnych dwóch dniach podróży powróciłem do mojej wiejskiej, *dietdomowskiej* rzeczywistości.

Dość regularnie korespondowałem ze studiującą w Leningradzie Radą – obiektem moich platonicznych, szczenięcych westchnień. Nasza korespondencja w jakiś czas po rozpoczęciu blokady Leningradu raptem urwała się. Początkowo sądziłem, że to trudności wynikające z działalności poczty w warunkach blokady. Ale na wiosnę 1942 roku dostałem list od jej koleżanki, że Rada Piatakowa – mądra, cudowna, złotowłosa dziewczyna w okularach, zmarła z głodu...

W początkach maja 1942 roku ukończyłem szkołę średnią. Egzamininy maturalne zdałem na same piątki – wręczono mi „złotą maturę”. Uczelnia stała przede mną otworem. Podczas mojego zimowego pobytu w Gorkim ustaliliśmy z Żenką, że jeżeli wszystko dobrze pójdzie i będę miał prawo wstępu bez egzaminów – przyjadę studiować w Gorkim i zamieszkamy razem. Złożyłem podanie na politechnikę, na wydział mechaniczny. Po jakimś czasie powiadomiono mnie, że moje podanie rozpatrzono i że zostałem przyjęty.

Dobiegł więc końca pięcioletni okres mojego życia w statusie wychowanka domu dziecka. Byłem już pełnoletnim, posiadającym dowód osobisty osiemnastoletnim młodzieńcem. Miałem nawet pierwszy w życiu udokumentowany zawód, bowiem w maturalnej klasie uczęszczałem na zorganizowane przy szkole kursy traktorzystów i uzyskałem po ukończeniu tego kursu stosowne zaświadczenie.

Roman BORTNOWSKI

CI, CO ODESZLI

Czesław BIELECKI

TERESA LECHNICKA-AFFELTOWICZ

W kwietniu tego roku w bazylice w Chełmie uroczystie odsłonięto i poświęcono tablicę zmarłej w 1994 r. w Londynie Teresy Lechnickiej-Affeltowicz. Jej prochy przywiezione przez rodzinę z Wielkiej Brytanii spoczęły na miejscowym cmentarzu. Teresa urodziła się w 1923 roku i była najmłodszą z pięciorga rodzeństwa Felicjana Kajetana Lechnickiego, posła i senatora II RP, właściciela majątku w Serebryszczach koło Chełma. Patriotyczne tradycje i służba publiczna były normą i racją zachowań rodu Lechnickich. Stryj Klemens Lechnicki, odznaczony *Virtuti Militari*, zginął w 1920 r. w bitwie pod Berezyną. Inny stryj Teresy Lechnickiej – Tadeusz, ur. w 1892 r., był posłem i wiceministrem Skarbu RP. Zginął w 1939 r. w bitwie o Tarnów Lubelski, odznaczony *Virtuti Militari*. Trzeci stryj, Zdzisław Lechnicki (1890-1959), poseł RP skazany był na 15 lat więzienia w PRL.

Teresa, w czerwcu 1940 r. jako siedemnastoletnia dziewczyna wstąpiła do organizacji „Polska Żyje” w okręgu Lublin. Była łączniczką i kolporterką. W 1942 r. działała już

w V Oddziale Sztabu Komendy Głównej AK. W powstaniu w 1944 walczyła w dowództwie łączności Warszawa-Śródmieście jako łączniczka. Później – obóz jeniecki w Lamsdorf. Po tych intensywnych latach młodości zrywu pozostał dziś rodzinie Krzyż AK i Medal Wojska Polskiego.

Teresa Lechnicka wybrała emigrację. Uczestnicząc w działaniach Polskiego Londynu nigdy nie zapomniała, że kraj i związek z krajem jest miarą patriotycznych działań na wychodźstwie. Wysyłała więc do Polski swoją jedyną córkę, Annę, aby chłonęła język i kulturę. Zajmowała się pomocą materialną dla potrzebujących w kraju. Od czasów KOR-u żyła naszymi niełatwymi nadziejami. W 1983 roku Teresa Lechnicka-Affeltowicz przyjęła na siebie funkcję reprezentanta podziemnego wydawnictwa CDN na Zachodzie i w ten sposób poznaliśmy się poprzez konspiracyjną korespondencję. Spotkaliśmy się bezpośrednio dopiero w 1988 roku w Londynie. Nasze rozmowy o emigracji, o Lidii Ciołkoszowej, wspólne spotkanie z prezydentem Edwardem Raczyńskim, pozwalały wejść w świat bliski i odległy – niezłomnych niepodległościowców – tych, którzy pamiętając o Państwie Polskim wybrali trudne życie bezpaństwowców. Borykając się z trudami życia na obczyźnie, Teresa cały czas podtrzymywała swoją aktywnością instytucje służące krajowi i emigracji.

Po zwycięstwie solidarnościowej rewolucji '89 Teresa przyjechała po latach do kraju. Pamiętam te pierwsze chwile na Cmentarzu Wojskowym w Warszawie. Idąc do kwater powstańczych mijamy grób Bieruta, wokół kilkanaście świeżych zniczy. – Jak to, jeszcze ktoś tu – jemu? – Teresie słowa więzną w gardle. Kolejne powroty do kraju, kolejne rozmowy i to nieustanne zderzanie się z PRL-em, który wyrósł przez te pół wieku. Tak trudny do zrozumienia dla emigracji, która przechowywała w swoich sercach i umysłach obraz innej Polski, prowadzący ich przez życie. Pozostała więc Teresa do końca nie pogodzona z tym, co spotykała: z przegrywaniem zwycięstw. Rok 1993 był dla niej dlatego tak ciężki. Ale potrafiła nadal pogodnie i radośnie odbierać

wszystko, co pozytywne i twórcze. I gdy w rodzinnej siedzibie, w Serebryszczach przyjął ją z honorami dyrektor szkoły, oglądała mury dawnego domu rodzinnego i park ciesząc się, że przetrwały choć tak. I to, co w Niej najwspanialsze spełniało się w tej chwili wielkodusznej pokory wobec dramatu życia, w którym do końca uczestniczyła oddana ludziom i krajowi.

Czesław BIELECKI

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

PRZEOCZONY

(WSPOMNIENIE O JAKUBIE HOFFMANIE I
ROCZNIKU WOŁYŃSKIM)

W gorliwie odtwarzanych ostatnio obrazach życia polskiego na Kresach, Wołyń reprezentuje najczęściej Krzemieniec i Łuck. Wzmianki o Równem, nieliczne i rozproszone, określają je, jako miasto przemysłowe, 40-tysięczne, ważny węzeł kolejowy, wspominają o dawnych dziedziach, ks. Lubomirskich i szczątkach dawnych fortyfikacji. W dwudziestoleciu Równe było ponadto żywym ośrodkiem szkolnym i, o czym niżej, siedzibą redakcji *Rocznika Wołyńskiego*. W latach 1930-38 ukazało się 8 tomów zawierających kilkadziesiąt artykułów, przyczynków naukowych, pamiętników i materiałów źródłowych, odnoszących się do terytorium i historii Wołynia. Często porównywano go z lepiej znanym *Pamiętnikiem Świętokrzyskim* Aleksandra Patkowskiego. Oba były świadectwem zainteresowania „małymi ojczyznami” – regionami Drugiej Rzeczypospolitej.

Twórcą i jedynym redaktorem *Rocznika* był Jakub

Hoffman (1896-1964), wydawcą Okręg Wołyński Związku Nauczycielstwa Polskiego, którego był prezesem. Przedsięwzięcie było nad wyraz ryzykowne – a przecież się udało. Żle płatni nauczyciele ze wsi, miast i miasteczek Wołynia bez protestów wnosili groszowe składki na opłacenie właściwie tylko kosztów druku, klisz i oprawy, bo ani Redaktor, ani współpracownicy honorariów nie otrzymywali, co najwyżej starannie wykonane odbitki swych prac. Większość autorów stanowili naukowcy związani z uniwersytetami pozyskanymi przemysłnie przez Redaktora. Gdy groziło bankructwo, z pomocą przyszedł dyr. Funduszu Kultury Narodowej, Stanisław Michalski, odpowiednio nastrojony przez przyjaciół *Rocznika* w osobach m.in. prof. Stanisława Kota i prof. Mieczysława Limanowskiego. Gwarancją jakości pisma była osoba Redaktora. On zaś, nie mogący się wykazać ukończonymi studiami, był w najlepszym tego słowa znaczeniu *self-made man*’em – i historykiem z prawdziwego zdarzenia i to wysokiej klasy.

Pochodził z ówczesnego woj. stanisławowskiego. Wcześniej, jako uczeń gimnazjalny znalazł się w Zw. Strzeleckim, a następnie w I Brygadzie. Po zaleczeniu ran wrócił do szeregów, by w r. 1920, po „wojnie polskiej” przejść do cywila w stopniu porucznika. Jako samouk zdał egzaminy nauczycielskie i, znów jako samouk, wdrażał się w metodykę pracy naukowej pod okiem teścia, prof. UJ Jana Czubka. Nawiązał wówczas, ok. 1922 r. pierwsze kontakty z akademickim środowiskiem krakowskim. Nie wyzyskiwał, czemu się dziwiono, kontaktów i protekcji związanych ze służbą w legendarnej brygadzie.

Punktem wyjścia *Rocznika* były zalecenia władz szkolnych domagające się, by w nauczaniu geografii możliwie jak najszerzej uwzględniano tematykę wołyńską. Tym tłumaczy się w *Roczniku* znaczna ilość tytułów o tematyce geologicznej i geograficznej. Uległo to w dalszych tomach poszerzeniu na inne dziedziny a w szczególności historię i bibliografię Wołynia. Gdy, ok. 1937, rozpoczęto w Krzemieńcu przygotowania do uruchomienia Instytutu Naukowego Wołyńskiego, *Rocznik* miał być jego oficjalnym

organem. Fakt, że Redaktor był żywo zaangażowany politycznie i w latach 1935-38 posłował do Sejmu z okręgu rówieńskiego, reprezentując formalnie BBWR, nie przeszkadzał mu w utrzymywaniu ściśle naukowej linii *Rocznika*, ani w odważnych wystąpieniach przeciwstawiających się rażącym błędom oficjalnej linii politycznej w stosunku do spraw kresowych. Był bliskim, choć czasem niesforemym, współpracownikiem min. Juliusza Poniatowskiego i woj. Henryka Józewskiego.

Poznałam Hoffmana w czytelni Biblioteki Rapperswilskiej, ulokowanej wówczas w Centralnej Bibl. Wojskowej w oczekiwaniu na przeniesienie do planowanego już wówczas gmachu Biblioteki Narodowej. Włączyłam się wówczas do rozmowy z prof. Marcelim Handelsmanem i drem Adamem Lewakiem, by stwierdzić, że ten skromny prowincjonalny nauczyciel szkoły powszechnej z Równego jest za pan brat z renomowanymi historykami, groźnym panem Michalskim z Funduszu Kultury i... (jeszcze nie Marszałkiem) Rydzem Śmigłym, a więc swego rodzaju szarą eminencją. Decydował o tym poziom jego rzeczywistej wiedzy historycznej i skromność prawdziwego uczonego. Styl bycia miał nieco rubaszny, bił Bystronia i Krzyżanowskiego znajomością przysłów i porzekadeł, z których jedno, sakramentalne pożegnanie brzmiało: „Dał Pan Bóg zdrowie a Matka Boska pieniądze”. (Z klerem był, niestety, na bakier). Miał wiedzę i szczęśliwą rękę wytrawnego kolekcjonera i nawet z zsyłki do Sowietów wywiózł cenne eksponaty, rozesłane później po świecie a wzbogacone o *africana* zebrane w Tanganice, gdzie go losy wojenne z garstką sierot wojennych rzuciły.

W czerwcu 1949 donosił z Arushy-Tengeru: „Byłem na Kilimandżaro i chcę jeszcze raz iść tam ale brak mi głupich 200 sh. (10 funtów) więc zdaje się nie uda mi się tam iść po raz wtóry”. Cel był jasny – chodziło mu o zrobienie dalszych zdjęć dla prof. Małkowskiego w warszawskim Muzeum Ziemi. Miał nieprawdopodobny talent tworzenia z niczego wartościowych kolekcji i lokowania ich we właściwych muzeach.

Po Afryce – Anglia. Tu działo mu się najgorzej, choć prace naukowe kontynuował po wcześniejszym już nawiązaniu kontaktu z *Kulturą* i *Tekami Historycznymi*, w których umieścił pokaźną ilość recenzji i materiałów bibliograficznych dotyczących Wołynia. Był sekretarzem generalnym Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i członkiem Komitetu Redakcyjnego *Tek Historycznych*. Więzy bliskiej współpracy łączyły go z gen. Kukielem. Ponad cenzurą utrzymywał kontakty z rozproszonymi po kraju Krzemieńczanami i Wołyńiakami. To od niego miałam już w czerwcu 1945 wiadomości o losach biblioteki Liceum Krzemienieckiego i losach znajomych wołyńskich.

Zbliżający się do 60-tki, słaby i schorowany, mieszkał i odżywiał się arcyskromnie. Zmarł 27 grudnia 1964 w Londynie, nie doczekawszy możliwości bodaj odwiedzenia Kraju. Pamiętam bardzo smutny pogrzeb i szczery żal grona bliskich mu ludzi. Byli wśród nich przyjaciele Ukraińcy. Nie było żony – zmarła w r. 1943 w Teheranie, u progu wolności.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

RECENZJE

Bogumiła BERDYCHOWSKA

TO JEST PRZEŁOM...

(ROZMOWA Z EUGENIUSZEM MIRONOWICZEM)

BOGUMIŁA BERDYCHOWSKA: – *Kiedy powstało i jakie są cele Białoruskiego Towarzystwa Historycznego?*

EUGENIUSZ MIRONOWICZ: – Białoruskie Towarzystwo Historyczne powstało na fali tych procesów, które zostały zapoczątkowane w środowisku białoruskim jeszcze w latach osiemdziesiątych. W nowych strukturach organizacyjnych tego okresu, początkowo nielegalnych, dominowała młodzież. W większości byli to studenci historii z różnych ośrodków uniwersyteckich kraju. Zadziwiająco wielu młodych Białorusinów wybierało wówczas ten kierunek studiów. Ich prace magisterskie najczęściej dotyczyły historii własnego narodu. Nigdy wcześniej takie procesy nie miały miejsca, ale okres stanu wojennego sprzyjał refleksjom historycznym nie tylko Polaków. Kilku moich kolegów, w tym również i ja, ukończyło studia na początku lat osiemdziesiątych. Pozostając później poza środowiskiem uniwersyteckim samodzielnie prowadziliśmy badania, najczęściej z zakresu najnowszej

historii Białorusi. Z czasem badania te zostały zwieńczone rozprawami doktorskimi. Następstwem tych przygód intelektualnych młodych historyków było to, że mając bezpośredni kontakt z dokumentami i świadkami zdarzeń, odkryli oni inną historię własnego narodu niż ta, którą poznali wcześniej z literatury sowieckiej lub też opracowań badaczy polskich. W trakcie tych badań ludzie ci stawiali sobie coraz to nowe pytania. Napisanie pracy magisterskiej czy doktorskiej było zazwyczaj wstępem do dalszych badań. Na przykład Jerzy Turonek pracując nad monografią o Wacławie Iwanowskim, niejako przy okazji napisał książkę o okupacji niemieckiej na Białorusi. Książka ta porządkowała wiedzę na ten temat i stała się przedmiotem gorących dyskusji, nie tylko wśród historyków na Białorusi.

Na początku lat pięćdziesiątych, samodzielne prowadzenie badań poza placówkami naukowymi stało się prawie niemożliwe, przede wszystkim ze względów finansowych. Większość historyków, o których mówię mieszkała w Białymstoku. Koszty przejazdu do archiwum, na przykład w Warszawie, entuzjaści nauki musieli pokrywać z własnych kieszeni. Jednocześnie istniała świadomość, że ten potencjał intelektualny bez jakiegoś ośrodka koordynacyjnego, ulegnie zatraceniu. Niewielkie były także szanse opublikowania gdziekolwiek dotychczasowego dorobku naukowego tych młodych ludzi. Próby stworzenia chociażby pracowni badań historii pogranicza polsko-białoruskiego w filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku zakończyły się fiaskiem. Władze uczelni, wprawdzie cierpliwie wysłuchiwały różnych postulatów środowisk białoruskich w tej sprawie, lecz znajdowały mnóstwo rozmaitych przyczyn, które uniemożliwiały pozytywne załatwienie tego problemu. Projekty powołania takiej placówki składane do władz centralnych nie miały żadnego oddźwięku. Zdecydowaliśmy się więc powołać organizację społeczną. Jesienią 1993 roku w Sądzie Wojewódzkim w Białymstoku zostało zarejestrowane Białoruskie Towarzystwo Historyczne. Jego prezesem został doktor Antoni Mironowicz. Wprawdzie statut Towarzystwa zawiera różne cele jego powołania, lecz głównym było upowszechnianie rzetelnej wiedzy o historii Białorusi i Białorusinów. Zdawaliśmy sobie

sprawę z tego, że nasza, nie tak znowu wielka społeczność na Białostocczyźnie, gwałtownie się asymiluje. Przede wszystkim dlatego, że przyjęła narzucone z zewnątrz widzenie języka i kultury białoruskiej jako gorszych, mniej wartościowych. Wobec braku pełnego szkolnictwa białoruskiego, w ramach którego można by propagować historię Białorusi, rozważyliśmy inne warianty upowszechniania tej wiedzy wśród młodzieży. Za najważniejsze uznaliśmy wydawanie czasopisma w języku polskim, ponieważ przy obecnym stanie nauczania literacki język białoruski znany jest niewielkiej części polskich Białorusinów. Ponadto uznaliśmy, że wydawanie pisma w języku polskim ułatwi dialog z historykami polskimi.

B.B.: – *Kim są członkowie Waszego Stowarzyszenia?*

E.M.: – Członkiem Białoruskiego Towarzystwa Historycznego może być każdy, kto czynnie zajmuje się badaniem historii Białorusi. Wszyscy nasi członkowie są z wykształcenia historykami. Do Towarzystwa należy 13 magistrów i 5 doktorów nauk historycznych. Jeden z naszych kolegów przygotowuje w tym roku rozprawę habilitacyjną i mamy nadzieję, że uzyska status samodzielnego pracownika naukowego. Dwóch naszych członków to pracownicy uniwersytecy, pozostali na co dzień pracują jako nauczyciele, dziennikarze, archiwiści, jest nawet jeden duchowny.

B.B.: – *Waszą wizytówką są Białoruskie Zeszyty Historyczne. Czy mógłbyś przedstawić pokrótce to pismo?*

E.M.: – Generalnie staramy się zamawiać jak najwięcej materiałów dotyczących pogranicza polsko-białoruskiego, chociaż nie unikamy także relacji ze styku innych kultur na obszarze Białorusi. Ze zrozumiałych względów najlepiej zbądane są przez nasze środowisko problemy ludności białoruskiej, mieszkającej w Polsce po 1918 roku. Umożliwia to istniejąca i dość dobrze opracowana baza źródłowa oraz relacje uzyskane od bezpośrednich świadków lub uczestników zdarzeń. Fakt ten znajduje odzwierciedlenie w naszych *Biało-*

ruskich Zeszytach Historycznych, najwięcej artykułów, które publikujemy poświęconych jest historii najnowszej. Staramy się jednak by w każdym tomie były materiały dotyczące różnych okresów w historii Białorusinów. Dlatego zapraszamy do współpracy historyków polskich i historyków z Republiki Białoruś. Naszym autorom nie narzucamy żadnego sposobu widzenia procesów historycznych, lecz każdy materiał podlega normalnej krytyce naukowej. Nie narzucamy także tematów badawczych członkom naszego Towarzystwa, tym bardziej, że nie mielibyśmy funduszy na opłacenie takich specjalnych opracowań. Moi koledzy pracują tu bez etatów i najczęściej bez perspektyw na honoraria. Ani Białoruskie Towarzystwo Historyczne, ani redakcja *Zeszytów* nie ma nawet siedziby. Najczęściej korzystamy z gościnności redakcji tygodnika *Niwa*, gdzie odbywają się spotkania zespołu redagującego *Białoruskie Zeszyty Historyczne*. Trudno byłoby w tej sytuacji wyznaczać komukolwiek ramy badań lub chociażby opracowywać zespół problemów z określoną perspektywą czasową ich realizacji.

Obok artykułów, w *Zeszytach* systematycznie zamieszczane są materiały źródłowe, biograficzne, recenzje książek poświęconych historii Białorusi, polemiki i relacje z konferencji naukowych.

B.B.: – *Oprócz Białoruskich Zeszytów Historycznych Wasze Stowarzyszenie publikuje również książki. Czy mógłbyś powiedzieć jakie pozycje się już ukazały i co znajduje się w Waszych planach wydawniczych?*

E.M.: – Wszystkie książki, które zostały wydane przez Białoruskie Towarzystwo Historyczne są autorstwa jego członków. I tak, do tej pory wydaliśmy „Białoruski drugi obieg w Polsce 1981-1990” Wiesława Chorużego, monografię wsi Strzelce-Dawidowicze pióra Ireny Matus, „Dzieje Cerkwi w Bielsku Podlaskim” ks. Grzegorza Sosny i Doro-teusza Fionika. Ostatnio wyszła książka Olega Latyszonka pt. „Białoruskie formacje wojskowe 1917-1923”, która z pewnością wywoła gorące dyskusje w środowisku historyków tak białoruskich, jak i polskich. Przygotowana jest do druku roz-

prawa doktorska Heleny Głogowskiej pt. „Przemiany kulturalne na Białorusi w pierwszej połowie XX wieku” oraz zbiór dokumentów dotyczących białoruskiej mniejszości narodowej w Polsce Ludowej. Na wydanie więcej niż dwóch pozycji książkowych i dwóch tomów *Białoruskich Zeszytów Historycznych* w ciągu roku nie mamy szans, bo tyle tylko można przygotować pracując społecznie. Poza tym, stałym problemem są pieniądze.

B.B.: – *Działalność wydawnicza nie wyczerpuje Waszej aktywności, organizujecie również konferencje – czy mógłbyś przybliżyć ten rodzaj Waszej działalności?*

E.M.: – Dotychczas zorganizowaliśmy trzy konferencje: w październiku 1994 poświęconą szkolnictwu białoruskiemu na Białostocczyźnie, w marcu 1995 o historii Białorusinów w Polsce po II wojnie światowej, a w październiku 1995 mówiliśmy o Białorusinach w II Rzeczypospolitej. Zazwyczaj część materiałów z każdej konferencji trafia na łamy *Zeszytów*. Jesienią tego roku chcemy zorganizować konferencję, którą chcemy rozpocząć pracę nad słownikiem biograficznym poświęconym znanym postaciom w historii Białorusi.

B.B.: – *Jak wyglądają Wasze kontakty z polskim środowiskiem naukowym, tak w Białymstoku, jak i poza nim? Czy udało Wam się nawiązać stałą współpracę z innymi ośrodkami naukowymi?*

E.M.: – W Białymstoku nasza działalność nie wzbudza prawie żadnego zainteresowania pracowników tutejszego Instytutu Historii w filii Uniwersytetu Warszawskiego. Po szczególne osoby z tego środowiska uczestniczą w niektórych naszych konferencjach, czasami piszą artykuły lub recenzje do *Zeszytów*. Lecz dzieje się to głównie dzięki osobistym przyjaźniom czy bliskim kontaktom między tymi ludźmi a członkami naszego Towarzystwa. Nasze kontakty poza Białymstokiem są znacznie szersze. Nasi członkowie współpracują z różnymi ośrodkami naukowymi w Polsce, m.in. z Uniwersytetem Jagiellońskim, Toruńskim, Instytutem Nauk Poli-

tycznych PAN, KUL-em, UMCS-em. Pomimo, że mamy stosunkowo rozległe kontakty, Towarzystwo nie może, nawet ze względów technicznych, prowadzić działalności porównywalnej do nawet najskromniejszej placówki naukowej.

B.B.: – *Na koniec muszę zapytać skąd zdobywacie pieniądze na swoją działalność?*

E.M.: – Z różnych źródeł, lecz najpierw muszę zaznaczyć, że nie ponosimy żadnych kosztów organizacyjnych, bo wszystko robimy społecznie. We własnym zakresie przygotowujemy książki do druku, w związku z tym ich koszty są kilkakrotnie niższe niż w większych wydawnictwach. Nasi sponsorzy to Ministerstwo Kultury i Sztuki, Fundacja im. Stefana Batorego, Urząd Miejski w Białymstoku, oczywiście mamy również pewne wpływy ze sprzedaży naszych wydawnictw. Tych pieniędzy nigdy nie jest za dużo więc musimy nimi bardzo oszczędnie gospodarować.

Pomimo trudności finansowych, w ciągu ostatnich dwóch lat wydaliśmy więcej opracowań naukowych niż całe środowisko białoruskie w okresie powojennym, można więc mówić tu o pewnym przełomie w życiu intelektualnym polskich Białorusinów. Tym bardziej, że istnieją perspektywy dalszego rozwoju naszej działalności. Recenzje naszych wydawnictw w prasie i periodykach naukowych polskich i białoruskich zachęcają do kontynuowania prac zapoczątkowanych w 1993 roku.

Rozmawiała Bogumiła BERDYCHOWSKA

Dr Eugeniusz Mironowicz, historyk, publicysta. Współzałożyciel Białoruskiego Zjednoczenia Demokratycznego (pierwszej etnicznej partii politycznej w Polsce powojennej). W 1989 roku kandydat białoruski w wyborach do Sejmu. Redaktor naczelny tygodnika białoruskiego *Niwa*. Niektóre publikacje: „Białorusini w Polsce 1944-1949”, Warszawa 1993; „Świadomość narodowa ludności białoruskiej Białostocczyzny”, w: *Colloquium Narodów*, Łódź 1987; „Ludność białoruska Białostocczyzny wobec władzy radzieckiej w latach 1939-1941”, w: *Spółczesność białoruskie, litewskie i polskie na ziemiach północno-wschodnich II Rzeczypospolitej w latach 1939-1941*, Warszawa 1995.

NA ROZDROŻU INTERPRETACJI NAJNOWSZYCH DZIEJÓW POLSKI

Niedawno ukazało się szóste wydanie „Historii. Dziejów najnowszych 1939-1945” Tadeusza Siergiejczyka¹. Jest to podręcznik dla szkół średnich, który wywołał dyskusje i kontrowersje. Red. Giedroyc, proponując mi omówienie tej książki, prosił żeby je zrobić „w sposób obiektywny i bez namietności”. Nie jest to łatwe, bo przecież najnowsze dzieje naszego kraju są ciągle strasznie zagmatwane i po totalnym ich zakłamywaniu przez prawie pół wieku, są teraz, w nowej sytuacji i w nowym ujęciu, fragmentarycznie zaledwie odtwarzane i dalekie jeszcze od globalnej wizji, bardzo skomplikowanej zresztą, historii nie tylko Polski, ale i Europy. Ten stan rzeczy wymaga tym większej jasności i przejrzystości opisywanych wydarzeń, oraz tępienia wszelkich nieudomówień i półprawd, których skutki są przeważnie bardziej szkodliwe niż pospolite kłamstwa, łatwiejsze mimo wszystko do zdemaskowania.

Truizmem, wartym jednak przypomnienia, jest znaczenie na całe życie nabytej w latach szkolnych wiedzy, szczególnie dziejów ojczystych, tak bardzo ważnych w kształtowaniu osobowości. Jednocześnie, jakże łatwo można zniekształcić oblicze tych dziejów wypaczoną w młodym wieku nauką, kiedy wchłania się szybciej to, co jest mniej skomplikowane i podsunięte pod przysłowiowy nos, bez rozbudzania ciekawości do pogłębienia podjętych tematów. W omawianiu wspomnianego wyżej podręcznika nacisk kładę przede wszystkim na ogólną orientację, w jakiej zostały ustawione kluczowe

1. Tadeusz Siergiejczyk, „Historia. Dzieje najnowsze 1939-1945”. Podręcznik dla szkół średnich klasy IV liceum ogólnokształcącego oraz dla klasy III technikum i liceum zawodowego. Wydanie szóste. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1995, s. 244.

problemy historiografii tego okresu, bez systematycznego komentowania różnych tam faktów. Główną uwagę zwracam na to, co wywołało i wywołuje kontrowersje, i co winno być poddane dyskusji.

Autor dzieli drugą wojnę światową na pięć okresów, z których ostatni, od lata 1944 do 9 maja 1945 roku, czyli do kapitulacji Niemiec hitlerowskich, zakończył się – zdaniem Siergiejczyka – odrodzeniem państwa polskiego i odzyskaniem przez niego niepodległości (s. 7 i 236). Zanim przejdę do wydarzeń bezpośrednio związanych z tym przełomowym w naszych dziejach okresem, chciałbym zwrócić uwagę na niektóre wybrane problemy.

Szkoda, że autor używa nadal przymiotnika „radziecki”, narzuconego w latach 1944-45, zamiast powrócić do terminu „sowiecki”, jaki był powszechnie używany w Polsce przed wojną. W pierwszym rozdziale, pisząc o rokowaniach sowiecko-brytyjsko-francuskich w sierpniu 1939 roku w Moskwie i „zasadniczym postulatcie”, jaki postawił wtedy rząd ZSSR odnośnie do „przemarszu” jego wojsk przez terytorium Polski (s. 9), na który nasz rząd nie dał zgody, należało wyraźniej podkreślić, że ze strony Moskwy był to zwykły kamuflaż dla prowadzonych jednocześnie negocjacji niemiecko-sowieckich, zakończonych, jak wiadomo, podpisaniem paktu Ribbentrop-Mołotow². Słuszne jest następnie przypomnienie ofiarności społeczeństwa polskiego już przed wybuchem wojny, czego dowodem były m.in. wpłaty na Fundusz Obrony Narodowej (FON), ale można mieć wątpliwości, że „również komuniści manifestowali swój patriotyzm. Chociaż wielu z nich znajdowało się w więzieniach, to jednak i w tych warunkach organizowali zbiórki pieniężne na FON, oraz zgłaszali chęć ochotniczego wstąpienia do wojska” (s. 16). Sporadyczne tego rodzaju wypadki były raczej motywowane chęcią wydostania się z więzienia a nie postawą patriotyczną. Trzeba bowiem pamiętać, że w Polsce komunizm był zawsze doktryną obcą, utożsamianą przez społeczeństwo z ustrojem totalitarnym.

Przy użyciu terminu „sanacja”, w odniesieniu do rządu przedwojennego, należy wyjaśnić, co ten termin oznacza,

2. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 102, s. 172-180.

czego młodzież zapewne nie wie a jeżeli, to w ujemnym jedynie tego słowa znaczeniu, jak może to również wynikać z różnych aluzji i wzmianek w tej książce. Autor pisze, że po internowaniu rządu w Rumunii, jego członkowie „postanowili na czoło polskich władz emigracyjnych wysunąć inną ekipę działaczy z obozu sanacyjnego”, stąd też dalej sugestia, że dlatego prezydent Ignacy Mościcki mianował swoim następcą gen. Bolesława Wieniawę-Długoszowskiego (s. 33). Dwie nasuwają się tutaj uwagi: mylne jest określenie „polskie władze emigracyjne”, gdyż chodziło o polskie władze na obczyźnie, różnica zasadnicza. Prezydent Mościcki początkowo myślał o gen. Sosnkowskim jako swym następcy. Ponieważ nie było wiadomo co się z nim dzieje a czas nagiął, mianował gen. Wieniawę Długoszowskiego, zakładając że przekaze on to stanowisko Sosnkowskiemu jeśli pojawi się na Zachodzie.

Mylny też wysnuty jest w książce wniosek z tzw. „kryzysu lipcowego” z 1940 roku, jaki miał miejsce w łonie rządu polskiego po jego ewakuacji do Londynu. Otóż jak wiadomo gen. Sikorski był ostro krytykowany za wadliwą ewakuację wojska polskiego z Francji do Wielkiej Brytanii, oraz za memoriał wręczony wówczas lordowi Halifaxowi, brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych. Memoriał ten – zredukowany w pierwszej wersji przy współudziale Stefana Litauera, wysługującego się już wtedy Sowietom³ – zawierał m.in. propozycję utworzenia w ZSSR 300.000 armii polskiej z deportowanych i więzionych tam żołnierzy, i wysłania nieoficjalnego przedstawiciela rządu polskiego do Moskwy celem ewentualnych rozmów na temat zmian terytorialnych na naszych kresach wschodnich. Trzeba w tym wszystkim pamiętać, że po agresji sowieckiej 17 września stosunki z Moskwą zostały zerwane i część Polski znajdowała się pod wrogą okupacją ZSSR. Na szczęście, dzięki zdecydowanej postawie prezydenta Raczkiewicza, memoriał został wycofany przez ministra Augusta Zaleskiego. Siergiejczyk pisze jednak,

3. Zob. Hanna Świdorska, „Drobiazgi jałtańskie: Z angielskiej działalności Stefana Litauera”. *Zeszyty Historyczne* nr 106, str. 63 i nast., oraz nr 87, str. 201.

że to Sikorski, pod wpływem ataków polityków sanacyjnych, wycofał memoriał i że ówczesny kryzys rządowy wykazał „jak liczne jest grono przeciwników realistycznego kursu polityki polskiej” (s. 151), którego finał nie wymaga już dzisiaj komentarzy.

W rozdziale poświęconym okupacji sowieckiej jest mowa o strasznych warunkach, w jakich odbywała się deportacja Polaków do ZSSR, ale zaraz potem autor twierdzi, bez żadnych bliższych wyjaśnień, że „część Polaków wyjechała też w głąb ZSSR w poszukiwaniu lepszej pracy i zarobków, bądź na mocy przeniesień służbowych głównie do Donbasu, łącznie ok. 200 tys. ludzi” (s. 137). Trudno o większą niedorzeczność⁴. Przy tej okazji trzeba zwrócić uwagę na stosowaną przez Siergiejczyka metodę, swoistego rodzaju „przeplatankę” polegającą na tym, że po przedstawieniu konkretnych faktów, obciążających ustrój z minionej epoki, autor podaje inne, których celem wydaje się być zneutralizowanie tego o czym sam pisze i czego trudno było pominąć milczeniem.

Na tej samej stronie, z której przytoczyłem wyżej zdanie, znajduje się inne twierdzenie, również nie odpowiadające rzeczywistości a mianowicie, że „po klęsce Francji (w czerwcu 1940 r.), w obliczu rosnącego zagrożenia niemieckiego, sytuacja ludności polskiej pozostającej na terenach włączonych do ZSSR zaczęła zmieniać się na korzyść. Polityka władz radzieckich ulegała pewnemu złagodzeniu. Władze zaczęły zwracać większą uwagę na rozwój polskiego życia społeczno-kulturalnego” (s. 137). Pod wieloma względami było akurat odwrotnie a mówienie w ogóle o możliwości rozwoju tam życia społeczno-kulturalnego jest zbyt groteskowe, żeby podlegało dyskusji. Autor sam sobie zresztą przeczy, bo tutaj pisze o zmianie nastawienia „w obliczu rosnącego zagrożenia niemieckiego”, podczas gdy kilkadziesiąt stron wcześniej, w rozdziale pt. „Najazd Niemiec hitlerowskich” przypomina, że

4. Odpowiada to w pewnym stopniu poziomowi filmu, jaki w latach pięćdziesiątych wyprodukowali Amerykanie (tytułu nie pamiętam), gdzie w sekwencji odtwarzającej ukrzyżowanie Pana Jezusa mowa była, że Chrystus spędził na Golgocie *week-end*.

Stalin do końca nie wierzył w zaatakowanie ZSSR przez Niemców i zignorował nawet wiadomości o koncentracji wojsk niemieckich na granicy, o czym dowiedział się za pośrednictwem rządu brytyjskiego, który z kolei otrzymał dane od polskiego wywiadu podziemnego (s. 55).

Omawiając nawiązanie stosunków polsko-sowieckich podpisaniem układu z 30 lipca 1941 roku, zwanego przeważnie od imienia jego sygnatariuszy układem Sikorski-Majski, Sergiejczyk ogranicza kryzys w rządzie polskim, jaki on wywołał, brakiem w nim „klauzuli dotyczącej uznania przez stronę radziecką wschodniej granicy państwa polskiego sprzed 1 września 1939 r.” (s. 153). W rzeczywistości układ ten nie rozwiązał na przyszłość żadnego problemu. Dzięki przebiegłości dyplomacji sowieckiej pozostawiono w nim celowo otwarte kwestie, dowolnie później interpretowane przez Moskwę, a które można było wówczas uregulować, bo był po temu odpowiedni moment. Warto jeszcze nadmienić, że gen. Sikorski podpisał układ, pod presją brytyjską, na „własną i nieprzewidzianą w konstytucji odpowiedzialność”⁵.

Najdonioślejszym następstwem uregulowania stosunków polsko-sowieckich była, jak pisze również Sergiejczyk, zawarta 14 sierpnia 1941 roku polsko-sowiecka umowa wojskowa, dotycząca zorganizowania Armii Polskiej na terytorium ZSSR. Doniosłość tej umowy polegała jednak, według Sergiejczyka na tym, że „nie zabraknie na najważniejszym froncie drugiej wojny światowej żołnierza polskiego” (s. 153). Trudno się dzisiaj zgodzić z tego rodzaju twierdzeniem, gdyż w wytworzonej wtedy sytuacji – a inna w tym ustroju nie była właściwie możliwa – najistotniejszym znaczeniem tej umowy było wydostanie z ZSSR i uratowanie od śmierci głodowej ponad 100.000 Polaków, żołnierzy i cywilnych.

W umowie zostało zastrzeżone, że jednostki Wojska Polskiego „będą przesunięte na front dopiero po osiągnięciu pełnej gotowości bojowej”. Według Sergiejczyka, w październiku 1941 roku (dwa miesiące po zawarciu umowy), z Armii Polskiej w ZSSR, liczącej wówczas około 41.000 żołnierzy „5 Dywizja Piechoty, pod dowództwem gen. Mieczysława

5. Zob. *Zeszyty Historyczne* nr 102, s. 198-203.

Boruty-Spiechowicza, osiągnęła pełną gotowość bojową”, a w lutym 1942 r. rząd sowiecki zaproponował gen. Andersowi wysłanie tej Dywizji na front (s. 154-155). Z tego wynika, że autor zupełnie nie orientuje się w jak nędznym fizycznym stanie docierali żołnierze do punktów zbórnych i w jak ogromnie ciężkich warunkach była tworzona ta Armia, której jednostki w żadnym wypadku nie mogły osiągnąć bojowej gotowości w ciągu kilku tygodni. Nawet zresztą ta jedna 5 Dywizja otrzymała broń „poniżej stanu etatowego”, jak przypomniał gen. Anders, który odmówił wysłania jej na front, powołując się na umowę wojskową i podkreślając, że udział wojska polskiego obok armii sowieckiej będzie miał tylko wtedy znaczenie, gdy wojsko to pójdzie na front w całości⁶.

W marcu 1942 roku władze sowieckie zapowiedziały zmniejszenie racji żywnościowych dla Armii Polskiej do 26.000. Armia ta liczyła wówczas blisko 70.000 i nadto żołnierze dzielili się tymi racjami z kobietami i dziećmi, którym udało się przybyć i zostać przy wojsku. Oznaczało to, potwierdza krajowy historyk, „głód dla żołnierzy, a śmierć głodową dla nie posiadającej żadnych źródeł utrzymania ludności cywilnej”⁷. Od śmierci tej wybawiła znajdujących się tam Polaków ewakuacja do Iranu. Siergiejczyk natomiast pisze, że w wyniku ewakuacji „nadzieje wychodźstwa polskiego na *szybkie* (podkreślenie moje – T.W.) wzięcie udziału w wojnie z Niemcami hitlerowskimi zostały przekreślone” (s. 156). O jakim „wychodźstwie polskim” mówi tutaj autor, bo przecież to ewakuowane z ZSSR, opuszczało „raj sowiecki” z ogromną ulgą, a jednostki wojskowe, złożone z wychodźstwa na Zachodzie brały czynny udział w wojnie już od czerwca 1940, na frontach we Francji, Norwegii, bitwie lotniczej o Wielką Brytanię i w Afryce.

W rozdziale o organizowanym ruchu oporu w Europie Siergiejczyk pisze, że do wybuchu wojny niemiecko-sowiec-

6. Zob. Władysław Anders, „Bez ostatniego rozdziału”, Montgomeyshire Printing Company, Londyn 1950, s. 131-132.

7. Andrzej Albert (Wojciech Roszkowski), „Najnowsza historia Polski 1918-1980”, Polonia, Londyn 1989, s. 366.

kiej ich kierownictwa w poszczególnych krajach „nie zawsze były chętne uzbrajaniu i powszechnemu wciąganiu do ruchu partyzanckiego mas ludowych”. Dopiero komuniści wystąpili „z programem tworzenia antyfaszystowskich frontów narodowych i prowadzenia powszechnej walki zbrojnej”, w rezultacie czego „siły promoskiewskie zyskały znaczne poparcie społeczne” (s. 86).

Mało zorientowani czytelnicy, a do takich przecież trzeba zaliczyć większość uczniów szkół średnich, nie będą znowu mieli wyraźnego obrazu związanych z tym problemów. Otóż do czerwca 1941 roku, ataku Niemiec na ZSSR, komuniści byli sprzymierzeńcami, cichymi przeważnie, okupanta. Po tej dacie, z inspiracji Moskwy przystąpili do ruchu oporu, żeby odciążyć front sowiecki. Dysponując partyjnym aparatem łatwiej im było mobilizować ludzi, którzy wstępowali do ruchu oporu nie z pobudek takiej czy innej partii, ale z poczucia obowiązku wzięcia udziału w walce z okupantem, co było bardzo dalekie od zajmowania prosowieckiego stanowiska.

Typowym tego przykładem była Francja i jej partia komunistyczna, której konspiracyjna działalność pod okupacją została po wojnie ogromnie wyolbrzymiona w porównaniu z rolą, jaką rzeczywiście odgrywała. Ze źródła wydmuchanej roli tej partii, bez krytycznej oceny, korzystał zapewne Siergiejczyk, pisząc o udziale Polaków w ruchu oporu na terytorium Francji i ich „największym zasięgu i liczebności (co podlega zresztą dyskusji – T.W.) w ramach formacji lewicowych” (s. 93). Autor nie wyjaśnia, że chodziło przeważnie nie o wybór natury politycznej, lecz po prostu o zwykły zbieg okoliczności, do czego przyczyniły się głównie zdominowane przez lewicę związki zawodowe z ich rozgałęzieniem w robotniczych środowiskach górniczo-rolniczych, gdzie znajdowała się również liczna emigracja polskiego pochodzenia.

Oдноśnie do francuskiego ruchu oporu, który stanowi odrębny temat, to warto jednak zwrócić uwagę, że wbrew temu co pisze Siergiejczyk, z chwilą rozpoczęcia ofensywy aliantów latem 1944 roku, nie wybuchło we Francji zbrojne powstanie powszechne, tylko lokalne zrywy w przybliżeniu do

tych, jakie miały miejsce w Polsce w ramach akcji „Burza”. Podany ówczesny stan na około 500.000 członków francuskiego ruchu oporu (s. 89) Siergiejczyk zaczerpnął prawdopodobnie z powojennej literatury, rozrastającej się do dziś jeszcze, co nie sprzyja autentyczności przedstawionych tam epizodów.

Omawiając organizację i działalność Podziemia w Polsce, Siergiejczyk pisze, że „Armia Krajowa, przygotowując się do powstania powszechnego, przyjęła zasadę tzw. „walki ograniczonej” i później, w innym paragrafie, że „bojowe osiągnięcia w latach 1942-1943 były znaczne, jednakże mogłyby być one o wiele większe, gdyby Komenda Główna AK walkę czynną traktowała na równi z przygotowaniami do powstania” (s. 170 i 171). Od użycia określeń w rodzaju „ograniczonej walki czynnej”, pozornie nie budzących większych zastrzeżeń, jeden tylko krok do głoszonego po wojnie przez komunistów sloganu o „staniu przez AK z bronią u nogi”. Slogan ten miał podwójny cel: zniesławienie AK mówieniem o jej bezczynności oraz tworzenie legendy komunistycznego, jedyne go, walczącego z okupantem ruchu oporu. W książce Siergiejczyka widać ślady tej dawniej lansowanej propagandy, z tym że pisze on również o działalności AK, ale na każdym miejscu „przeplata” czynami komunistów.

Po przypomnieniu rozwiązania w 1938 roku przez Międzynarodówkę partii polskich komunistów, ale bez żadnej wzmianki o zgładzeniu ich przywódców przez Stalina, to pomimo tego, twierdzi Siergiejczyk „komuniści polscy nie zaprzestali działania pod okupacją niemiecką. Już w końcu 1939 r. i na początku 1940 r. powstało na okupowanych przez Niemców ziemiach polskich kilkadziesiąt luźnych grup i skupisk komunistów” (s. 142). Wątpię, czy w całej Polsce było wówczas wszystkich razem tyleż „luźnych” komunistów, nie mówiąc już o skupiskach. W styczniu 1942 roku została powołana, przez tzw. „Grupę Inicjatywną” przerzuconą z Moskwy, Polska Partia Robotnicza (PPR) i w niespełna od tego miesiąc „prawie wszystkie (bez podania ile ich było?... – T.W.) działające w kraju grupy komunistyczne zgłosiły akces do PPR”. Jednocześnie przystąpiono do tworzenia organizacji

zbrojnej pod nazwą Gwardia Ludowa (GL) z lansowanym hasłem: „każdy pepeerowiec – gwardzistą” (s. 168).

Następnie autor informuje, że „w końcu 1942 r. działały na terenie kraju 24 oddziały partyzanckie i kilkadziesiąt grup specjalnych GL” (s. 168), ale nie precyzuje, jaka była specjalność tych grup... Na innej z kolei stronie znajduje się dalszy ciąg tego bilansu, gdzie czytamy: „od maja do grudnia 1942 r. zorganizowanych zostało 30 oddziałów partyzanckich GL a w roku następnym ich liczba przekroczyła 50. Ogółem w latach 1942-1943 GL przeprowadziła blisko 2000 akcji zbrojnych, z tego około 1500 w roku 1943” (s. 172). Pisząc podobne rzeczy autor nie był zapewne w stanie zdać sobie nawet sprawy, co reprezentowałoby istnienie 50 oddziałów partyzanckich.

Jedno natomiast odpowiada w tym wszystkim rzeczywistości, mianowicie – parcie komunistów do zbrojnych wystąpień, natychmiastowej walki, co było inspirowane przez Moskwę nie tylko w Polsce, ale i w innych krajach, szczególnie we Francji. Nacisk na walkę zbrojną był zgodny z taktyką sowiecką nieliczenia się z życiem człowieka. W Polsce trafiało to na podatny grunt, gdyż zwłaszcza młodzież rwała się do walki i demagogiczne hasła komunistów osiągnęły początkowo pewien sukces. W rezultacie, jak przypomina cytowany już historyk, spektakularne akcje komunistów „były obliczone na efekt propagandowy, represje wywołane przez nie były niewspółmierne do uzyskanych korzyści”⁸, a wielokrotnie w ogóle bezsensowne, jak np. wysadzanie mostów, z których korzystała jedynie miejscowa ludność.

Z rozdziału o akcji „Burza” – gdzie autor pisze o walkach wiosną 1944 roku 27. Wołyńskiej Dywizji Piechoty, dowodzonej przez ppłk. Jana Wojciecha Kiwerskiego, ps. „Oliwa” – trzeba odnotować błędne ujęcie dramatycznego jej rozgromienia. Siergiejczyk bowiem pisze, że podczas uzgadniania współdziałania Dywizji z Armią Czerwoną i prowadzonych rozmowach z ich sztabem, oficerowie sowieccy zaproponowali Komendzie Głównej AK podpisanie konwencji wojskowej. Dowództwo AK warunków nie przyjęło i „niedojście do

8. Andrzej Albert (Wojciech Roszkowski), *op.cit.* s. 382.

porozumienia stało się pośrednią przyczyną dramatu 27 Dywizji” (s. 198). W rzeczywistości bezpośrednią przyczyną dramatu było po prostu celowe przez Sowietów zostawienie Dywizji w kotle w walce z Niemcami, bez wsparcia Armii Czerwonej, która wycofała się, ze wspólnie bronionych pozycji, nie powiadamiając nawet o tym dowództwa polskiego. Dywizji udało się wydostać z kotła, poniosła jednak ogromne straty, a resztę dokonali Sowieci, nie uznając dłużej zawartego porozumienia o współpracy. Następnie, wspominając w kilku zdaniach o „Burzy” w Okręgu Lwowskim, trzeba było zaznaczyć, że po zdobyciu Lwowa przez Armię Czerwoną, przy wydatnym udziale oddziałów AK w sile około 3000 żołnierzy, komendant tego Okręgu, płk. Władysław Filipowski – ps. „Janka” wyjechał na rozmowę z Żymierskim, z której nie wrócił i ślad po nim zaginął.

Powstaniu Warszawskiemu Siergiejczyk poświęca dziesięć stron i porusza właściwie wszystkie ważniejsze problemy, ale w charakterystyczny dla niego pomieszany sposób, co nie może ułatwić młodemu czytelnikowi wyrobienia sobie własnego zdania w kontrowersyjnych do dzisiaj kwestiach. Po wyszczególnieniu polityczno-wojskowych celów powstania, autor podkreśla – zgodnie z rzeczywistością – niezgodnienie działań z aliantami, oraz że „nie nawiązano kontaktów z dowództwem Armii Czerwonej” (s. 208). Należało jednak równocześnie przypomnieć, iż stosunki ZSSR z rządem polskim w Londynie zostały przez Moskwę zerwane w kwietniu 1943 roku, a lokalne kontakty i uzgodnione współdziałania w ramach akcji „Burza” kończyły się zawsze tragicznie.

Następstwem braku kontaktów z Armią Czerwoną – wyjaśnia dalej autor – był brak orientacji dowództwa AK w postęпах ofensywy sowieckiej, której zamierzeniem było wkroczenie do Warszawy, stąd też apel radiostacji im. T. Kościuszki z Moskwy. Sytuacja uległa jednak zasadniczej zmianie, gdyż „Niemcy opanowali paniczny odwrót... rozbili gwardyjski korpus pancerny i powstrzymali radzieckie czołówki”. W tym stanie rzeczy Stalin wydał rozkaz „niepodejmowania dalszych ataków na Warszawę” (s. 208-209). Klasyczna wykładnia historiografii minionego okresu.

W kolejnym potem paragrafie autor pisze, że zatrzymanie ofensywy Komenda Główna AK „zinterpretowała jako krok natury politycznej” – przytaczając na potwierdzenie tego depeszę wysłaną do Londynu przez Jana S. Jankowskiego, delegata Rządu w Kraju (s. 209) – i co miało być błędną interpretacją, jak to wynika z przedstawionej przez autora sytuacji.

Sojusznicy brytyjscy, tłumaczy następnie Siergiejczyk, nie aprobując powstania nie uzgodnionego z dowództwem sowieckim, prowadzili wspólnie z rządem amerykańskim „grę dyplomatyczną, usprawiedliwiając niemożność udzielenia większej pomocy walczącej Warszawie bez udostępnienia im baz lotniczych w Związku Radzieckim” (s. 212). Faktem jest, że alianci do wydatniejszej pomocy skorzy nie byli, ale mimo wszystko byłaby ona dużo większa, gdyby Stalin nie zabronił samolotom alianckim lądowania na bazach terenów zajętych przez Armię Czerwoną, co należało wyjaśnić od razu na wstępie, a nie odwoływać się tutaj do dyplomatycznej gry aliantów, którą nie można zastępować zbrodniczej wobec powstania postawy Stalina.

Brak pomocy sojuszników siłą rzeczy wpłynął ujemnie na nastroje wśród społeczeństwa gdzie, nie znając powodów bierności aliantów, zaczęto krytykować władze polskie za nienależyte zorganizowanie wsparcia powstania. Dało to Siergiejczykowi asumpt do twierdzenia, że w związku z tym „przywódcy powstania podjęli akcję propagandową, której celem była obrona przed podobnymi zarzutami i obciążenie główną odpowiedzialnością za niepomyślny rozwój sytuacji Armii Czerwonej. Dowództwo radzieckie oskarżano o celowe wycofanie się spod Warszawy i wstrzymanie działań na froncie” (s. 212). W kontekście całości sugeruje to, iż chodziło raczej tylko o wybieg propagandowy ze strony polskiej, szukającej dla siebie usprawiedliwienia.

Mowa jest następnie o przynagłaniu Komendy Głównej AK przez PPR do szybkiego kontaktu z dowództwem sowieckim, bez żadnego znowu wyjaśnienia o daremnych próbach dowództwa AK nawiązania łączności ze sztabem Armii Czerwonej i apelach do Rokossowskiego o pomoc. W dalszej kolejności Siergiejczyk pisze o zjednoczeniu organizacji komunistycznych i lewicowych w Warszawie, i uznaniu przez

nie lubelskiego PKWN, oraz o przygotowaniu przez Rokossowskiego planu operacji mającej na celu wyzwolenie Warszawy, który Stalin odrzucił, skazując Warszawę na zagładę z następujących powodów: a) zaangażowania znacznych sił sowieckich do mającej się rozpocząć ofensywy na kierunku bałkańskim, b) niedojścia do porozumienia między Mikołajczykiem i delegacją PKWN, c) osobiście negatywnego stosunku do powstania ze względu na jego polityczną treść (s. 213).

Po tym wszystkim – gdy czytelnik jest już lepiej przygotowany do krytycznej oceny podjęcia powstańczej walki w Warszawie i tym samym bardziej skłonny do łagodniejszej oceny biernej postawy Armii Czerwonej – Siergiejczyk wspomina o negatywnej odpowiedzi Stalina na apel Churchilla i Roosevelta o dokonanie zrzutów broni; zezwoleniu wreszcie na lądowanie alianckich samolotów na lotniskach sowieckich i forsowaniu Wisły przez oddział Dywizji WP dowodzonej przez Berlinga (s. 213-214), mianowanego przez Sowietów generałem. Autor pisze o tym bez wyraźnego podkreślenia, że były to jedynie gesty, złudzenia pomocy, mające głównie na celu przedłużenie walki do większego jeszcze wyniszczenia stolicy i jej ludności.

Wprowadzenie do tworzenia Dywizji im. T. Kościuszki pod dowództwem Berlinga i przygotowania w Moskwie ekipy władzy narzuconej później Polsce, Siergiejczyk zaczyna od przedłożonego władzom sowieckim przez Wandę Wasilewską, „znaną w ZSSR pisarkę i działaczkę”, oraz przez innych działaczy, projektu skupienia Polaków znajdujących się w ZSSR „w szeregach postępowej, demokratycznej organizacji społeczno-politycznej”. Rząd sowiecki poparł ten projekt, w następstwie czego powstał w styczniu 1943 roku „Komitet Organizacyjny Związku Patriotów Polskich w ZSSR” (ZPP), z przewodniczącą Wasilewską na czele, która z kolei „wystosowała do Stalina list z prośbą o zezwolenie na sformowanie polskiej jednostki wojskowej”. Reakcja rządu sowieckiego znowu była pozytywna i przystąpiono przeto do organizowania wspomnianej wyżej Dywizji, na dowódcę której wyznaczono Berlinga.

Wszystko więc, jak mogą z tego wnioskować licealiści, działo się na prośbę Polaków łaskawie przyjętą przez So-

wietów. W pracy politycznej wśród żołnierzy tej Dywizji – pisze dalej Siergiejczyk – „szczególną uwagę zwracano na podkreślenie narodowego charakteru jednostki i kultywowanie tradycji oręża polskiego” (s. 184-186), którą – dodajmy od siebie – posługiwali się wtedy politrucy do innych celów niż te, jakim tradycja ta zawsze przyświecała. Nie umniejsza to jednak męstwu i poświęceniu żołnierza polskiego tej Dywizji, który walczył w nieporównalnie cięższych warunkach niż formacje PSZ na Zachodzie, a po wojnie był przeważnie uważany przez społeczeństwo za żołnierza последней kategorii, bo walczącego, nie z własnej winy, pod narzuconym przez Sowieców dowództwem.

W skład powołanego w lipcu 1944 roku „Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego” (PKWN) weszło, jak podaje Siergiejczyk: „5 komunistów, 4 ludowców, 3 socjalistów, 1 działacz demokratyczny (*sic*) oraz 2 bezpartyjnych” (s. 204), z czego znowu młodzież może wysnuć wniosek, że w Komitecie tym, zwanym powszechnie lubelskim, komuniści byli przecież w mniejszości a więc mogli tam dominować inne orientacje. Dnia 31 grudnia 1944 roku PKWN został przekształcony w „Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej”, co oznaczało, jak podaje autor, bez żadnego również komentarza „że siły prokomunistyczne zwyciężyły w pierwszej batalii o władzę w powojennej Polsce” (s. 223), zwyciężyły i później, metodami o których usiłuje się teraz zapomnieć.

Jak już nadmieniałem, podręcznik Siergiejczyka charakteryzuje się przemieszaniem faktów i problemów o różnym znaczeniu w sposób, pod tym względem fachowy. Robi wrażenie jak gdyby był pisany „pod cenzurę”, łagodniejszą, ale cenzurę, ukazuje wszystko w takim świetle, żeby wynikało, iż jednak „nasi byli górą”, trochę po drodze rozrabiali, ale przecież czasy były ciężkie i dzisiaj nie powinno się już to liczyć.

Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że miejscami autor wahał się – a pod tym względem nie stanowi niestety wyjątku – w którą obrócić się stronę, jak zinterpretować ten czy ów fakt w gąszczu bardzo skomplikowanej problematyki. W rzeczywistości chodzi jednak o dobrze przemyślaną taktykę wdrażania w umysły młodzieży przekonania, że historia PRL nie stanowi kontynuacji rewolucji bolszewickiej, lecz że jest

dalszym ciągiem historii Polski i jej tradycji o trochę tylko trudniejszym okresie dziejów naszych i w ogóle Europy. Temu celowi służyć ma zapewne podręcznik Siergiejczyka, przedstawiający uchwycenie narzuconej wówczas Krajowi władzy w sposób, który winien rzutować na późniejszą ocenę jej „legalności”.

Z lektury tego podręcznika uczniowie dowiedzą się np. że „od końca sierpnia 1944 r. zaczęto odbudowywać sądownictwo, do którego powróciło wielu przedwojennych prawników. Oprócz odbudowy tradycyjnego wymiaru sprawiedliwości powołane zostały dodatkowe sądy specjalne do sądenia przestępców hitlerowskich i kolaborantów”. Mówienie o „odbudowie tradycyjnego wymiaru sprawiedliwości” w panującym bezprawiu PRL nie wymaga żadnych komentarzy. Podobnie jest, gdy autor pisze, że Bolesław Bierut „od października 1944 r. formalnie pozostawał poza szeregami partii. Pełnił on bowiem funkcję przewodniczącego, a od grudnia 1944 r. prezydenta KRN (Krajowa Rada Narodowa) i, zgodnie z tradycją polskiego parlamentaryzmu, jako głowa państwa nie mógł być członkiem żadnej partii politycznej” (s. 220 i 221).

Tendencyjny jest też wybór źródeł. Bibliografia zamieszczona na końcu podręcznika zawiera 97 tytułów, w tym tylko 8, które ukazały się w Polsce w 1989 i 6 z roku 1990, a po tej dacie nie ma już w wykazie żadnej publikacji. Znajdują się tam pozycje o bardzo nierównej wartości, jak np. książki w rodzaju „Najnowszych dziejów Polski 1914-1983” (PWN 1987) Antoniego Czubińskiego, której „autor posiada kwalifikacje nie historyka, a urzędnika orwelowskiego Ministerstwa Archiwaliów”⁹. Z kilkuset publikacji wydanych przez Instytut Literacki w Paryżu jest tylko wymieniona książka Józefa Czapskiego „Na nieludzkiej ziemi”. Wśród instytucji i ośrodków historycznych, które zajmują się okresem drugiej wojny światowej jest wymieniony m.in. Instytut im. gen. Sikorskiego w Londynie (s. 240), ale nie ma najmniejszej nawet wzmianki o *Zeszytach Historycznych*

9. Rafał Bubnicki „Duch Orwella”, *Zeszyty Historyczne* nr 91, str. 215, oraz zob. nr 86, s. 216 i nast.

red. Jerzego Giedroycia. Brak jest również m.in. opracowań Janusza K. Zawodnego o Katyniu.

W zakończeniu Siergiejczyk pisze, że „historiografia krajowa charakteryzuje się w ostatnim okresie otwarciem na większość złożonych problemów II wojny światowej (s. 241). Jak dotychczas – a podręcznik, o którym mowa jest jednym tego przykładem – chodzi o dość nieśmiało, bo strzeżone „otwarcie”. Skutek tego jest taki, że młodzież jest nadal wychowywana w atmosferze dawniej uszeregowanych faktów i naświetlanych dziejów ojczystych.



Pod pewnym względem można mówić o analogicznej sytuacji i wpływającej z niej potrzebie pracy pedagogicznej we Francji, po upadku rządu Pétaina w Vichy i w Polsce, po upadku reżimu komunistycznego. Jesienią 1944 roku, gdy Paryż był już oswobodzony, René Capitan, minister Edukacji Narodowej rządu gen. de Gaulle’a, w przemówieniu radiowym skierowanym do grona nauczycielskiego, m.in. powiedział i co warte jest dzisiaj przypomnienia również polskim wykładowcom: „Jutro nastąpi otwarcie roku szkolnego wyzwolonej Francji. Trzeba, żeby od początku dała się odczuć wasza działalność wychowawcza. Uczucie prawdy. Dajcie świadectwo prawdzie, która we wszystkich dziedzinach była tak ohydnie zniekształcana. A najpierw przestudiujcie z młodzieżą tragiczne lata, które ostatnio przeżyliśmy. Wyjaśnijcie im jak naród może upaść, jak może przetrwać, jak może powrócić do życia. Uczcie swoich elewów cnót wolności. Wpajajcie w ich umysły, że wolność jest warunkiem istnienia w narodzie porządku i sprawiedliwości. Uczcie ich obowiązków, jakie nakłada wolność, obowiązków wobec samego siebie, obowiązków wobec bliźniego, obowiązków wobec wielkich wartości duchowych, które wskazują ludzkości drogę”¹⁰.

Tadeusz WYRWA

10. René Capitan, *France libre*, Paryż 3 października 1944 roku, s.1.

„KRESY” JACKA KOLBUSZEWSKIEGO

Książka Jacka Kolbuszewskiego „Kresy” obejmuje obszerne terytorium – od Żmudzi i Świtezi poprzez mistyczne bagna i trakty poleskie, aż po umiłowane rzeki Jerzego Stempowskiego i Stanisława Vincenza, Czeremosz i Prut, po Dniestr i Dniepr. Sięga po góry i trombity huculskie, po żydowsko-austriacką Galicję aż po powojenne Bieszczady. Bogato ozdobiona reprodukcjami (na 250 stron wypada ich kilkaset!) całość robi wrażenie mini-albumu. Zawiera znane obrazy sławnych malarzy, mniej znane i zgoła nieznane, tak że nawet wytrawny znawca tematu znajdzie tam niespodziewany klejnot.

Na pozornie prościutki tytuł składa się słowo o sile niemal magicznej, za to o dość słabym profilu semantycznym, skoro w trzech różnych słownikach pod redakcją St. Skorupki jest określane na trzy różne sposoby. Historycznie wyraz „Kresy” oznacza tylko strefę ukraińską, w połączeniu z przymiotnikiem „ukraiński” jest tautologiczny. Oznacza granicę ale przy ciągle zmieniających się granicach ma coś z *fata morgana*. Równocześnie jest bardzo wygodny, jak wielki wór do wszystkiego, obejmując obszary od Inflant po Krym.

„Kresy” Kolbuszewskiego nie składają się na dzieje tzw. „Kresów”. Dotyczą raczej rozwoju znaczeniowego tego wyrazu w literackiej i potocznej polszczyźnie. Autor wyprawia jego rodowód z „Mohorta” Wincentego Pola, u którego oznacza linię wojskowego pogranicza od Kozaczyzny i Ordy tatarskiej. Trzeba podkreślić, że Pol stworzył swoją panoramę kresową już jako spadkobierca poetów romantycznej szkoły ukraińskiej. Oni zaś z kolei, wychowywani pod Humanem, Kaniowem i Skwirą, odczytywali przez lornetkę Ossiana, Waltera Scotta i Byrona krajobraz zakreślony i zmitologizowany jeszcze w XVI wieku. Ale nawet i w XVI w. daje się zauważyć pewną ambiwalencję. Podole już podówczas

miało podwójne oblicze – jako ziemski raj i jako pole bitwy dla wyćwiczenia rycerzy. Pragmatycznie rozumując Mikołaj Rej z Nagłowic pisał o pusto stojących zamkach, utyskiwał na słaby stan obronny Kamieńca Podolskiego. Plebs różnie na to patrzył. Klech Albertus w komedii rybałtowskiej ucieka jak najdalej od terenu wojny z Turkami. Powiada za to Jacko w „Peregrynacji dziadowskiej” (1614): *Á ja pojdu do Rusi, / Spasytela chwalić, / Bo łatwo, kto umie po rusku wyszalić [...] Świętez kraje podolskie, tam żywności dosyć*”.

Mohort był anachronizmem nawet jako pogrobowiec świetności Polski na południowo-wschodnich rubieżach, gdyż Chmielnicki położył kres jej potęgze o sto lat wcześniej. Zresztą za czasów rzekomego Mohorta, jak to zauważył Spasowicz, „już i wielkiej wojny nie bywało na kresach, i funkcje kresowego rycerstwa schodziły na to, co byśmy nazwali wedle dzisiejszej terminologii policją stepu”. Mimo to – a może właśnie dlatego – poemat „Mohort” zrobił zawrotną karierę, doczekał się licznych wydań. Bohater tytułowy służył za powszechny wzór i ideał, dopóki nie został zastąpiony dla czytelnika masowego przez Zagłobę, Skrzetuskiego i Kmicica.

Po Mohorcie historycznym, fikcyjnym i anachronicznym, pojęcie „Kresy” zmienia kształt i pole semantyczne w rytm wydarzeń dziejowych. Pozostaje jednak na bakier z historią, gdyż nie pokrywa się ze stanem rzeczywistym. Kolbuszewski dokumentuje liczne modyfikacje, wahania, nieraz niekonsekwencje, w użyciu tego słowa na przestrzeni 150 lat, notuje jego wielorakie powiązania i skojarzenia. Przy zmniejszaniu się obszaru państwa, „Kresy” oznaczają teren coraz bliższy centrum. Ubytek topografii wyrównuje przybytek topologii. Bo za sprawą chociażby „Trylogii” Sienkiewicza nie ztraca się pamięci o dawniejszych ziemiach aż po Dzikie Pola łącznie.

Autor rzetelnie oddaje te zwroty-kołowroty. Spróbuję streścić kilka jego kluczowych określeń.

Od samego początku mit dotyczył sprawy przegranej (s. 205). W latach 1850-1918 jako „heroiczny mit defensywny” i rekompensacyjny miał służyć odbudowie rycerskiego etosu i wielkości narodu. Po 1919 roku, kiedy Kresy w ich

rozumieniu historycznym „stały się obszarem mitycznym”, mit już „konstruktywnie ofensywny” był „nie tylko mitem, ale rzeczywistością”. W procesie integracji Kresów z Polską w okresie 20-lecia międzywojennego mit bywał „formą cichej walki o utrzymanie tej jedności” (s. 80) i „skutecznie wypełniał rolę integracyjną”, a lekcje kresowych krajobrazów stanowiły „realizowanie troski o Polskę” (s. 196). Mimo, że w latach 1918-1939 „politykę *jednak* prowadzono” (s. 129 – podkreślenie moje NT) autor uznaje „nieskuteczność polityki integracyjnej w Polsce” (s. 134). Już c. 1936 „Kresy” oznaczają „już tylko obszary położone wzdłuż całości wschodniej granicy”, z tym że „w województwach wileńskim, nowogródzkim, poleskim, wołyńskim, tarnopolskim i stanisławowskim Polacy byli w zdecydowanej mniejszości”, stanowiąc 38% ogółu ludności. Dnia 17 września 1939 Kresy „stały się już tylko legendą”. Odtąd istnieją na prawach legendy i mitu, a ludzie wyrugowani stamtąd mają „niezaprzeczalne prawo do nostalgii po utraconej Arkadii”.

Cały ten zestaw pojęć podsuwa gorzkie refleksje o tej bodaj największej zaprzepaszczonej szansie w dziejach Polski. Może to miał na myśli Mickiewicz, gdy w przypisach do rozprawki o „Sofiówce” Stanisława Trembeckiego zaznacza, że „osiadłe kozactwo pod panowaniem Polski za czasów Zygmuntów niemałe dla kraju świadczyło przysługi”, ale „prześladowani od szlachty i jezuitów pozostali potem w ustawicznych z nimi zatargach”. Kolejny szkopuł to tzw. swojskość. Odkryto kiedyś, że stanowi ona główny wyróżnik kresów. Odtąd przymiotnik „swojski” zrobił karierę naukową, towarzysząc terminowi „Kresy” jako *epitet ornans* gdzie się tylko daje. Przez tę swojskość Kresy sporo tracą na egzotyce. Sama geografia podpowiada, że za Kresami zaczynał się świat inny, świat obcy (s. 204). Ale trudno pogodzić koncepcję rodzinności, własności, zwyczajności, oswojenia i niedzikości np. z Humanem. Sęk w tym, że od kilkuset lat teren objęty mianem „Kresy” wydał właściwie prawie wszystko co najlepsze w kulturze polskiej. Kochano Kresy jako swojskie, z łezką w oku, czyli narcystycznie. Za to obchodzono się z nimi ze swoistą koniunkturalnością. Wzbogacano się na loessie i latyfundiach, później zaś podporządkowano interes tamtych

stron doczesnym interesom centrum, polskoetnocentrali, polskiej racji stanu. Zgubną politykę prowadzoną w stosunku do Polski „B” ostro potępiał m.in. Józef Mackiewicz. Wszystko *pro bono publico*, a *bonum publicum* – to Warszawa.

W takim ujęciu wyraz „Kresy” streszcza światopogląd rdzennego Polaka, doszukującego się echa własnej polskości. Wyraża spojrzenie nie na odmiennność, lecz na siebie, na własny wizerunek odbijany w mętnej toni Żółtych Wód. Uwzględniając tylko wkład polskości, pomija podmiotowość autochtonów, zdradza myślenie a-historyczne lub anty-historyczne. Przekreśla bowiem nie tylko różnicowanie regionalne, kulturalne, narodowościowe, ale i rzeczywistość historyczną. A „Kresy” lepszość swoją zawdzięczają również i terytorium, obcym wpływom, korzystnemu współzyciu z żywiołem obcym, nawet i rosyjskim. Dla większości mieszkańców omówionych terenów wyraz ten jest – oględnie mówiąc – obraźliwy.

Tutaj kryje się kolejny paradoks. Wielkość państwa rozciągającego się od morza do morza pobudza Polaka do rzewnych dumań nad swoją przeszłością. Przypomnieć trzeba, że Polska to wszystko zawdzięcza trzy- lub czterokrotnie rozleglejszemu Wielkiemu Księstwu Litewskiemu. Bez wielkich książąt litewskich nie ma podboju ziem ukraińskich, które Korona bez większych ceregieli przywłaszczyła sobie przed ostatecznym zawarciem Unii Lubelskiej. Bez nich nie byłoby polonizacji, bo nie byłoby kogo spolonizować. Bez Litwy nie ma Kresów. Za to Litwa to nie Kresy. Jak powiedział Mickiewicz w Collège de France, Jagiellonowie „ideom polskim nowy nadali rozmach”. Krótko mówiąc, bez Litwy rola Polski w Europie ogranicza się do... maleńkości.

Nie jest to rzecz jasna wina autora, że tak się zmieniały i mieszały pojęcia i poglądy. Ma on zresztą pełną świadomość dwuznaczności i nieadekwatności bałamutnego, kłopotliwego słowa. Szkoda jednak, że nie wykazał więcej powściągliwości w użyciu tego przymiotnika. „Kresowy” stosuje niemal do wszystkiego: Niemen – rzeka kresowa, Wilno – miasto kresowe, Matka Boska Ostrobramska czyli kresowa itd. itp. Przy tym motto z „Wesela” Wyspiańskiego zakrawa na ciężką ironię.

Dlatego trzeba by więcej sprostowań, rozgraniczeń, zastrzeżeń. Trzeba by odróżnić bezpośredni wpływ literatury – a tutaj zachodzi sprawa różnych płaszczyzn odbioru – od manipulacji propagandy politycznej. Odróżnić też teksty ludzi autentycznie stamtąd – i falsyfikaty (nawet jeśli genialne!) powstałe na podstawie budulca ściśle literackiego (Sienkiewicz).

Pisze autor – „Kresy stworzyła kultura polska, ale stworzyła je tylko dla siebie i tylko dla siebie je tak nazwała”. Ano właśnie, *nur fur Polen*. Nam tak bardzo tęskno za Kresami. Jeśli przeszłość ma przydać się teraźniejszości i przyszłości, Polak będzie musiał jednak uprzytomnić sobie, że „Kresy” istniały i istnieją same w sobie, w Europie, dla siebie i dla Europy.

Nina TAYLOR

Władysław ZAJEWSKI

ZAGADKI SEJMU CZTEROLETNIEGO*

Pierwszym historykiem, który korzystał z zachowanych w krajowych archiwach „zagadek sejmowych” był Józef Ignacy Kraszewski w swoim cennym zarysie pt. „Polska w czasie trzech rozbiorów” (1874). Kraszewski trafnie pisał: „W czasie Czteroletniego Sejmu pojawiły się zagadki wierszem, epigramaty satyryczne, charakteryzujące wszystkie głośniejsze postacie. Nie oszczędzono w nich nikogo. Doszło do nas

* „Zagadki Sejmu Czteroletniego”. Teksty zebrał i ustalił Edmund Rabowicz. Komentarze opracowali Bernard Krakowski i Edmund Rabowicz. Do druku przygotował Jerzy Kowecki, Warszawa 1996, Wydawnictwo Sejmowe, ss. 255.

przeszło dwieście podobnych ucinków, widocznie najrozmaitszej ręki i głowy owoce, zbiorowa praca wszystkich, nierównej wartości, czasem do zbytku swawolne, niekiedy mdłe i niekształtne, są przecie historycznym dokumentem, którego się pominąć nie godzi". Później zagadki bardziej przyciągały uwagę historyków literatury oświeceniowej (Julian Nowak-Dłużewski, Jerzy Snopek) niż historyków *sensu stricto*.

Do tej pory ukazały się drukiem, przed E. Rabowiczem, 133 zagadki opublikowane przez J. Nowaka-Dłużewskiego w 1933 roku. Czasem też drukowano je dla ilustracji dziejów humoru wieku Oświecenia (S. Czernik), bądź też wybiórczo dla ilustracji pewnych poglądów politycznych (J. Łojek). Trafiły też zagadki do zarysów historii literatury Oświecenia (Z. Libera).

Dopiero badacz Oświecenia, docent Edmund Rabowicz (1928-1987) nieżyjący już pracownik naukowy Uniwersytetu Gdańskiego, przygotował po bardzo żmudnej, wieloletniej kwerendzie archiwalnej, pełny zestaw zagadek sejmowych, pracowicie i wnikliwie porównując licznie zachowane oryginały i odpisy. Doc. E. Rabowicz miał szerokie zainteresowania badawcze, ale jednym z ulubionych jego tematów była poezja anonimowa z epoki konfederacji barskiej oraz Sejmu Czteroletniego. Nad zagadkami Sejmu Wielkiego pracował blisko 30 lat i zebrał ich 294. Niestety, nie zdążył do końca opracować not i objaśnień, mimo bardzo uczynnej pomocy innego historyka literatury, dr. Bernarda Krakowskiego. Ten ostatni również zmarł i nie doprowadził dzieła do końca. Ostatecznie druk sfinalizował w sensie naukowym doc. dr Jerzy Kowecki z Instytutu Historii PAN.

Zagadki sejmowe z lat 1788-1792 koncentrowały się naturalnie na przywódcach Sejmu Wielkiego, wybitnych senatorach oraz głośniejszych posłach. Pamiętajmy, iż do senatu Rzeczypospolitej wchodziło po I. rozbiorze 158 senatorów (arcybiskupi, biskupi, ministrowie, wojewodowie i kasztelanowie). Do sejmu w 1788 wybrano 177 posłów, zaś w końcu 1790 wybrano jeszcze 182 posłów. Była to przeto w Warszawie w tych latach niezwykła koncentracja elity politycznej i intelektualnej narodu. Zagadki sejmowe (z reguły anonimowe) są źródłem historycznym szczególnego rodzaju.

Nie znamy w zasadzie autorów i ich środowiska społecznego, trudno też orzec w jakiej mierze są one twórczością indywidualną, a w jakiej zbiorową. Z reguły oscylują one między ironicznym pamfletem politycznym, atakującym poczynania polityczne i poglądy ośmieszanych senatorów i posłów, bądź też ich naganne prowadzenie się moralne, a mało uduchowionym panegirycznym pod adresem tych polityków, którzy zyskali uznanie. Może tylko z tym uzupełnieniem, iż tych „chwalonych” było zdecydowanie mniej. Historyk nieuchronnie musi zadać pytanie: w jakiej mierze kreślony w zagadkach sejmowych wizerunek posłów i senatorów jest autentyczny, a w jakiej przejawiony na zasadach pamfletu politycznego? W tej mierze komentatorzy i wydawcy są bardzo powściągliwi. Trudno im się dziwić. Mamy sporo rozpraw naukowych na temat rodowodu Konstytucji 3 maja, ale dotąd nie mamy solidnej, naukowej monografii na temat Sejmu Czteroletniego. Warto zestawzić zagadki sejmowe z tymi biogramami, które już zostały opublikowane w Polskim słowniku biograficznym. Wnioski byłyby ciekawe.

Generalnie, po lekturze zagadek sejmowych można wyłonić co najmniej trzy grupy senatorów i posłów zaprzeczanych i uległych Rosji. Tych ostatnich, jurgieltników i uległych Katarzynie II, sam ambasador Jakow Bułhakow liczył na 15 senatorów i 36 posłów. Maksymalnie podnosił liczbę do 90 senatorów i posłów „życzliwych” dla imperatorowej. Nie oszczędzili ich autorzy zagadek. Przykładem „klasycznym” może tutaj być marszałek nadworny koronny Kazimierz Raczyński (1739-1824):

*Pałac stary odnowił, napis wyryć kazał,
Aby całej Warszawie, że go ma, pokazał.
Wiecież moi panowie, skąd on tak bogaty?
Oto bierze od Moskwy ruble i dukaty!*

Innym filarem obozu prorosyjskiego i to filarem znacznie potężniejszym, był hetman wielki koronny Franciszek Ksawery Branicki (1730-1819), mąż nieślubnej córki Katarzyny II, Aleksandry, formalnie siostrzenicy Potemkina, który nawet planował w lipcu 1791 porwanie króla Stanisława

Augusta Poniatowskiego z Warszawy. Nie oszczędzili go autorzy zagadek:

*Mina z polska kozacka,
Krew go splamiła bracka.
Kielich w ręce, w ustach cnota,
Nie wiem, co za patryjota.*

Przypomnienie haniebnego roli odegranej przez Braniczkiego w wojnie konfederackiej 1768-1772 jest znamienne dla autorów zagadek. Bowiem z reguły oceniają oni konfederację barską jako narodowy ruch patriotyczny.

Bardzo też surowo został potraktowany w zagadkach biskup inflancki Józef Kossakowski (1738-1794) jako zaprzędany Moskwie jurgieltnik.

*Biskup przystojny, mówca zabawny,
Kusor wyborczy, gracz w wista sławny,
Intrygant zręczny, podszyty cnotą,
Króla i naród oddał za złoto.*

Druga grupa posłów i senatorów to ludzie z ugrupowania patriotycznego, jego liderzy i działacze, na ogół traktowani przychylnie, choć też akcentuje się „drobne skazy” na ich wizerunku. Ten „poczet patriotyczny” otwiera chyba rymowany portret marszałka nadwornego litewskiego Ignacego Potockiego:

*Rozum mocny, czyste zdanie,
Ma w Ojczyźnie zaufanie,
Chociaż polski naród kocha,
Mają go jednak za Włocha.*

Ostatnia linijka czterowiersza była aluzją do włoskich studiów Potockiego w Rzymie.

Do grupy patriotycznych senatorów autorzy zagadek zaliczają chyba w pierwszym rządzie biskupa kamienieckiego Adama Stanisława Krasińskiego (1714-1800) legendarnego już przywódcę politycznego i moralnego konfederacji barskiej,

który w 1789 objął prezydenturę w sejmowej deputacji do ułożenia nowej „formy rządu”.

*Partyzant saski, lecz z tego powodu
Że spokrewniony jest z swojego rodu,
Chcąc wrócić ten dom do Polskiej Korony
Zruszył Polaków w Barze do obrony.*

Do liderów Stronnictwa Patriotycznego autorzy zagadek zaliczają również księcia Adama Kazimierza Czartoryskiego (1732-1823), przychylnego mieszczanom oraz zwolennika sukcesji tronu w Polsce:

*Miły, grzeczny, rozumny, lecz trwoni dostatki.
Do Ojca nie ma szczęścia, przychylny dla Matki,
Z wielkim domem córkę swą skoligacił.
Chce, by zięć zyskał, co on sam utracił.*

Tym skonfliktowanym „ojcem” był naturalnie król Stanisław August, z którym ks. Czartoryski miał proces w 1785 roku. Kochał „matkę” czyli Ojczyznę. A córkę Marię wydał za pruskiego gen. ks. Ludwika Würtemberskiego, który okazał się zaprzańcem w wojnie 1792 roku. Autorzy zagadek do grona patriotów zaliczyli pokaźną grupę uczestników konfederacji barskiej (np. Antoni Madaliński czy hetman Michał Kazimierz Ogiński), przy niektórych są jednak wątpliwości (np. ks. Karol Radziwiłł „Panie Kochanku”, któremu wytknięto, iż posiada „rozumu mało”!).

Uszczypliwi są wreszcie autorzy zagadek wobec trzeciej grupy posłów niezdecydowanych, bojaźliwych owych – jak ich określił ongi historyk Wacław Tokarz – „milczków sejmowych”, którzy unikają jasnego zadeklarowania się po czyjej są stronie: reformy i konstytucji czy też stagnacji i uległości wobec Moskwy.

Oberwali również ci, którzy w młodości znaleźli się w szeregach barzan, aby później stać się stronnikami „partii hetmańskiej” (np. wojewoda sieradzki Michał Walewski). Uznawanie zdobywają również posłowie skromni i patriotyczni, jak na przykład niemal cała delegacja poselska z województwa kaliskiego.

Bywają też posłowie „dwustołkowi” jak np. Jan Sucho-
rzewski (1740-1809), początkowo „bicz Boży na Moskali”,
który w 1788 pierwszy w sejmie rzucił hasło „Bijcie Moskali”,
lecz później stał się zaciekłym przeciwnikiem Konstytucji 3-
maja. Zabrakło mi w komentarzu zestawienia zagadek Sejmu
Czteroletniego z wierszowanymi pamfletami z epoki sejmu
rozbiorowego 1773-1775. To chyba wówczas po raz pierwszy
wzięto pod lupę satyry i pamfletu przywódców sejmu¹. To
prawda, że był to inny, najzupełniej uległy, posłuszny
Moskwie sejm, ale opinia publiczna nie była ani tak uległa,
ani tak posłuszna jak ówcześni liderzy sejmowi. Z
drobiazgów: zabrakło w objaśnieniach, gdzie się mieścił Pałac
pośła Ignacego Witosławskiego (str. 127).

Dzieło pośmiertne doc. E. Rabowicza wnosi bardzo dużo
do poznania atmosfery, obyczajowości i naturalnie literatury
ulotnej doby Sejmu Wielkiego. Ogrom wysiłku heurystycz-
nego E. Rabowicza nie uległ zatraceniu dzięki staraniom i
wydatnej pomocy J. Kowckiego oraz troskliwości Wydaw-
nictwa Sejmowego. Świetne indeksy uzupełniają książkę.

Władysław ZAJEWSKI

1. B. Wolska, Wierszowane pamflety polityczne na przywódców
sejmu rozbiorowego (1773-1775), „Miscellanea z Doby Oświecenia”,
Archiwum Literackie t. XXV, Wrocław 1982, s. 71-76.

NADEŚLANE NOWOŚCI WYDAWNICZE

- Le Messenger européen. Mémoire juive, mémoire polonaise. Guerre et paix en Bosnie. La Querelle de la Modernité. Un inédit de Cioran.* Vol. 9. Str. 421. Ed. Gallimard, Paris 1996.
- Polska Partia Socjalistyczna w latach wojny i okupacji 1939-1945.* Księga wspomnień. T. 1. Str. 800. Wyd. Polska Fundacja Upowszechniania Nauki i Polskie Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa, Warszawa 1994.
- Polska Partia Socjalistyczna w latach wojny i okupacji 1939-1945.* Księga wspomnień. T. 2. Str. 726. Wyd. Polska Fundacja Upowszechniania Nauki i Polskie Towarzystwo Przyjaciół Pamiętnikarstwa, Warszawa 1995.
- Polska Partia Socjalistyczna w latach wojny i okupacji 1939-1945.* Aneks. Str. 158. Wyd. PFUN i PTPP, Warszawa 1995.
- Rohatyn. The Town and its Region, Western Ukraine.* Collection of historical and ethnographic articles, memoirs and other materials. Vol. 1. Str. 998. Seria: Ukrainian Archives, vol. 50. Wyd. Central Committee „Rohatynshchyna”, Nowy Jork, Paryż, Sydney, Toronto, 1989.
- KIELCE – July 4, 1946.* Background, Context and Events. Str. 151. Wyd. The Polish Educational Foundation in North America, Toronto-Chicago, 1996.
- DYLAŁGOWA (Hanna). Dzieje Unii Brzeskiej. 1596-1918.* Str. 228. Wyd. INTERLIBRO, Warmińskie Wydawnictwo Diecezjalne, Warszawa-Olsztyn 1996.
- NOWINOWSKI (Sławomir M.) Prezydent Ignacy Mościcki.* Str. 136. Wyd. Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”, Warszawa 1994.
- MIKNYS (Rimantas). Lietuvos demokrati partija 1902-1915 metais. Lietuvių Argimimo Istorijos Studijos.* Nr 10. Vilnius 1995.
- AFTANAZY (Roman). Dzieje rzydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej.* Województwo podolskie. T. 9. Str. 444. Wyd. Ossolineum. Wrocław 1996.
- Ostschlesische Porträts. Biographisch-bibliographisches Lexikon von Österreichisch-Ostschlesien.* T. 2. E-H. Str. 266. Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1996.
- Mars.* Problematyka i historia wojskowości: Studia i materiały. T. 3/1995. Str. 256, il. Wyd. Komisja Historyczna b. Sztabu Głównego; Oficyna Wydawnicza „AUDIUTOR”, Warszawa-Londyn 1995.
- BARANOWSKA (Małgorzata). Warszawa. Miesiące, lata, wieki.* Str. 355, (5). Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1996.
- KOCÓJ (Henryk). Ostatnie lata Sejmu Wielkiego w świetle korespondencji dyplomatów fancuskich.* Korespondencja dyplomatyczna przedstawicieli Francji w Warszawie Marie Louisa Descorchesa i Jeana Alexandra Bonneau z lat 1791-1792. Str. 235. Katowice 1996.
- KOCÓJ (Henryk). Das letzte Jahr des „Vierjährigen Reichstages” im Lichte der Korrespondenz Friedrich Wilhelms II mit dem Preussischen Gesandten Girolamo Lucchesini.* Der Untergang des Mai-Verfassung vom 1791 im Lichte der Korrespondenz Friedrich Wilhelms II mit dem Preussischen Gesandten Girolamo Lucchesini. Str. 118. Katowice 1996.

- KĘSIK (Jan). *Zaufany Komendant*. Biografia polityczna Jana Henryka Józewskiego, 1892-1981. Str. 216. Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1995.
- Akta Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu*. Tom 3. Str. 302, (4). Nakładem Biblioteki Polskiej, Paryż 1996.
- KIAUPA (Zigmantas), KIAUPIENE (Jurate), KUNVEVICIUS (Albinas). *Lietuvos. Istorija iki 1795 metų*. Str. 446, il. Wyd. Valstybės leidybos centras, Vilnius 1995.
- Lietuvos Metrika*. Knyga nr 8 (1499-1514). Str. 708. Wyd. Mokslo ir enciklopedijų leidykla, Vilnius 1995.
- KULA (Witold). *Rozdziałki*. Do druku podali Nina Assorodobraj-Kula i Marcin Kula, oprac. M. Kula. Str. 496. Wyd. TRIO, Warszawa 1996.
- Jan Józef – spotkania i spojrzenia*. Książka o Janie Józefie Lipskim. Str. 296, il. Wyd. PIW, Warszawa 1996.
- Mobilizacja uchodźstwa do walki politycznej, 1945-1990*. Praca zbiorowa pod red. Leonidasa Kliszewicza. Str. XVI, 603. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1995. (Materiały do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego, tom 2).
- Kierownictwo obozu niepodległościowego na obczyźnie, 1945-1990*. Praca zbiorowa pod red. Aleksandra Szkuta. Str. XVI, 703. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1996. (Materiały do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego, tom 3).
- Pomoc Krajowi przez niepodległościowe uchodźstwo, 1945-1990*. Praca zbiorowa pod red. Romana Lewickiego. Str. XII, 144. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1995. (Materiały do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego, tom 5).
- Zakończenie działalności władz RP na Uchodźstwie, 1990*. Praca zbiorowa pod red. Zbigniewa Błażyńskiego i Ryszarda Zakrzewskiego. Str. X, 224, il. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1995. (Materiały do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego, tom 6).
- HENZEL (Władysław), SAWICKA (Irena). *Powstanie Warszawskie 1944 r.* Bibliografia selektywna, tom III. Str. 143. Wyd. Departament Stosunków Społecznych MON, Centralna Biblioteka Wojskowa, Warszawa 1996.
- LENCZNAROWICZ (Jan). *Prasa i społeczność polska w Austrii 1928-1980*. Str. 248. Wyd. Księgarnia Akademicka, Kraków 1994.
- SIELSKI (Jan). *Otcłani*. Czas czwartego rozbioru Rzeczypospolitej Polskiej i nieustającej walki Polaków o odzyskanie niepodległości. Str. 352. Warszawa 1995.
- Słownik pseudonimów pisarzy polskich XV w. – 1970 r.* T. III R-Ż. Pod redakcją E. Jankowskiego. Str. 720. Wyd. Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1996.
- WALICKI (Andrzej). *Marksizm i skok do królestwa wolności*. Dzieje komunistycznej utopii. Str. 535. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1996.
- Polska. Dumna historia. Wielka przyszłość*. Str. 272. Wyd. SIGMA International (Poland) Ltd., Warszawa 1995.
- OGRODOWSKA (Barbara), *Święta polskie*. Tradycja i obyczaj. Str. 352. Wydawnictwo ALFA, Warszawa 1996.
- SILIOTTI (Alberto). *Egipt. Świętynie, ludzie, bogowie*. Str. 290. Wyd. ARS POLONA, Warszawa 1995.
- SWORD (Keith). *Deportation and exile. Poles in the Soviet Union, 1939-48*. Str. XVI, 269. Macmillan Press, School of Slavonic and East European Studies, London 1996.

POLEMIKI

Józef ZORSKI

NIEŚCISŁOŚCI P. GERLACHA

Po przeczytaniu *Zeszytu Historycznego* nr 115 (Instytut Literacki, Paryż, 1996) sięgnąłem po książkę Yitzhaka Zuckermana „A Surplus of Memory: Chronicle of the Warsaw Ghetto Uprising”. Mianowicie właśnie to tej książce poświęca swoją uwagę Roman T. Gerlach w wydawnictwie *Kultury*, tom 492.

Po przeczytaniu *Zeszytów Historycznych* zastanawiałem się czy autor naprawdę przeczytał całą książkę Zuckermana, strona po stronie. Bowiem nie poznałem ani postaci Yitzhaka Zuckermana, ani tym bardziej historycznych wniosków Gerlacha. W swojej rozprawie Gerlach pomija główny aspekt postaci żydowskich bojowników, a także historii getta warszawskiego. Nie widzi mianowicie garstki zrozpaczonych i bezbronnych ludzi, zapomnianych przez świat i Boga, rozpaczliwie szukających różnych sposobów odnalezienia się w tej koszarnej sytuacji. Nie rozumie faktu, że ludzie ci skazani byli na śmierć i czekali na swoją kolejkę. Nie rozumie też, że maleńka część tych ludzi chciała coś zrobić, chciała się bronić, organizować się. Sposób pisania Gerlacha jest niezwykle interesującym świadectwem stosunku do Żydów

jako do wrogów Polski. Jest niewątpliwie świadectwem, które poniekąd tłumaczy mentalność tych, którzy nigdy nie widzieli Zuckermana i jego towarzyszy jako polskich obywateli proszących o pomoc. Jakże inaczej potoczyłyby się losy tej garstki ludzi, gdyby Polska podziemna naprawdę przygarnęła ich, naprawdę wyciągnęła do nich rękę, naprawdę starała się przynajmniej zrozumieć ich sytuację! Gdyby nie widziała ich jako elementu obcego, jako potencjalnych wrogów przyszłej państwowości polskiej.

Język Gerlacha jest nie tylko pełen ironii, źle tajonej złośliwości oraz pogardy, ale przede wszystkim jest nośnikiem kłamstwa, fałszu historycznego. Cytuje on niektóre tylko słowa Zuckermana i to cytuje je wyrwane z kontekstu. Omija natomiast wszystkie inne cytaty, które obalają jego, to znaczy Gerlacha tezy historyczne. Już na początku swoich wspomnień, mianowicie na str. 19, pisze Zuckerman bardzo wyraźnie „niektórzy ludzie pracowali w sowieckiej milicji (to znaczy po okupacji wschodniej Polski przez sowietów, przyp. mój). Ale myśmy nie słyszeli o dezercjach z naszych kadr ideologicznych, tych, które chodziły na nasze seminaria. Owszem byli tacy (to znaczy kolaborujący z sowietami, przyp. mój.) z Hashomer Hatzair, gdzie było poważne załamanie się. Nasza zaś edukacja wyraźnie robiła ludzi bardziej zaszczepionymi przeciwko takim dezercjom, niż u nich”. A więc już na stronie 19 mamy wyraźne świadectwo historyczne. Gerlach tego jednak nie widzi, albo widzi i nie rozumie. Gerlach błąka się w swoim antyżydowskim wątku – sowieci, żydzi komuniści, armia sowiecka itp. itd.

Zuckerman jest doskonałym kronikarzem. Jest obiektywny, li tylko obiektywny w swoich kronikach. Jest bystrym obserwatorem, bezlitosnym sędzią i krytykiem. Na przykład nie spotkałem w żadnej literaturze tak wstrząsającego świadectwa, tak trzeźwej analizy żydowskich kolaborantów w getcie. Nie spotkałem tak przejmującego opisu żydowskiej policji. Zuckermana prześladowa myśl o tym, że od początku nie kazał rozstrzeliwać żydowskich kolaborantów. To jest główny wątek jego książki, to jest coś co gnębi i prześladowa, to jest nadmiarem jego pamięci. Ale znowuż Gerlach tego ani nie widzi, ani nie rozumie. Gerlach nie chce też widzieć

prawdziwego patriotyzmu polskiego, jaki łatwo jest wyczytać u Zuckermana w okresie powstania warszawskiego. Gerlach zataja przed czytelnikiem fakt, że Zuckerman przez cały czas powstania warszawskiego walczył na barykadach Starówki ramię w ramię z żołnierzami AK. Że prowadził oddział żydowskich bojowników pod polską i pod żydowską flagą. Cały okres wspomnień Zuckermana z powstania jest pełny ciepłej sympatii do Polaków, jak i zresztą w całej jego książce wiele jest słów, które świadczą o obiektywnym i wyważonym spojrzeniu Zuckermana na rzeczywistość. Oczywiście wspomina on wiele razy o wypadkach antysemityzmu, o wypadkach szmalcownictwa, o wypadkach silnej antyżydowskiej działalności. Ale jednocześnie można znaleźć i takie zdania: „kiedy byłem na Starówce, nie wyczuwałem antysemityzmu ani razu. Ani ze strony cywilów, ani ze strony AK. Wręcz przeciwnie. AL podziwiała nas, AK wykazywała koleżeństwo. Byliśmy z nimi na barykadach i moi towarzysze broni mogą poświadczyc fakt, że ani razu nie słyszeliśmy aluzji antysemickich” (strona 561). Tych słów Zuckermana Gerlach nie cytuje bo nie pasują naturalnie do obrazu, który on oddaje czytelnikom *Zeszytów Historycznych*. A oto jeszcze inny cytat z kronik Zuckermana: „Niektóre rodziny ukrywały swoje dzieci po wsiach, same będąc w getcie. Ludzie ryzykowali swoim życiem, ponieważ każdy Polak przyłapany na ukrywaniu Żyda był rozstrzeliwany... Nie znamy ilości tych sprawiedliwych Polaków... Zróbmy następującą operację cyfrową: o ile 20 tysięcy Żydów ukrywało się po aryjskiej stronie Warszawy (myśmy wiedzieli o około 12 tysiącach), przeciętnie w każdym domu, który przechowywał Żydów było dwóch ukrywających się. To oznacza, że 10 tysięcy polskich rodzin było zajętych ukrywaniem Żydów. Oznacza to, że o ile rodzina miała przeciętnie 4 osoby, to co najmniej 40 tysięcy Polaków w Warszawie w jakiś sposób pomagało aby ulżyć losowi Żydów. Nie jest prawą rzeczą potępiać wszystkich Polaków... Z tej perspektywy Francuzi nie byli lepsi od Polaków, a być może byli gorsi. I nie zapominajmy, że pomoc ta odbywała się wbrew silnemu i głęboko zakorzenionemu antysemityzmowi wśród ludu polskiego”.

Jest rzeczą interesującą, że i ten cytat pominięty jest w

rozprawie Gerlacha. Jest wiele jeszcze innych cytatów w świetle których ja osobiście widzę Zuckermana jako mądrego, rozsądnego i sprawiedliwego człowieka. Widzę go jako prawdziwego bohatera i mogą to potwierdzić zarówno Polacy jak i Żydzi. Z jego kronik wynika, że należał on do tych młodych ludzi, dla których pojęcia honoru, lojalności, braterstwa nie były tylko pustymi słowami.

Na zakończenie jeszcze jeden cytat pominięty przez Gerlacha, cytat który w bezpośredni sposób zaprzecza gerlachowskiej teorii jakoby Żydzi na początku wojny czekali aż „imperialiści się wykrwawią”. Na stronie 562 pisze Zuckerman: „Od września 1939 roku byłem zawsze ‘polskim patriotą’ dla moich towarzyszy. Ja widziałem, że wojna ta była naprawdę wojną żydowską”. Gerlach słów tych nie widział dlatego, że widział on we wszystkich Żydach komunistów i wrogów polskich pisząc swój paszkwil na Yitzhaka Zuckermana i na bojowników getta warszawskiego. Paszkwil jest mianowicie odpowiednim słowem. I to paszkwil nie tylko przeciwko Zuckermanowi i bojownikom getta warszawskiego, ale przeciwko polskim Żydom.

Na zakończenie chcę zwrócić uwagę na fakt, że Yitzhak Zuckerman nazywał się Yitzhak od wczesnej młodości, albowiem używał takiego imienia i tak przedstawiany jest we wszystkich wspomnieniach innych ludzi. Nigdzie w swoich obszernych kronikach nie nazywany jest ani nie nazywa siebie Ickiem. Natomiast bardzo często używa swojego pseudonimu, mianowicie Antek i często pisze o sobie jako o Antku Zuckermanie i często nazywany jest przez polskich i żydowskich towarzyszy Antkiem. U Gerlacha imię to w ogóle nie występuje i jest to najbardziej symbolicznym akcentem gerlachowej rozprawki. Gerlach pisze, że Icek Zuckerman cierpiał na nadmiar pamięci. Jest to naturalnie dziwne stwierdzenie zarówno z medycznego, jak i z ludzkiego punktu widzenia. Osobiście uważam, że Roman Gerlach nie cierpi na pewno ani na nadmiar dobrej woli, ani na nadmiar edukacji historycznej, natomiast cierpi na zanik historycznej pamięci.

A jeśli idzie o postać Yitzhaka „Antka” Zuckermana to pozostanie on na pewno w kolektywnej pamięci narodu żydowskiego, a szczególnie polskich Żydów. W pewnym

sensie ten odważny człowiek jest również częścią polskiej kolektywnej pamięci historycznej. Antek Zuckerman był prawdziwym bohaterem. Antek Zuckerman przyczynił się do uratowania gałązki o której z taką ironią pisze Gerlach. Gałązka się uratowała, a wyrosło z niej drzewo silne i trudne do zniszczenia. Nie wszyscy mogą to zaakceptować, nie wszyscy też zrozumieli, że zniknęli już i Icki, i Moški, i że Jojne faktycznie poszedł na wojnę.

Yitzhak „Antek” Zuckerman pozostanie na zawsze w mojej świadomości jako symbol walczącego Żyda. Cześć jego pamięci.

Josef ZORSKI

ODPOWIEDŹ R.T. GERLACHA

Pan Zorski nazywa mnie nośnikiem kłamstwa i fałszu historycznego, wrywającym z kontekstu cytaty Cukiermana i pomijającym milczeniem świadectwa historyczne przeczące jego tezom. Jako przykład podaje on słowa Cukiermana, że „niektórzy ludzie pracowali w sowieckiej milicji. Ale myśmy nie słyszeli o dezerterach z naszych kadr ideologicznych...”. Zapomina on dodać, że kontekst tej uwagi zaczyna się od słów: „Były wypadki, że członkowie naszego Ruchu przeszli do komunistów...”, co rzuca nieco odmienne światło na cytaty podany przez Pana Zorskiego. I nie podaje on, że Cukierman powraca do tego tematu na str. 34, gdzie mówi: „Przechodzenie naszych członków do Komsomołu było zjawiskiem nagminnym, zwłaszcza wśród członków Haszomer Hacairu... To tylko, że gdy jeden z naszych członków przechodził do nich, to czynił to raczej z oportunistu i słabości, podczas gdy członkowie Haszomer Hacairu przechodzili do komunistów ze względów ideologicznych – oni mieli predyspozycję ku temu z przekonania”.

To jest faktycznie „wyraźne świadectwo historyczne”. Kwestią jest tylko, czy moje pominięcie go świadczy o moim „błakaniu się w antyżydowskim wątku” prosowieckiej orientacji Chalucu, czy też jest wynikiem zupełnie prostej ewaluacji ważności danych źródeł i dokumentów.

Podobnie Pan Zorski cytuje słowa Cukiermana o jego „polskim patriotyzmie” bez wspomnienia, że są one częścią teoretycznych rozważań, do jakiej armii by wstąpił celem kontynuowania swej „wojny żydowskiej”. Znalazłszy się np. na terenie Związku Sowieckiego, czy zaciągnąłby się on do Armii Andersa, czy też Berlinga. I dochodzi do wniosku, że choć Armia Berlinga bardziej by mu odpowiadała ze względu na swą ideologiczną „esencję”, to jednak jako Chaluc wybrałby on Armię Andersa, przedstawiającą najkrótszą drogę do Eretz Izraela.

Nie bardzo mogę zrozumieć jak cytat ten może obalać „gerlachowską teorię” czekania Żydów na obopólne wykrwawienie się „imperialistów”, ani też jak ja mogłem stać się ojcem teorii, głoszonej otwarcie przez Anielewicz, Breslera/Brasława i innych „młodych ludzi o bystrych umysłach, ciętych językach i precyzyjnych pojęciach ideologicznych”. Nie mogę też zrozumieć jak przytoczenie bezspornego faktu historycznego może czynić z mego artykułu paszkwil, skierowany nie tylko przeciw bojownikom getta warszawskiego, ale przeciwko polskim Żydom w ogóle. Ja mówię jasno: „Ci Żydzi – tzn. członkowie Chalucu – widzieli w niej wojnę imperialistyczną...”. I nie jestem jedynym historykiem, który fakt ten przytacza jako w pełni udowodniony. Nie ma w tym ani kłamstwa, ani oszczerstwa – w odniesieniu do Chalucu. Oszczerstwem staje się dopiero w odniesieniu do wszystkich bojowników getta i do całej żydowskiej zbiorowości społecznej czy politycznej jako dowód jej wrogości do Polski. A tego ja nie czynię – to czyni Pan Zorski w nadmiarze swej gorliwości w szukaniu kłamstwa i oszczerstwa, gdzie ich ani ze świeczką nie może znaleźć.

Tezę mojego artykułu jest: Dwulicowość Cukiermana, Chalucu i ŻOB-u źródłem tragedii getta warszawskiego. Tę dwulicowość w pełni udowadniam i

czynię to na podstawie wypowiedzi samego Cukiermana, których wiarygodność nie została dotychczas zakwestionowana przez żadnych historyków. Zarzuty kłamstwa i fałszu historycznego musiałyby więc opierać się na dowodach mego przekręcania lub fałszowania wypowiedzi Cukiermana. Dowodów takich Pan Zorski nie przedstawia, bo ich w moim artykule znaleźć nie może, a oskarżając mnie bez nich o kłamstwo i fałsz sam staje się paszkwilantem.

Roman T. GERLACH

PS. Jeśli chodzi o kwestię, jakiego imienia Cukierman używał w Polsce, to odpowiedź znajdujemy w:

– Marek Edelman, „Getto Walczy”. (Warszawa: CK Bundu, 1945), str. 63: Icchak Cukierman.

– *Nasze Słowo* (Łódź), 1948, nr 6/7, str. 5-10: Icchak Cukierman: „Powstanie żydowskie”.

– Ber Mark, „Powstanie w Getcie Warszawskim”. (Warszawa: ŻIH, 1953), str. 56: Icchak Cukierman.

OKRUCHY HISTORII

Andrzej FRISZKE

SPRAWA HANNY REWSKIEJ

Hanna Rewska była chyba pierwszą osobą sądzoną po październiku 1956 r. z oskarżenia o czyny polityczne, a z pewnością pierwszą, której proces wywołał pewien rezonans. Proces ten przeszedł też do historii jako jedna z ważniejszych spraw sądowych epoki rządów Władysława Gomułki¹.

Urodziła się w 1915 r. w Kijowie jako córka znanego adwokata Dymitra Sępa-Szarzyńskiego. W 1923 r. powróciła do Polski. Jeszcze przed wojną ukończyła studia geograficzne na Uniwersytecie Warszawskim i filozoficzne na Uniwersytecie Jagiellońskim. Wyszła za mąż za Zbigniewa Rewskiego, nauczyciela geografii w gimnazjum w Łucku. Toteż w czasie wojny, w 1941 r. jako łączniczka ZWZ została skierowana do pracy na Wołyń. Zagrożona aresztowaniem wróciła z końcem 1942 r. do Warszawy. Jako żołnierz AK pracowała przy przenoszeniu granatów i amunicji do konspiracyjnych magazynów, a wiosną 1943 r. skierowano ją do kobiecego oddziału dywersyjno-sabotażowego „Dysk”, gdzie ukończyła kurs dy-

1. Por. „Sąd orzekł”, Paryż 1972; A. Steinsbergowa: „Ze wspomnień obrońcy: kariera artykułu 23”, *Zapis* nr 8/1978.

wersji. Wykonywała prace wywiadowcze i rozpoznawcze w kilku przygotowywanych przez AK zamachach, m.in. uczestniczyła w słynnym zamachu na Hansa Kutscherę. Pracując w komórce wywiadu „Parasola”, nadal należała do „Dysku”, gdzie przechodziła kurs podchorążych. W czerwcu 1944 już w okresie akcji „Burza” została przez „Dysk” skierowana na Lubelszczyznę do partyzantki, zaś w końcu lipca powróciła do Warszawy. W Powstaniu walczyła w batalionie „Zośka” i została ranna. Po kapitulacji Powstania poszła do niewoli, ale 6 października uciekła z niej i następnie ukrywała się. Po wojnie przez kilka lat pracowała w Olsztynie jako geograf w Urzędzie Wojewódzkim w dziale zagospodarowania przestrzennego miast. Zwolniono ją jednak z tej posady jako byłego żołnierza AK i musiała zarabiać na życie w mleczarni, nim w 1952 przeniosła się do Warszawy i zatrudniła w przedsiębiorstwie „Geoprojekt”².

Była osobą o postawie niezłomnej. W lipcu 1956 r. podawała swoje dewizy życiowe: „Twoje pojęcie szczęścia – walka. Twoje pojęcie nieszczęścia – kapitulacja”. Jednocześnie określała się „jeśli chodzi o poglądy filozoficzne, to jestem materialistką (dialektyczną) (...) Nie wyobrażasz sobie jaką przesłałam fascynację marksizmem”³.

Kontakt z Jerzym Giedroyciem nawiązała listownie 19 marca 1956 r., w więc krótko po XX Zjeździe KPZR i śmierci Bieruta, a jeszcze przed amnestią dla AK-owców, przed poznańskim Czerwcem – słowem – na początku polskiej odwilży 1956 roku. Już na początku czerwca przesłała do *Kultury* ankietę na temat odwilży, wydrukowaną w numerze wrześniowym 1956 r. oraz tekst słynnego referatu Chruszczowa. Równocześnie dzieliła się z J. Giedroyciem myślą, że chce zmontować drogę przez „zieloną granicę” – przez Czechy do Niemiec Zachodnich oraz pragnie uruchomić w Polsce nielegalny powielacz⁴. Wkrótce potem dawała, że chce uruchomić pismo dla inteligencji, ale można

2. Życiorys opracowany przez Henryka Korczyka w „Polskim słowniku biograficznym” t. XXXI, z 1988-89.

3. List H. Rewskiej do J. Giedroycia 5 lipca 1956, Archiwum *Kultury*.

4. H. Rewska do J. Giedroycia 12 czerwca 1956, Archiwum *Kultury*.

by nie wydawać go w Polsce, tylko przerzucać z zagranicy, np. tysiąc egzemplarzy. Mogłoby to być krajowe wydanie *Kultury*, w którym większość artykułów pisałiby autorzy krajowi pod pseudonimami. Zdawała sobie jednocześnie sprawę, że kwestią najtrudniejszą jest zbudowanie drogi przemytu⁵. Mimo tak radykalnych projektów, poglądy Rewskiej były raczej umiarkowane. Referując opinie w kręgach, w których się obracała, a jednocześnie utożsamiając się z nimi, pisała: „Jeśli chodzi o ocenę wydarzeń poznańskich, to przeważa pogląd, iż korzystny ich wpływ będzie zależał w dużej mierze od postawy społeczeństwa. Nie wolno dopuścić do akcji zbrojnych tego typu, co w Poznaniu, ale też niewskazana byłaby w obecnej sytuacji bierna postawa – przeciwnie, pożądana jest walka legalna (o ogromnym natężeniu i zakresie) wraz z zastosowaniem w razie potrzeby strajków (raczej jednak w mniejszych zakładach i bez wychodzenia na ulicę), bojkotu masówek itp. (...) Wyśitek świadomej części społeczeństwa winien zmierzać m.in. do odbudowania zniszczonej w okresie stalinizmu opinii i więzi społecznej. Należałoby różnymi sposobami wpływać na kształtowanie się świadomych reakcji społeczeństwa, walczyć z jego atomizacją. Działać trzeba jednak ostrożnie, nie przekraczając ram konkretnych możliwości⁶”. Środowiskowo Hanna Rewska związana była z Marią i Stanisławem Ossowskimi oraz z Klubem Krzywego Koła.

Od czerwca 1956 r. Rewska była głównym korespondentem krajowym J. Giedroycia oraz jego informatorem o sytuacji w Polsce. Redaktor 29 czerwca 1956 przesłał jej katalog wielu pytań dotyczących nastrojów i poglądów w Polsce. Jednocześnie wskazał pracownika ambasady francuskiej Georges’a Sidre’a jako osobę, który zajmie się przesłaniem do *Kultury* materiałów, o które prosił⁷. Wskazany Francuz zgodził się wypełnić misję i w ciągu dalszych miesięcy przekazywał inne materiały wysyłane przez Rewską na prośbę Redaktora. Były wśród nich krótkie opracowania

5. H. Rewska do J. Giedroycia 5 lipca 1956, Archiwum *Kultury*.

6. H. Rewska do J. Giedroycia 5 lipca 1956, Archiwum *Kultury*.

7. J. Giedroyc do H. Rewskiej 29 czerwca 1956, Archiwum *Kultury*.

dotyczące nastrojów w Polsce i w pewnych środowiskach, szczegółowe zapisy niektórych zebrań (np. Zjazdu Związku Literatów Polskich w grudniu 1956), egzemplarze prasy zakładowej i studenckiej, książki telefoniczne, które Giedroyc określił jako kopalnię wiadomości o Polsce, a także spisy repatriantów z ZSSR otrzymane od ks. Jana Zieji. Redaktor prosił też o gazetki diecezjalne, ale nie wiadomo, czy udało się je przesłać. W marcu 1957 r. Rewska wyjechała do Paryża i wtedy doszło do osobistego spotkania z Redaktorem⁸.

Po powrocie do Polski musiała się czuć źle, skoro pisała, że znów marzy o wejściu do konspiracyjnej grupy. Zauważała przy tym, że istnieją takie grupy „wymiany myśli i wzajemnego inspirowania się”. Obecnie są one małe, ekskluzywne, bez większego znaczenia. Powinno chodzić o ich skonsolidowanie i wyznaczenie wspólnych celów działania, jednak w ramach legalnych. Partnerem takich rozmów Rewskiej był młody człowiek, którego nazywała „Konradem”, a którego środowisko składało się z osób partyjnych i związanych z redakcją *Sztandaru Młodych*. Do takich grup pół-konspiracyjnych, związanych – jak pisała – z rewizjonizmem, należy też parę osób z Klubu Krzywego Koła. Krążą wśród nich maszynopisy, np. „Ciemności w południe” Koestlera. Z paru stron – konstatowała – dochodzą głosy o potrzebie powielacza⁹.

Zapewne pod koniec wakacji 1957 roku Rewska zetknęła się z krakowską grupą Bernarda Tejkowskiego, głośniejszej postaci października 1956 w Krakowie. Wywarli na niej wielkie wrażenie. Pisała, że liczą 400-500 osób, są dobrze zorganizowani, coś odbijają na powielaczu, mają dotarcie do Nowej Huty. Oceniała wreszcie, że „te środowiska młodzieżowe, złożone w dużym procencie z dawnych marksistów i komunistów z przekonania są najbardziej twórczym elementem odnowy i opozycji, najbardziej postępowe i aktywne¹⁰”.

8. Wg późniejszego aktu oskarżenia, w Paryżu spotkała się także z Zygmuntem Zarembą, przywódcą PPS i redaktorem *Światła*, zainteresowanym kolportażem pisma w Polsce. Nic nie wiadomo o przebiegu tego spotkania.

9. H. Rewska do J. Giedroycia 12 czerwca 1957, Archiwum *Kultury*.

10. H. Rewska do J. Giedroycia 1-3 października 1957, Archiwum *Kultury*.

W tym czasie (nie wiadomo dokładnie od kiedy) Rewska zajmowała się kolportażem *Kultury*, nie posiadającej – jak wiadomo – debitu w PRL. Była to więc, obok wcześniejszej pracy informacyjnej, druga płaszczyzna konspiracyjnej aktywności Rewskiej. Egzemplarze pisma dochodziły do Polski – podobnie jak inna poufna korespondencja Rewska-Giedroyc – za pośrednictwem wspomnianego dyplomaty francuskiego Georges'a Sidre'a. „Listów” – pisała do J. Giedroycia – przysłał Pan, jak na moje potrzeby, za mało od jakieś 50-100 sztuk, co najmniej. (...) 60 sztuk poszło do ośrodków młodzieżowych. Bronek 30, Krzywe Koło 12, reszta (tj. 18) Politechnika W-wska, *Sztandar Młodych*, Radio. Zupełnie nie starczyło mi egzemplarzy na moje kontakty 'katolickie'. (...) Tak samo zabrakło mi 'Listów' dla moich kolegów AK-owskich¹¹”. Wspomniany Bronek, to Tejkowski. Rewska wspominała, że w rozmowie powiedział jej, że nie ma już grupy konspiracyjnej, że ostatnio był mało aktywny ze względu na chorobę i przygotowywanie dyplomu, tym niemniej dysponuje licznymi kontaktami w terenie i *Kultura* bardzo się im przyda¹².

W tym czasie aktywność Rewskiej była już chyba mocno inwigilowana przez SB. Za nieostrożność skarcił ją w styczniu Giedroyc: „Muszę bardzo krzyczeć, gdyż jest Pani więcej, niż nieostrożna. List do Jeleńskiego był szczytem nieostrożności. Przecież zarówno *Preuves*, Kongres Kultury i Comité d'écrivains jest pod stałym ostrzałem tajnej policji, czy UB. Pani Pisz tak, jakby mieszkała Pani w normalnym kraju”. Następnie Redaktor przypominał ustalone zasady. W sprawach bardzo ważnych pisać przez Jurka (Sidre – przyp. AF), nie używać przy tym szyfru, bo łatwy do odczytania, a wzbudza niepotrzebną ciekawość, w sprawach ważnych pisać trzeba do Brukseli na Marię Janta-Połczyńską, nie zaś na Pietrzaka, w sprawach niewinnych można pisać do Maisons Laffitte¹³. Najbardziej poufna droga korespondencji nie była

11. H. Rewska do J. Giedroycia 22-26 grudnia 1957, Archiwum Kultury.

12. *Ibidem*.

13. J. Giedroyc do H. Rewskiej 7 stycznia 1958, Archiwum Kultury.

już jednak czynna. Na początku stycznia 1958 Sidre oświadczył, że z polecenia swego szefa nie będzie już mógł przekazywać *Kultury*¹⁴.

Nie wiadomo, co było bezpośrednią przyczyną „wpadki” Rewskiej. Dnia 30 stycznia 1958 r. do jej mieszkania wkroczyli funkcjonariusze SB. Zatrzymali 28 egzemplarzy listu „Do krajowych czytelników *Kultury*”, książki „Nowa klasa” Dżilasa oraz Bobkowskiego „Szkice piórkiem”, pięć egzemplarzy *Kultury*, maszynopisy. Rewska została aresztowana. Zwolniono ją po 3 miesiącach, 1 maja 1958, ale przygotowywano sprawę sądową. Fakt aresztowania Rewskiej wywołał silne wrażenie, zwłaszcza w środowisku Klubu Krzywego Koła i innych do niego zbliżonych. Korespondencyjne kontakty z Giedroyciem utrzymywane przez kilka innych osób uległy zawieszeniu.

Hanna Rewska boleśnie odczuła nie tylko aresztowanie, ale też dystans przyjaciół. „Ze strony znajomych spotkałam się, jak dotąd, z objawami dużej osobistej życzliwości, choć zdaje się wszyscy mocno się przestraszyli, że mogą się ode mnie bądź zarazić, bądź w ogóle zachorować, gdyby się nie oszczędzali. Jurku, gdybyś wiedział, jak bardzo czuję się samotna, jak strach pozmieniał i obnażył ludzi. Chcąc zaś zachować swoją ‘twarz’ woleli odmówić szacunku i sensu dla tego, czym się zajmowałam, nie pamiętając, że dopóki byłam zdrowa, wszystko aprobowali, sami współdziałając¹⁵”.

Prokurator oskarżył ją o utrzymywanie kontaktów z Jerzym Giedroyciem, dostarczenie mu szeregu materiałów oraz kolportaż *Kultury* w Polsce. W uzasadnieniu aktu oskarżenia pisano, że na podstawie obserwacji stwierdzono, iż spotykała się z Georges’em Sidre’em, *attaché* prasowym ambasady francuskiej w Warszawie. Domniemywano, że był on pośrednikiem w kontaktach z Giedroyciem, ale dowodów na to nie było, względnie wahano się je wykorzystać. Rewska nie przyznała się do tej znajomości, choć w czasie rewizji znaleziono u niej telefon Sidre’a. Znaleziono również cytowany list Giedroycia z 7 stycznia.

W lipcu 1958 r. została skazana przez Sąd Wojewódzki

14. H. Rewska do J. Giedroycia 22 stycznia 1958, Archiwum *Kultury*.

15. H. Rewska do J. Giedroycia 14 listopada 1958, Archiwum *Kultury*.

w Warszawie na 3 lata więzienia. Wskutek złego stanu zdrowia karę zaczęła odbywać w szpitalu więziennym. W wyniku rewizji Sąd Najwyższy uchylił wyrok i po 11 miesiącach opuściła więzienie. W 1961 r. uprawomocnił się wyrok Sądu Najwyższego – 1,5 roku z zawieszeniem na 3 lata. Później nie angażowała się już politycznie. Napisała wspomnienia z lat okupacji i Powstania Warszawskiego. Fragment jej relacji o zamachu na Kutscherę opublikowano w książce A. Kunickiego „Cichy front” w 1968 r.

Zmarła 1 października 1970 r. w Warszawie.



Poniżej drukowana relacja jest mniej dokładna, niż opracowanie Antoniego Dudka i Tomasza Marszałkowskiego w książce „Walki uliczne w PRL 1956-1989” (Kraków 1992). Autorzy tego opracowania oparli się głównie na raporcie Komendy Głównej MO, znajdującym się w Archiwum Komendy Głównej Policji. Hanna Rewska zanotowała to, co sama zobaczyła i co usłyszała od przygodnych ludzi. Tym niemniej nie myliła się odtwarzając zasadniczy zrzęb faktów, ich kolejność, wymowę. Walorem jej opisu jest emocjonalny ton, nastrój, który dzieliła z uczestnikami wydarzeń, opowiadanie wypadków „od wewnątrz” demonstracji.

Relacja została napisana w formie listu do Zygmunta Hertza. Opuściłem pierwszy akapit, który dotyczy zakupu cylindra do wtryskarki, z czym Rewska miała kłopoty. Również zakończenie listu odnosi się do tej sprawy oraz zawiera kilka drobnych wiadomości związanych z utrzymywaną korespondencją. List, napisany odręcznie, znajduje się w Archiwum *Kultury* w Maisons Laffitte.

Andrzej FRISZKE

RELACJA HANNY REWSKIEJ O DEMONSTRACJACH
PO ROZWIĄZANIU *PO PROSTU* 3-7 X 1957 r.

9 X 57

Drogi Panie Zygmuncie,

(...) Ostatnio miałam dość silne przeżycia w związku z wiecami i zaburzeniami, spowodowanymi decyzją zlikwidowania *Po Prostu*. Ponieważ gazety beczelnie kłamią, więc korzystam z okazji, aby podzielić się wrażeniami i spostrzeżeniami z obojgiem Państwa. Wybrałam się na pierwszy wiec (czwartkowy) z kilkoma osobami i żadnej z nas nie przyszło na myśl, jak się on zakończy. Ok. godz. 19-ej zebrali się już dużo osób. Weszliśmy do Akademika, ale okazało się, że salę, w której miał odbyć się wiec zamknięto, gdyż „władze”, jak rektor i ZMS, wiec odwołały. Wisiała nawet kartka zawiadamiająca o tej decyzji, ale przypuszczalnie olbrzymia większość o niej nie wiedziała. Natomiast od razu dał się odczuć brak organizatorów. Dłuższy czas staliśmy i nikt nie wiedział co robić, potem zaczęto nawoływać, aby udać się na jedno z podwórz Domu Akademickiego. Chciano otworzyć bramę na ulicę od podwórza, bo przejście przez Dom jest b. ciasne i niewygodne, ale brama też była zamknięta i nie ustąpiła, gdy kilkunastu bardziej zniecierpliwionych próbowało ją wyważyć. Udaliśmy się więc również pod gmach na pl. Narutowicza, gdzie w międzyczasie zgromadziło się już parę tysięcy młodzieży. Jak widać, „władze” zrobiły wszystko, co mogły, aby wiec odbywał się publicznie na placu, uniemożliwiając zamknięciem sali i bram zebranie się na terenie Domu. Nastrój młodzieży był b. spokojny, nawet nie słysząc było rozmów, wszyscy stali w miejscu, oczekując na zjawienie się jakiegoś kierownictwa zebrania czy mówców. Zaczęliśmy się nawet nieco już nudzić, wyrażaliśmy obawy, że młodzież się skompromituje, o ile za chwilę nie znajdą się jacyś organizatorzy, o ile ktoś nie przemówi paru słów i nie uchwalimy rezolucji. Bałam się osobiście, że jeszcze 1/2 godziny takiego czekania, a wszyscy zaczną się rozchodzić. Ktoś z pootwieranych okien Akademika, pełnych wyglądających, rzucił wesoło: „Niech żyje Stalin!”. Odpowiedziały mu śmiechy z dołu.

Będący z nami student chodził już poprzednio sprawdzać, czy jest „obstawa”, ale nic specjalnie niepokojącego nie zauważył. Tym razem wrócił zaalarmowany: na ul. Akademickiej stoi kilka „bud”, poza tym samochody, z których wysiada milicja w hełmach. Cofnęliśmy się w stronę Uniwersyteckiej: zobaczyłam kilkudziesięciu milicjantów, którzy zwartym szykiem ruszyli w stronę Domu. W mroku słabo oświetlonych ulic przypominali nieodparcie sylwetki gestapowców: długie płaszcze, stalowe hełmy. Przeszliśmy na drugą stronę ul. Uniwersyteckiej i z zapartym tchem obserwowaliśmy ruchy milicji. Fala oburzenia i nienawiści przebiegła przez zgromadzony tłum. Po paru minutach zobaczyłam dym i rozlatujące się ku górze palące się świece, skąd po chwili wyrastały nowe białawe smugi gazu. Jednocześnie tłum sprzed akademika rzucił się do ucieczki. Spojrzałam sylwetki biegnących milicjantów, bijących pałkami. Nie mogłam dłużej stać i popędziłam w stronę pobliskiego przystanku tramwajowego. Nie zdążyłam jeszcze wskoczyć do tramwaju, minęłam dwóch, którzy z dziką zaciekłością walili po głowach napotkane osoby. Jeszcze w oczach mam mężczyznę i kobietę, chylących głowy zasłonięte rękami przed uderzeniami pałek. Ktoś krzyknął „gestapowcy!” Jakiś cywil wynurzył się z ciemności - „Kto śmiał to powiedzieć?” i po raz drugi z groźbą „Kto to powiedział?” Na szczęście tramwaj ruszył. Wsiadłam na następnym przystanku. Była ok. 20 godz.

Do godz. 22 byłam na placu „obserwując” wraz z innymi przebieg wydarzeń. Interwencja niesprowokowana milicji „zorganizowała” wiec. Każdy nowy „atak” milicji witany był gwizdami studentów, którzy z okien Domu Akademickiego skandowali chórem na cały plac: „Ges-ta-po”, „Fa-szyś-ci”, „Chce-my Po pros-tu” i in., których nie mogłam dobrze zrozumieć, choć były b. głośne. Coraz więcej osób gromadziło się w bramach domów, mimo, że od łzawiącego gazu okropnie szczypały oczy. Raz omal mnie nie stratowano w bramie, gdy tłum chciał się schronić przed nową świecą gazową. Wszyscy głośno rozmawiali, wyrażając swe oburzenie wobec milicji. Słyszałam nawet młodego mężczyznę (chyba robotnika) klnącego: „Do cholery z tą Polską Ludową! To się nazywa wolność”. Tymczasem przybywały coraz to nowe budy z

milicjantami, a tłum narastał w sąsiednich uliczkach, przylegających do placu. Zdecydowałam się dotrzeć do domu (mieszkam b. blisko placu), co nie było takie proste. Ul. Grójecką w stronę miasta już przejścia nie było: zagrodziła je milicja robotnicza, skądś sprowadzona.

Gdy ok. 22.30 wyszłam powtórnie z domu zastałam zupełnie zmienioną sytuację – milicji ani śladu, rozchodzący się ludzie. Z Domu Akademickiego nawoływano przez megafon do powrotu jego mieszkańców. Przy tym oświadczono, że kilku studentów zostało zatrzymanych, i że w razie konieczności „wyjdziemy na ulice”. Przed domem leżało mnóstwo potłuczonego szkła: okazuje się, że studenci rzucali z okien na milicję butelki. Zapomniałam dodać, że w ostatniej godzinie „walk” milicja rzucała dla postrachu petardy, wybuchające z wielkim hukiem. Natężenie gazu było tak duże, że czuć go było nawet w moim mieszkaniu, znajdującym się o parę uliczek od placu. Wycofanie milicji miało jasny skutek – natychmiast omal nastąpił spokój i tłumy rozeszły się.

Dnia następnego t.j. w piątek odbył się o godz. 18 w otoczonej kordonem milicji Politechnice wiec, na którym uchwalono rezolucję w sprawie ponownego rozpatrzenia sprawy *Po Prostu* i w sprawie zachowania się milicji. Żadnego przedstawiciela KC na wiecu, który uznany był za nielegalny, nie było. Był przedstawiciel *Po Prostu* i pos. Bukowski, który dobrze mówił. Po skończonym wiecu część duża studentów pozostała na placu i milicja zaatakowała ich od strony pola. Znowu były w użyciu gazy łzawiące, petardy, pałki oraz świece dymne. Ponieważ w pobliżu, w związku z przeprowadzanymi robotami leżało dużo cegieł i kamieni, młodzież wykorzystała je dla obrony i „szturmów”. W późniejszych godzinach „walki” przeniosły się na pl. Konstytucji (MDM). Zostali tam sprowadzeni bardzo licznie jacyś cywile, którym powkładano opaski Milicji Rob. Moja znajoma opowiadała z przerażeniem jak uzbrojeni w drewniane grube kije, całymi grupami napadali na ludność i bili w głowy. Była świadkiem, jak napadli na kobietę przechodzącą jezdnię, dwóch chłopców siedzących spokojnie na ławce, jak wyciągali i bili ludzi z taksówki. Ludność była wzburzona i przerażona. Owa znajoma, młoda osoba, b. spokojna i raczej flegmatyczna, na widok

podobnych scen krzyczała wszystko, co nasuwało się jej na myśl: „Bandyci, gestapowcy, zbóje...”, itp. Podobnie reagovali wszyscy. W pobliżu hotelu na placu wdepnęła w sporą kałużę i dopiero wtedy spostrzegła, że była to krew...

Od piątku rano do niedzieli włącznie na Domu Akademickim na pl. Narutowicza wisiał wysoko nad głównym wejściem napis: „Wolność słowa”.

Późniejsze zamieszki przeprowadzone były już bez masowego udziału studentów. Milicja w dalszym ciągu zachowuje się prowokacyjnie i może w związku z tym od wczoraj słyszę pogłoski, że zamieszki są inspirowane, że wiążą się z rozgrywkami wewnątrzpartyjnymi. Wczoraj WE nadała, że w KC było odczytywane memorandum napisane przez kilku Paxowców (m. in. Cata) dot. m. in. *Po Prostu* i informujące, że redakcja tego pisma miała kontakty z emigr. grupą „Kultury” (sama słyszałam ten komunikat)....

Grzegorz MAZUR

UZBROJENIE ARMII KRAJOWEJ STAN FAKTYCZNY

Analiza danych liczbowych przy badaniu stanu uzbrojenia ZWZ-AK wymaga już na samym początku poczynienia kilku zastrzeżeń. Przede wszystkim, trzeba pamiętać o tym, że liczba broni stale się zmieniała; z jednej strony bowiem zdobywano na przeciwniku, czy też uzyskiwano z innych źródeł coraz to nowe jej ilości, z drugiej zaś miały miejsce straty. Dane liczbowe należy więc traktować jako informacje orientacyjne, pamiętać o płynności posiadanych zasobów. Ponadto znanym faktem jest podawanie często w raportach za-

nizonych danych stanu uzbrojenia, ażeby uniknąć ewentualnej konieczności przekazania posiadanej broni na przykład do sąsiedniego obwodu. Szereg sztuk traktowano jako broń osobistą poszczególnych żołnierzy. Po tylu latach ustalenie stanu faktycznego jest często niemożliwe.

Na szczeblu Komendy Głównej ZWZ-AK problem uzbrojenia leżał w gestii pionu kwatermistrza: najpierw szefa Oddziału IV KG ZWZ-AK, a od 9 IV 1942 r. Kwatermistrza KG. Od maja 1940 r. do lipca 1944 r. na czele podległej mu Służby Uzbrojenia stał płk Jan Szypowski, ps. „Leśnik”. Dysponowała ona własnymi magazynami uzbrojenia¹.

W przygotowanych przez Komendę Główną ZWZ planach powstańczych kładziono duży nacisk na fakt, że warunkiem powodzenia jest wsparcie lotnicze w postaci masowych zrzutów, dokonywanych przez lotnictwo sojusznicze, a także desant morski i lotniczy. W „Raporcie operacyjnym 54” z 5 II 1941 r. gen. Stefan Rowecki pisał o konieczności otrzymania na terenie GG, jeszcze w okresie konspiracji, następujących ilości zaopatrzenia: 2.000 pistoletów maszynowych z dużą ilością amunicji (ogólnej wagi 20 ton), 2.000 rewolwerów (łącznie 6 ton), 1.500 ręcznych granatów zapalających (900 kg) oraz poważnych ilości pieniędzy na zakup broni od Niemców i uruchomienie własnej produkcji. W okresie czujności (przed wybuchem) i w czasie pogotowia przed powstaniem rysował potrzeby następująco: jak największe ilości ręcznych granatów przeciwpancernych, 1.000 rkm z amunicją, 4.000 pistoletów maszynowych z amunicją, granatniki. W momencie wybuchu planowanego powstania potrzeby gwałtownie wzrastały, obejmując ciężkie i ręczne karabiny maszynowe, miotacze płomieni, moździerz i wiele innego sprzętu – w miarę możliwości niemieckiego. Związane to było z możliwościami względnie łatwego zdobycia amunicji i części zamiennych².

Jak pisze płk dypl. Leon Mitkiewicz, polski przedstawi-

1. M. Ney-Krwawicz, „Komenda Główna Armii Krajowej 1939-1945”, Warszawa 1990, s. 130-134, 463, tamże szczegółowo o kwatermistrzostwie KG ZWZ-AK.

2. „Armia Krajowa w dokumentach 1939-1945”, Londyn 1970-1989, t. VI, s. 142 (dalej cyt.: AK, nr tomu, nr strony).

ciel w Najwyższym Dowództwie Zachodnich Aliantów (CCS) w Waszyngtonie, „możliwości mobilizacyjne Armii Krajowej określone były w planie na 16 dywizji piechoty i 6 brygad kawalerii – ogółem około 250.000 ludzi – pod kategoriycznym warunkiem otrzymania na czas potrzebnego uzbrojenia, sprzętu i wyposażenia³”. Stan ten z biegiem czasu nie polepszał się. Według L. Mitkiewicza, raport dowództwa Armii Krajowej o stanie uzbrojenia z końca listopada 1942 r. wskazywał, że posiadane zapasy w Kraju pozwalają na wystawienie jedynie dziesięciu batalionów piechoty, słabo wyposażonych, szczególnie jeśli chodzi o broń maszynową (600 ciężkich karabinów maszynowych, 1000 lekkich karabinów maszynowych, 25 tys. karabinów, 6.000 pistoletów, 30 tys. granatów). Dowódca AK, gen. Stefan Rowecki, domagał się od Naczelnego Wodza w Londynie niezwłocznego zorganizowania regularnych dostaw do Polski drogą powietrzną uzbrojenia, które by pozwoliło na wyposażenie w broń przynajmniej 40-50 batalionów piechoty. Tę siłę uważał generał Rowecki za nieodzowne minimum dla rozpoczęcia ogólnego zbrojnego powstania przeciwko Niemcom. 2 VII 1943 r. L. Mitkiewicz na posiedzeniu plenarnym Najwyższego Dowództwa złożył w imieniu gen. W. Sikorskiego memoriał, w którym domagano się odpowiedniej ilości uzbrojenia. Stwierdzono w nim, że dla powodzenia powstania konieczne byłoby w okresie od 1 IX 1943 r. do 1 V 1944 r. przerzucenie 750 ton materiału, co wymagałoby 500 lotów, ale pozwoliłoby uzbroić już 50 batalionów. Następnie, po wybuchu powstania, przez 20 dni należałoby dostarczać 600 ton dziennie oraz przerzucić do kraju brygadę spadochronową płk. dypl. Stanisława Sosabowskiego, całe lotnictwo polskie z Anglii oraz otrzymać kilkaset dodatkowych samolotów transportowych. Rzecz jasna, działania powstańcze miałyby być skoordynowane i uzgodnione z Najwyższym Dowództwem w Waszyngtonie. Anglosasi uznali te postulaty za nierealne i konsekwentnie je odrzucali. W końcu września 1943 r. płk Mitkiewicz otrzymał zresztą stanowcze zapew-

3. L. Mitkiewicz, „Powstanie Warszawskie (z mojego notatnika w Waszyngtonie)”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1962, z. 1, s. 98.

nienie od Amerykanów, że pierwszym Aliantem, który wkroczy na ziemie RP, będą wojska sowieckie. Od tego momentu można było właściwie nie żywić już żadnych złudzeń, co do możliwości uzyskania większej pomocy anglosaskiej w zakresie dostaw sprzętu dla AK⁴.

Przed rozpoczęciem „Burzy” uzbrojenie AK nadal było skromne. Na dzień 1 VI 1944 r. AK liczyła około 250 tys. ludzi, ale uzbrojenia starczało zaledwie dla około 32 tys., a więc pokrywało 12,5% stanu. Na posiedzeniu CCS 12 VI 1944 r. gen. bryg. Stanisław Tatar, świeżo przybyły z Polski zastępca szefa sztabu KG AK do spraw operacyjnych, postulował zwiększenie lotów z zaopatrzeniem do 150-200 miesięcznie, co pozwoliłoby na otrzymanie 45% potrzebnego uzbrojenia i umożliwiłoby prowadzenie skutecznej akcji sabotażowej i dywersyjnej. Dopiero wykonanie 1.300 lotów do Polski pozwoliłoby na dostarczenie 100% potrzebnego uzbrojenia. Było to nierealne i mocno spóźnione⁵. Według innych danych, w początkach 1944 r. AK dysponowało 53 tys. sztuk broni, z czego 33% stanowiła broń krótka, niezbyt przydatna w walkach partyzanckich, a niespełna 6% broń maszynowa (była to więc większa liczba, niż podawana Anglosasom)⁶.

Oddziały AK posiadały cztery główne źródła uzbrojenia: pozostałość po kampanii wrześniowej, produkcja własna, rzuty, kradzież, zakup lub zdobycz u okupantów, a zwłaszcza oddziałów innych państw Osi, szczególnie włoskich i węgierskich. W każdym przypadku były to źródła niewystarczające. Broń pozostała po kampanii wrześniowej, często przechowywana w nieodpowiednich warunkach, w wielu przypadkach pozostawiała wiele do życzenia: należało wymieniać lub dorabiać poszczególne jej części, co wobec braku specjalistycznych zakładów rusznikarskich było bardzo trudne. W 1940 r. przeprowadzono akcję wydobywania, oczyszczenia i zabezpieczenia broni pozostałej z kampanii wrześniowej, na terenie okręgów Warszawa, Kielce, Kraków, Lublin. Uzyska-

4. Tamże, s. 104-105, 113-119, 124-125.

5. Tamże, s. 134-135.

6. A. Paczkowski, „Pół wieku dziejów Polski 1939-1989”, Warszawa 1995, s. 70-71.

no w ten sposób: 566 ckm, 1.097 rkm, 31.391 karabinów, ponad 6 tys. pistoletów, 28 działek przeciwpancernych i spore ilości amunicji. Ponowne zabezpieczenie broni, a zwłaszcza amunicji, okazało się jednak złe i wiele jej uległo ostatecznemu zniszczeniu. W 1943 r. dowództwo AK zakładało, że część broni, źle przechowywana, będzie nie do użytku w trzecim roku wojny, a z wymienionej w raportach zaledwie 30% było należycie przechowywane i konserwowane⁷.

Produkcją uzbrojenia zajmował się przede wszystkim Wydział Produkcji Konspiracyjnej, powstały w 1943 r. i wchodzący w skład pionu kwatermistrzostwa KG ZWZ-AK. Jego szefem był por. inż. Witold Gokieli, ps. „Ryszard”, a jego zastępcami (w różnych okresach): mjr/ppłk inż. Przemysław Kraczkiewicz, ps. „Piotr”, „Rajmund”, ppor./por. inż. Franciszek Przeździecki, ps. „Rafał”, inż. Stefan Dąbrowski, ps. „Stanisław”, Tadeusz Laskowski, ps. „Teresa”, inż. Janusz Tymowski, ps. „Jaworski”⁸.

Trzeba zaznaczyć, że prowadzenie produkcji było bardzo skomplikowanym i niebezpiecznym zadaniem: „(...) odbywa się w warunkach b. trudnych wskutek: konieczności ukrycia wytwórni i produktów, łatwej dekonspiracji przy transportowaniu dużej ilości ciężkiego materiału, o dużej nieraz objętości – zdarzają się nieszczęśliwe wypadki (eksplozja mat. wybuch.) w wytwórniach”⁹. Ogółem, w poszczególnych okręgach, w czasie całej okupacji wyprodukowano następujące ilości granatów: Warszawa – 110 tys., Kraków – 55 tys., Lublin – 36 tys., Lwów – 21 tys., Wilno – 20 tys., Białystok – 15 tys., Radom – 9 tys. W sumie wytworzono około 266 tys. granatów¹⁰. Ponadto podziwu godnym osiągnięciem, z uwagi na trudności techniczne, było uruchomienie

7. „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”, t. III – „Armia Krajowa” (dalej cyt. PSZ, t. III – AK), Londyn 1950, s. 323-326; J. Garliński, „Polska w drugiej wojnie światowej”, Londyn 1982, s. 294-295, pisze też o prowadzeniu akcji zabezpieczania pozostałej z kampanii wrześniowej broni na terenie Obszaru Lwów i Okręgu Śląsk (Katowice), co jednak z uwagi na silniejszy w nich niż w GG terror nie wydaje się zbyt prawdopodobne.

8. M. Ney-Krwawicz, „Komenda...”, s. 145.

9. AK, III, s. 310.

10. PSZ, t. III – AK, s. 339.

w Warszawie, Krakowie i Okręgu Radom produkcji pistoletów maszynowych typu „sten” i „błyskawica”. Ogółem, jak się szacuje, konspiracyjne wytwórnie opuściło około 1.400 sztuk tej broni¹¹.

Podziemie pierwsze doświadczenie w odbiorze zrzutów lotniczych zdobyło stosunkowo wcześniej: ich okres próbny miał miejsce od 15 II 1941 do 30 IV 1942 r.¹². Ich odbiór odbywał się – jak w marcu 1943 r. meldował do Londynu gen. Komorowski – „w warunkach b. silnej reakcji ze strony npla”¹³. Dlatego też postanowiono zdecentralizować odbiór zrzutów na poszczególne okręgi oraz przestawić go ze sposobu konspiracyjnego na bojowy. W praktyce oznaczało to wystawianie przez poszczególne obwody silnych oddziałów z zadaniem opanowania i utrzymania terenu odbioru zrztu, ewentualnie wykorzystanie w tym celu istniejących już oddziałów partyzanckich¹⁴. Zrzuty – choć istotne – nie pokrywały potrzeb i docierały tylko do niektórych okręgów. Na terenach wcielonych do Rzeszy nie było warunków do przeprowadzenia tego typu operacji, jak również w okręgach Poznań i Pomorze¹⁵. Inne okręgi, na wschód i północny wschód od GG, były poza zasięgiem lotnictwa, zresztą Anglicy nie wyrażali zgody na operacje zrztowe na tych terenach, traktując je jako należące już do ZSSR. Trzeba ponadto pamiętać o tym, że w latach 1941-1942 istniały poważne trudności technicz-

11. AK, III, s. 320-321; W. Borzobohaty, „‘Jodła’. Okręg Radomsko-Kielecki ZWZ-AK 1939-1945”, Warszawa 1988, s. 96-97; K. Satora, „Produkcja uzbrojenia w polskim ruchu oporu 1939-1944”, Warszawa 1985, s. 51-93, 139-141; M. Ney-Krwawicz, „Komenda...”, s. 146; A. Borkiewicz, „Powstanie Warszawskie 1944. Zarys działań natury wojskowej”, Warszawa 1969, s. 36-37, podaje większe liczby co do ilości wyprodukowanej broni.

12. J. Garliński, „Politycy i żołnierze”, Londyn 1971, s. 243-244. Dokładnie o przeprowadzonych zrztach pisze K. Bieniecki, „Lotnicze wsparcie Armii Krajowej”, Kraków 1994, wyszczególniając wszystkie przeprowadzone loty. Zob. też: A.P. Przemyski, „Z pomocą żołnierzom Podziemia”, Warszawa 1991; J. Tucholski, „Cichociemni”, Warszawa 1988.

13. AK, III, s. 81;

14. Tamże, s. 81-82.

15. K. Bieniecki, s. 198. Jedyne zrztu dla Okręgu Śląsk miał miejsce w lipcu 1944 r., ale nie udało się ustalić, jaka placówka go odebrała.

ne, jeśli chodzi o loty z Wielkiej Brytanii nad Polskę, a począwszy od 1943 r. Anglosasi uważali tereny Polski za obszar operacyjny Armii Czerwonej, która rzecz jasna nie była zainteresowana uzbrajaniem AK. Dla porównania trzeba dodać, że podczas gdy Polska otrzymała drogą lotniczą w sumie 600 ton zaopatrzenia, Grecja – 5.796 ton, a Francja i Jugosławia po 10 tys. ton¹⁶. Warto podać pewne sumaryczne liczby dotyczące tego zagadnienia. Mianowicie, ogółem w dwóch sezonach zrzutowych „Riposta” (1 VIII 1943 – 31 VII 1944) i „Odwet” (1 VIII 1944 – 31 XII 1944) wysłano do Polski 1216 lkm i rkm, 12.372 pistoletów maszynowych, 8.746 sztuk broni krótkiej, 63.203 granaty, 32.856 kg plastiku, 22 karabiny, 576 piatów i 30 moździerz. W obliczu silnego „głodu broni” w kraju była to ilość znacząca, choć nadal niewystarczająca¹⁷.

Zakup broni wiązał się z dużym niebezpieczeństwem prowokacji. Jak 31 VIII 1943 r. meldował gen. Komorowski: „(...) prowadzony był decentralnie i obejmował: pistolety maszynowe, kb, rkm, lkm, ckm i amunicję. Wszystko w ilościach niewielkich. Ceny b. wyższą”¹⁸. Głównie z tego źródła – zakupu u żołnierzy węgierskich – korzystał Obszar Lwów. Na terenie Okręgu Stanisławów od Węgrów otrzymano ponad 200 pistoletów, 14 karabinów, 10 automatów, 160 granatów, amunicji i innego sprzętu wojskowego¹⁹.

Na Kresach Północno-Wschodnich otrzymywano sprzęt wojskowy od Niemców. Było to możliwe z powodu skomplikowanej sytuacji politycznej na tych terenach. Mianowicie, począwszy od wydania 22 VI 1943 r. przez plenum KC KP(b) Białorusi uchwały o zwalczaniu polskiego podziemia, oddziały AK musiały toczyć zaciekle walki z partyzantką sowiecką. Od 1 I 1942 r. do końca lipca 1944 r. oddziały

16. A. Paczkowski, s. 70-71; J. Garliński „Politycy”, s. 152.

17. M. Ney-Krwawicz, „Armia Krajowa. Siła zbrojna Polskiego Państwa Podziemnego”, Warszawa 1993, s. 163. Inne dane podaje J. Garliński „Politycy”, s. 244-245, tamże bardziej szczegółowe dane o poszczególnych sezonach zrzutowych.

18. AK, III, s. 80.

19. G. Mazur, „Pokucie w latach drugiej wojny światowej. Położenie ludności, polityka okupantów, działalność podziemia”, Kraków 1994, s. 116.

Okręgu Nowogródek (bez Zgrupowania Stołpeckiego) stoczyły 185 walk i potyczek, z tego 102 z Niemcami, a 83 z partyzantką sowiecką²⁰. Sytuację tę postanowili wykorzystać Niemcy i wyciągnąć z niej maksimum korzyści dla siebie. Dowódca Zgrupowania Nadniemeńskiego, rtm. Józef Świda, ps. „Lech”, za cichą zgodą i wiedzą Komendanta Okręgu, ppłk. Janusza Prawdzic-Szlaskiego, w styczniu 1944 r. w Lidzie, ustalił w rozmowach z przedstawicielami Wehrmachtu, że w zamian za dostawę broni i amunicji nie będzie atakować Niemców. W ciągu stycznia, lutego i marca 1944 r. jego Zgrupowanie otrzymało pięć transportów broni i amunicji. Sprawa jednak – choć chciano ją utrzymać w tajemnicy – stała się głośna²¹. W „Meldunku organizacyjnym nr 240” obejmującym okres od 1 IX 1943 do 29 II 1944 r., gen. T. Komorowski napisał o tych wydarzeniach: „W okresie sprawozdawczym były dwa wypadki pójścia naszych oddziałów na współpracę z Niemcami przeciwko partyzantce sow., dającej się silnie we znaki ludności polskiej. Nastąpiło to pod naciskiem maltretowanej ludności polskiej i w jej nastroju niepokoju i obaw po przebytej już raz okupacji sowieckiej. Wkroczyłem z całą stanowczością dla zlikwidowania niedopuszczalnej, w żadnym wypadku, współpracy z Niemcami”²². Jak pisał potem w swej relacji z 1975 r. J. Świda, traktował on całą tę sprawę jako podstęp wojenny – „kiedy będziemy mieli broń, od nas tylko zależy, przeciw komu ją użyjemy”²³. Oprócz Zgrupowania Nadniemeńskiego również Batalion Stołpecki, dowodzony przez mjr. Adolfa Pilcha, ps. „Góra”, „Dolina” zawarł „pakt o nieagresji” z Niemcami. Między innymi w połowie grudnia 1943 r. otrzymał od Niemców 10 tys. sztuk amunicji, 2 ckm i 4 moździerze. Batalion ten zresztą nie wykonał rozkazu KG zerwania

20. AK, III, s. 343; J. Erdman, „Droga do Ostrej Bramy”, Londyn 1984, s. 242-245.

21. J. Świda, „Wyjaśnienie dotyczące okresu 1943/1944 roku”, *Zeszyty Historyczne* (Paryż), 1985, s. 75-79; J. Erdman, s. 244-263.

22. AK, III, s. 344. Słowo „współpraca” niezbyt tu zresztą pasuje, nie podejmowano bowiem żadnych wspólnych akcji bojowych przeciw Sowietom; właściwsze wydaje się określenie „lokalne pakt o nieagresji”.

23. J. Świda, s. 76.

„paktu” i ostatecznie w długim rajdzie przeszedł do Puszczy Kampinoskiej.

Inne, podobne sposoby zdobywania broni na Kresach Północno-Wschodnich – nie stosowane chyba nigdzie indziej w okupowanej Polsce – polegały na wymianie jeńców niemieckich na broń i amunicję. Na przykład dowódca IV batalionu 77 pp AK, ppor. Czesław Zajączkowski, ps. „Ragnar”, wymienił złapanego komisarza niemieckiego na trzy ciężarówki broni, dowódca V batalionu, mjr Stanisław Truszkowski, wymienił z Niemcami z Ejszyszek masło i kiełbasę na dwie skrzynki amunicji, a por. Jan Borysewicz, ps. „Kryśia”, wymienił 20 jeńców na dwa wozy amunicji, 2 rkm i 2 skrzynki granatów²⁴.

W miarę upływu czasu zwiększała się zdobycz. W wielu publikacjach znajdujemy informacje o rozbrajaniu pojedynczych żołnierzy okupanta i kradzieży broni z jego magazynów. Nie sposób obliczyć, jak duże ilości uzbrojenia uzyskano tą drogą. Należy sądzić, że liczne drobne akcje tego typu nie zostały zarejestrowane w dokumentacji ZWZ-AK, a miały one miejsce aż do końca okupacji. Zdobywana w nich broń często stawała się „prywatną” wielu żołnierzy. Wspomnę jedynie przykładowo o pojedynczych faktach, ale takich w których zdobycze były większe. W Obwodzie Łańcut, w lasach koło wsi Sarzyna, Niemcy zorganizowali tzw. „Waldlager”, w którym składowali zdobytą w wielu podbitych krajach, a zwłaszcza w ZSSR broń, amunicję, materiały wybuchowe i inny sprzęt wojskowy. Stosunkowo słaba ochrona (kompania, a okresowo tylko pluton wojska) i ogrodzenie jedynie pojedynczym drutem kolczastym, spowodowało, że zaczęli się tam zakradać konspiratorzy z okolicznych wsi, aby zdobyć trochę uzbrojenia. Komenda Obwodu AK Łańcut zorganizowała większy wypad w nocy 17/18 X 1942 r., w jego wyniku zdobyto około 5 ton materiałów wybuchowych, 2 tony granatów, 20 tys. sztuk amunicji, 60 karabinów. Kolejna wyprawa na Waldlager została przeprowadzona w nocy 18/19 II 1943 r., (załadowano cztery sanie parokonne zdobytymi materiałami wybuchowymi, granatami i amunicją), zaś

24. J. Erdman, s. 251-266.

w następnych kolejnych dziewięciu wypadach zdobyto około 20,5 ton trotylu, 24 tys. granatów i wiele różnorodnej amunicji. Największa akcja na Waldlager została przeprowadzona w końcu października 1943 r. przez oddziały obwodów Łańcut i Przeworsk, pod dowództwem komendanta Obwodu Łańcut, kpt. Ernesta Wodeckiego, ps. „Szpak” i oficera operacyjnego Obwodu Łańcut, kpt. Henryka Decowskiego, ps. „Mars”. Ponadto sama okoliczna placówka Wola Zarczycka przeprowadziła około 20 mniejszych wypadów²⁵.

Innym sposobem uzupełniania uzbrojenia były akcje na transporty niemieckie zdążające na wschód. Polscy kolejarze zwalniali lub zatrzymywali pociągi w umówionych miejscach i wtedy wskakiwali do wagonów żołnierze z okolicznych placówek AK, wyrzucając następnie wiezioną zawartość, niekoniecznie były to jakieś elementy uzbrojenia, mogło być na przykład zaopatrzenie wojskowe w artykuły żywnościowe. Także rozmiary tych akcji nie są nam znane.

Naprawdę obfita zdobycz miała miejsce dopiero w czasie szeregu akcji w ramach „Burzy”. W licznych akcjach przeciw Niemcom zdobyto wiele sztuk najróżnorodniejszego uzbrojenia i amunicji. Podsumowanie tego fragmentu ogólnego bilansu „Burzy” czeka na swego historyka. Należy jednak przeprowadzić skrupulatną analizę informacji na ten temat, zawartych w dokumentach AK oraz w spisywanych po wojnie relacjach i wspomnieniach. Często dane te są wyolbrzymione, odkrywanie nowych dokumentów oraz sięganie do raportów niemieckich pozwala na uzyskanie prawdziwego obrazu. Jest to obszerne zagadnienie, które tutaj jedynie sygnalizuję.

29 II 1944 r. stan uzbrojenia był następujący: 261 ckm (w stosunku do poprzedniego półrocza nastąpiło zmniejszenie o 111), 1.527 rkm (wzrost), 34.134 kb (wzrost), 16.230 pistoletów (wzrost), 1.081 pistoletów maszynowych (wzrost), utracono jedyną armatę, ilość działek przeciwpancernych wzrosła z 6 do 10, a karabinów przeciwpancernych z 56 do 64²⁶.

25. Akta oddziału AK „Prokop”, k. 3, kopie w zbiorach autora; M. Plisz, „Z dziejów ruchu oporu w Łańcuckiem i Leżajskim”, maszynopis, kopia w zbiorach autora, k. 20-21, 90; relacja Emila Küblera, k. 33, zbiory autora; R. Zatorski, „Pacyfikacja”, *Profile*, 1978, nr 6, s. 5-6.

26. AK, III, s. 332-333.

W okresie tym sytuacja w zakresie uzbrojenia nadal była kiepska. Zakup broni i amunicji nie dawał „nawet mizernych wyników”, ponadto „w najlepszych warunkach stan uzbr. posiadają okręgi na 10 proc. ogólnego stanu oddziałów. Oddziały partyzanckie częściowo dozbrajają się ze zdobyczy”. Okręgi oczekiwały często daremnie na rzuty, co deprymowało żołnierzy²⁷.

Trzeba zauważyć parę charakterystycznych cech. Po pierwsze, w ciągu paru pierwszych lat okupacji, ilość posiadanej broni zmniejszała się; było to spowodowane przede wszystkim ponoszonymi stratami, odnajdywaniem jej przez Niemców, złym przechowywaniem i skutkiem tego niszczeniem, itp. Dopiero lata 1943-1944 przyniosły większy wzrost w wyniku rzutów, zdobyczy i produkcji. Ale nie był on na tyle znaczący, aby był proporcjonalny do wzrostu szeregów. Do podziemia trafiali kolejni młodzi ludzie, ponadto w wyniku akcji scaleniowej do ZWZ-AK weszło wielu żołnierzy innych formacji. Bardzo często ich wyposażenie w broń było bardzo ubogie i w rezultacie odsetek żołnierzy, których można było uzbroić, stale się zmniejszał.

Należy też scharakteryzować pokrótce stan broni na poszczególnych terenach. Przede wszystkim *gros* uzbrojenia było w GG. Na ziemiach przynależących do Rzeszy i na terenie okupacji sowieckiej jej ilość gwałtownie malała. Całe fale aresztowań na ziemiach wcielonych od Rzeszy powodowały straty i w ludziach, i w uzbrojeniu. Okupację sowiecką Kresów Wschodnich 1939-1941 charakteryzował taki terror i skuteczne przeciwdziałanie sowieckich służb bezpieczeństwa organizowaniu się polskiego podziemia, że dopiero po wkroczeniu wojsk niemieckich latem 1941 r. mogły powstać tam struktury ZWZ-AK i zaczęło się powolne pozyskiwanie broni. Wtedy też, już w 1942 r., na Kresach powstawały pierwsze oddziały partyzanckie, gdzie warunki ich działania były o wiele lepsze niż w GG. Szybko się rozrastały i zwiększały stan swego uzbrojenia, co było konieczne tym bardziej, że w 1943 r. pojawili się dwaj groźni przeciwnicy: partyzantka sowiecka oraz oddziały UPA. Dlatego też można stwierdzić, że

27. Tamże, s. 321.

pod względem stanu uzbrojenia na pierwszym miejscu znajdowały się okręgi w GG, na drugim kresowe, gdzie najlepiej sytuacja wyglądała w okręgach Wilno, Nowogródek i Białystok, a najgorzej w Okręgu Polesie. Najślabsze były okręgi na ziemiach przyłączonych do Rzeszy²⁸.

W lutym 1944 r. wyruszyła do boju 27 Wołyńska Dywizja Piechoty AK, jako pierwsza realizując „Burzę”. Liczyła ona około 6.500 ludzi. Jej oddziały już wcześniej walczyły zresztą z siłami UPA. Na jej uzbrojenie składało się około 620 sztuk broni krótkiej, około 220 sztuk pistoletów maszynowych, około 5 tys. karabinów, około 200 rkm, 30 ckm, 6 rusznic przeciwpancernych, 4 działka przeciwpancerne i 5 moździerzów kalibru 81 mm. Posiadano też 2 działa polowe kalibru 75 mm, niestety bez amunicji, które zresztą wkrótce porzucono. Wielkim kłopotem była różnorodność tej broni: broń maszynowa pochodzenia niemieckiego, sowieckiego, kilkanaście zrzutowych stenów, a także polskie i węgierskie karabiny maszynowe, zaś wśród karabinów były sztucery myśliwskie oraz – oprócz wcześniej wymienionej – broń włoska, francuska i holenderska. Powodowało to problemy z amunicją oraz ewentualnymi naprawami przez dywizyjne służby rusznikarskie. Tego typu kłopoty były zresztą udziałem wszystkich oddziałów AK. W późniejszych miesiącach, w czasie walk 27 DP AK o Kowel, nad Prypecią i na Lubelszczyźnie w lipcu 1944 r., stan uzbrojenia zmieniał się. Zmiany te są jednak trudno uchwytne w dostępnej literaturze i źródłach.

W wyniku pilnych żądań gen. Komorowskiego o zaopatrzenie 27 DP AK w broń, kierowanych do Londynu, jej oddziały otrzymały dwa zrzuty. Jeden z nich miał miejsce w nocy 8/9 IV 1944 r. na placówkę „Polana”, w rejonie wsi Władynopol. Zaznaczyć trzeba, że samolot skierowany tam został przez dowódcę Głównej Bazy Przerzutowej, ppłk. dypl.

28. Dokładną analizę uzbrojenia poszczególnych okręgów można przeprowadzić w oparciu o dane zawarte w kolejnych półrocznych raportach KG ZWZ-AK, częściowo zamieszczonych w „Armii Krajowej w dokumentach”. Do nich też odsyłam zainteresowanego szczegółami Czytelnika, nie sposób bowiem w jednym artykule podać wszystkich szczegółów i liczb.

Jana Jazwińskiego w tajemnicy przed Anglikami, którzy obawiali się zadrażnień politycznych z Rosjanami; według raportu, który otrzymali, zrzut miał miejsce 12 km od Krasnegostawu. Drugi zrzut na placówkę „Polana” – też w tajemnicy przed Anglikami – miał miejsce w nocy 14/15. IV 1944 r.²⁹.

Następne po wydarzeniach na Wołyniu walki w ramach „Burzy” miały miejsce na Kresach Północno-Wschodnich. W toku prowadzonej tam w pierwszej połowie lipca operacji „Ostra Brama”, siły okręgu wileńskiego i nowogródzkiego AK wzięły udział w walkach o Wilno. Według stanu na dzień 29 II 1944 r. Okręg Wilno posiadał 8 ckm, 55 rkm, 1.305 karabinów, 785 pistoletów, 100 pistoletów maszynowych, 1.730 granatów, a Okręg Nowogródek 10 ckm, 90 rkm, 1.071 karabinów, 712 pistoletów, 1 pistolet maszynowy (tak skromna liczba budzi podejrzenie o jakąś pomyłkę), 10.471 granatów. Do lipca 1944 r., jak w wielu innych miejscach kraju, w toku toczonych walk, stan uzbrojenia zdecydowanie się poprawił³⁰. Nie znany jest szczegółowy stan uzbrojenia oddziałów AK okręgów Wilno i Nowogródek w przeddzień rozpoczęcia operacji „Ostra Brama” – łącznie prawie 15 tys. ludzi bez uwzględnienia sztabów, logistyki, łączności i pozostających nadal w konspiracji. Oddziały AK dowodzone przez ppłk. Aleksandra Krzyżanowskiego, ps. „Wilk” uderzyły w nocy 6/7 VII 1944 r. na Wilno. Zostały odparte przez niemiecką obronę, a 7 VII w południe pod miasto dotarły siły sowieckiego 3 Frontu Białoruskiego, które przejęły główny ciężar dalszych walk o Wilno. W dniu 17 VII 1944 r. oficerowie AK zostali uwięzieni przez NKWD, a następnie rozbrojono oddziały biorące wcześniej udział w walkach o Wilno³¹.

Stan uzbrojenia Okręgu Białystok na 29 II 1944 r. był słaby: liczył on ponad 20 tys. ludzi, ale tylko około 25% żołnierzy posiadało broń palną, a mniej więcej co drugi granat.

29. K. Bieniecki, s. 123-124, 136-137; W. Romanowski, „ZWZ-AK na Wołyniu 1939-1944”, Lublin 1993, s. 332; J. Turowski, „Walki 27 Wołyńskiej Dywizji AK”, Warszawa 1990, s. 226-228.

30. AK, III, s. 332-333.

31. R. Korab-Zębryk, „Operacja wileńska AK”, Warszawa 1988, s. 249, 477-480, 493-494; J. Erdman, s. 355-373.

O wiele słabszy był sąsiedni Okręg Polesie, który posiadał około 4 tys. żołnierzy, ale i tak zaledwie około 20% posiadało jakiekolwiek uzbrojenie (granat lub broń palną, a tę ostatnią około 7-8%). Przyczyny słabości Okręgu Polesie tkwiły w licznych wypadkach, które miały miejsce w latach 1942-1943³².

W przededniu „Burzy” sytuacja Obszaru Lwów (okręgi: Tarnopol, Stanisławów i Lwów) nie była zbyt dobra pod względem uzbrojenia. Jak wynika z raportu gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego z 1 III 1944 r. („Meldunek organizacyjny nr 240 za okres od 1 IX 1943 do 29 II 1944”) liczył on w tym czasie we wszystkich trzech okręgach około 25 tys. żołnierzy. Jednak, jak jednocześnie stwierdzono, „najślabszy punkt stanowi stan uzbrojenia – rozpaczliwie niski”³³. Składało się nań pod koniec lutego 1944 r. – w skali całego obszaru – 10 ckm, 69 rkm, 1.385 kb, 1.019 pistoletów, 27 pistoletów maszynowych i 1 działo przeciwpancerne z dwoma pociskami. W samym Okręgu Lwów tuż przed „Burzą” posiadano 6 ckm, 105 rkm, 780 kb; 670 pistoletów maszynowych, 38 granatników przeciwpancernych, ponad 7.500 granatów. Najgorzej przedstawiał się stan uzbrojenia w okręgach Tarnopol i Stanisławów. W tym pierwszym uzbrojenie wystarczało dla około 2,5 % żołnierzy, w tym drugim dla około 3%. Była to więc sytuacja wręcz tragiczna, biorąc pod uwagę fakt, że toczono tutaj walkę na dwa fronty – oprócz Niemców z Ukraińcami, przy czym ten drugi przeciwnik był bardzo groźny. Błagano więc Londyn o zintensyfikowanie zrzutów i tą drogą otrzymano od marca do lipca 1944 r. m.in. 665 pistoletów maszynowych, 65 ręcznych karabinów maszynowych, 975 pistoletów, 38 piatów, radiostacje, materiał wybuchowy, amunicję i granaty. Wiele otrzymanego w ten sposób sprzętu musiało jednak pójść na wzmocnienie uzbrojenia samoobrony polskich osiedli. W porównaniu z marcem uzbrojenie Okręgu Stanisławów uległo zdecydowanemu polepszeniu, choć ciągle było bardzo mizerne³⁴. Znaczący zagadnienia, Jerzy Węgiński,

32. AK, III, s. 330-333; P. Lisiewicz, „Plan ‘Burza’. Wysiłek zbrojny Armii Krajowej 1944-1945”, Warszawa 1990, s. 188-193, 243-245.

33. AK, III, s. 330-331, 345.

34. Tamże, s. 330-333; J. Węgiński, „W lwowskiej Armii Krajowej”, Warszawa 1989, s. 197.

w następujący sposób komentuje tę kwestię: „ta liczba broni palnej pozwalała w zasadzie uzbroić około 3500 ludzi, a więc około 1/3 stanu ogólnego; znaczna część żołnierzy mogła posiadać po granacie ręcznym, jakaś część – butelkę zapalającą. Uzbrojenie to było jednak znacznie lepsze niż w Warszawie w przededniu powstania, gdzie w pierwszym dniu walki tylko co dziesiąty powstaniec mógł wystąpić do boju z należytym uzbrojeniem żołnierza piechoty. Natomiast lepiej było w powstaniu z amunicją; w Podokręgu Lwów amunicja do km, karabinów i pistoletów mogła wystarczyć na prowadzenie walki w ciągu 1-2 dni, a amunicja do pistoletów maszynowych na 6 dni. Broń i amunicja były jednak rozmieszczone bardzo nierównomiernie i dość przypadkowo, a broni z ostatnich zrzutów nie zdołano już przekazać zgodnie z przeznaczeniem”³⁵.

Kolejny okręg – Lublin – był stosunkowo nieźle uzbrojony. W pierwszych miesiącach 1944 r. około 60% żołnierzy dysponowało bronią strzelecką, w tym krótką i maszynową. Dodatkowo zrzuty polepszyły jego stan uzbrojenia. Odebrano ich około 23-25 i – jak się szacuje – mogło się w nich znajdować około 3.500-4.000 sztuk różnej broni (zwłaszcza maszynowej), ponad 1 mln sztuk amunicji, 4 tys. min przeciw-samochodowych, 3.500 kg plastiku i wiele innego sprzętu³⁶.

Okręg Kraków w lutym 1944 r. liczył około 60 tys. ludzi, ale stan uzbrojenia był słaby: posiadanej broni strzeleckiej wystarczało dla ok. 15% żołnierzy, jednak, jak pisze badacz jego dziejów, S. Dąbrowa-Kostka, „zapasy broni i amunicji starczyć mogły na bardzo słabe wyposażenie co najwyżej 10 proc. tego stanu”³⁷. Dopiero latem 1944 r. stan uzbrojenia zdecydowanie się polepszał, zarówno w wyniku zrzutów, jak i przede wszystkim zdobyczy. Siły wchodzącego w skład Podokręgu Rzeszów wzięły udział w „Burzy”;

35. J. Węgiński, „W lwowskiej...”, s. 197-198.

36. AK, III, s. 102-103, 330-333; I. Caban, Z. Mańkowski, „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939-1944”, Lublin 1971, cz. 1, s. 87-88, tamże bardzo szczegółowe informacje.

37. S. Dąbrowa-Kostka, „‘Burza’ na Podkarpaciu” w: „Krosno. Studia z dziejów miasta i regionu”, t. III, pod red. S. Cynarskiego, Rzeszów 1995, s. 264.

późniejsze represje ze strony NKWD spowodowały też utratę posiadanego przezeń uzbrojenia. Jedynie zachodnia część Okręgu Kraków nadal funkcjonowała, choć nie prowadząc dalej „Burzy”. Otrzymano wtedy spore ilości zaopatrzenia ze zrzutów. Głównym punktem ich odbioru była placówka „Wilga” koło Szczawy, pracująca pod ochroną I Batalionu 1 pułku strzelców podhalańskich AK. Jego część poszła na dozbrojenie tego pułku, który w praktyce, od momentu powstania 22 IX 1944 r. do końca okupacji niemieckiej prowadził walkę z wrogiem. Była to jedna z najsilniejszych jednostek Armii Krajowej Okręgu Kraków, licząca na dzień 31 X 1944 r. 1.029 żołnierzy. Ważnym źródłem broni dla niej były liczne akcje na placówki słowackiej straży granicznej, która w takich sytuacjach nie stawiała oporu i pozwalała się rozbierać³⁸.

Według stanu ludzi i broni na koniec lutego 1944 r. uzbrojonych było tylko około 20% żołnierzy Okręgu Kielce. Wiele broni uzyskano ze zrzutów, produkcji i zdobyczy. Działy tam silne zgrupowania AK, zwłaszcza 2 i 7 DP AK, toczące ciężkie walki z Niemcami. We wrześniu 1944 r. liczyły one łącznie ponad 4.800 dobrze uzbrojonych ludzi. Sytuacja na bezpośrednim zapleczu frontu, jakim stał się Okręg Kielce po zatrzymaniu ofensywy sowieckiej na linii Wisły, spowodowała jednak, że wkrótce ich oddziały intensywnie zwalczane przez Niemców zostały zdemobilizowane, a broń ukryta. Zachowane sprawozdania, m.in. stanu uzbrojenia okręgu za listopad 1944 r. – a więc już po „Burzy” – i porównanie go z raportem z końca lutego tego roku świadczą o tym, że uległo ono sporemu powiększeniu, zwłaszcza jeśli chodzi o broń maszynową. Było to rezultatem sporej zdobyczy, ale dalsze jej wykorzystanie po „Burzy” w walce z wrogiem było mocno problematyczne³⁹.

W Okręgu Łódź stan uzbrojenia był słaby: w końcu

38. AK, III, s. 330-333; S. Dąbrowa-Kostka, „‘Burza’ na Rzeszowszczyźnie”, *Kierunki*, 1972, nr 8; tegoż: „‘Burza’ na Podkarpaciu”, s. 264; G. Mazur, „Podhalańska epopea. Mjr Adam Stabrawa i jego pułk”, *Polska Zbrojna*, 1994, nr 46.

39. AK, III, s. 102-103, 330-333; W. Borzobohaty, s. 86-87, 303-304, 331-340, s. 365-366, 406.

lutego 1944 r. w jego posiadaniu znajdowały się 3 ckm, 9 rkm, 260 karabinów, 154 pistolety i 1 karabin przeciwpancerny, co starczało dla 15% jego żołnierzy. Na bazie wchodzącego w jego skład Podokręgu Piotrków został sformowany 25 VII 1944 r. 25 pp AK, który wkrótce osiągnął swój najwyższy stan około 1.200 dobrze uzbrojonych ludzi. Pułk ten stoczył szereg ciężkich walk z Niemcami, zdobywając wiele sztuk broni⁴⁰.

Obszar Warszawski w końcu lutego 1944 r. składał się z trzech podokręgów: Wschodniego (którego siły miały zostać przeorganizowane w Grupę Operacyjną „Wschód”, w składzie 8 DP AK i Mazowieckiej Brygady Kawalerii), Północnego i Zachodniego. Najlepiej uzbrojony był Podokręg Wschodni, o którym badacz zagadnienia, J. Gozdawa-Gołębiowski, napisał: „Porównując stan uzbrojenia do liczby żołnierzy mających brać udział w ‘Burzy’ należy stwierdzić, że broni starczyło jedynie dla około 77 % zmobilizowanych. Dopiero zdobycz wojenna wyrównała braki, a nawet, jak to było w Radzyminie, Siedlcach czy Mińsku Maz., pozwoliła uformować nowe plutony, kompanie czy bataliony. Posiadana broń pozwalała jedynie na prowadzenie działań partyzanckich i dywersyjnych, tym bardziej, że nikłe zapasy amunicji uniemożliwiały wręcz dłuższy kontakt ogniowy z wrogiem⁴¹”. Ale już Podokręg Północny, znajdujący się na terenach przyłączonych do Rzeszy, w okresie „Burzy” operował niewielkimi oddziałkami partyzanckimi i w praktyce jej nie realizował z powodu słabego uzbrojenia i braku odpowiednich sił. Podokręg Zachodni także był słabo uzbrojony, jedynie ponad 15% wszystkich jego zorganizowanych oddziałów było uzbrojonych⁴².

Trzeba wreszcie zwrócić uwagę na samą Warszawę. Okręg Warszawski AK wraz z oddziałami Komendy Głównej, na

40. AK, III, s. 330-334; P. Lisiewicz, s. 336-338; K. Bieniecki, ss. 124, 154, 156, 195; o poniesionych stratach i zdobyczach tego pułku piszą: D. Gołębiowski, „‘Burza’ nad Czarną. Z dziejów 25 pułku piechoty AK Ziemi Piotrkowskiej”, Warszawa 1972 i E. Wawrzyniak, „Na rubieży Okręgu AK Łódź. Zarys dziejów Inspektoratu Rejonowego i Podokręgu AK Piotrków Trybunalski”, Warszawa 1988.

41. J. Gozdawa-Gołębiowski, „Obszar Warszawski Armii Krajowej. Studium wojskowe”, Lublin 1972, s. 414.

42. Tamże, s. 408, 443.

1 VIII 1944 r. liczył 52 tys. żołnierzy. Byli oni jednak bardzo skromnie uzbrojeni: 20 ckm, 94 rkm, 420 pistoletów maszynowych, 1.475 karabinów, 2.500 pistoletów, 4 niezdadne do użytku moździerze, 20 piatów, 30 karabinów przeciwpancernych, 35 tys. granatów, w przeważającej większości (95%) produkcji konspiracyjnej. Z tą bronią żołnierze AK rozpoczęli realizowanie „Burzy” w stolicy – powstanie warszawskie. Według innych autorów, broń wystarczała ledwie dla około 16-17% zaprzysiężonych (Adam Borkiewicz). Trzeba wspomnieć w tym miejscu o tym, że z rozkazu gen. T. Bora-Komorowskiego 7 VII 1944 r. wysłano z Warszawy do okręgów wschodnich 900 pistoletów maszynowych z amunicją, a jeszcze na 10-14 dni przed wybuchem powstania wyekspediowano na wschód 60 pistoletów maszynowych z amunicją. Było to konsekwencją decyzji o wyłączeniu stolicy z „Burzy”, podjętej w marcu tego roku. Dodatkowo, w wyniku niemieckich aresztowań, stracono kontakt z magazynami pistoletów maszynowych, które w ten sposób nie zostały użyte przez żołnierzy; w jednym z nich, odkrytym w 1947 r., znajdowało się 678 pistoletów maszynowych i 60 tys. naboju⁴³.

Żołnierze AK realizowali „Burzę”, często zdobywając jednocześnie uzbrojenie na wrogu. Był to jeden z czynników silnie hamujących możliwości bojowe AK. Dotychczasowe zrzućy nie były zbyt obfite, a konspiracyjna produkcja w tak trudnych warunkach i bez specjalistycznego sprzętu nie mogła zaspokoić zapotrzebowania. Należy podkreślić wybitną rolę, jaką odegrali pracownicy podziemnych wytwórni materiałów wybuchowych, broni palnej, granatów, spłonek, zapalników, butelek zapalających. Nad zabezpieczeniem uzbrojenia czuwali też zaufani magazynierzy. Wielką rolę odegrali lotnicy z dywizjonów przeprowadzających zrzućy w okupowanym kraju oraz ludzie z placówek zrzućowych. Jednak w wielu przypadkach dopiero na skutek zdobyczy w czasie „Burzy” uzbrojenie żołnierzy uległo zdecydowanemu polepszeniu. Było ono nadal słabe w porównaniu z wyposażeniem niemieckich jednostek frontowych, a po ustabilizowaniu się frontu w końcu lata 1944 r. na linii Narwi, Wisły i Wisłoki jednostki niemieckie zmusiły polskie oddziały partyzanckie do zaniechania działalności i demobilizacji; wszak działały one bezpośrednio na

zapleczu frontu. Często nie dało się wykorzystać tej broni w trakcie dalszych walk, bowiem oddziały AK – zwłaszcza na Kresach Wschodnich i w tzw. „Polsce lubelskiej” – zostały rozbrojone przez formacje NKWD, ponadto wiele pochowanej wtedy broni zaginęło na zawsze bądź znalazło się w rękach członków oddziałów antykomunistycznego podziemia i w ostatecznym rezultacie wpadło w ręce władz bezpieczeństwa. Dla przykładu podam tylko, że – jak 18 VII 1944 r. J.W. Stalinowi raportował Ł. Beria – tego i poprzedniego dnia w wyniku rozbrojenia wileńsko-nowogródzkich oddziałów AK pod Wilnem uzyskano 3.000 karabinów, 300 pistoletów maszynowych, 50 karabinów maszynowych, 15 moździerzy, 7 lekkich działek, 12 samochodów i duże ilości granatów i amunicji. Tylko w okresie 14-25 X 1944 r. na terenie „Polski lubelskiej” formacje NKWD wykryły i skonfiskowały (bądź zdobyły w walce) 2 moździerze, 78 karabinów maszynowych, 88 pistoletów maszynowych, 418 karabinów, 124 rewolwery. Z kolei na terenie województwa białostockiego i powiatu Biała Podlaska od wkroczenia wojsk sowieckich do 12 XI 1944 r. w ręce funkcjonariuszy NKWD i innych służb sowieckich wpadło 9 moździerzy, 97 karabinów maszynowych, 1.256 karabinów, pistoletów i pistoletów maszynowych oraz wiele innego sprzętu wojskowego⁴⁴. Są to jedynie dane fragmentaryczne, dla uzyskania pełnego obrazu konieczna jest dokładna kwerenda w moskiewskich archiwach.

Oceniając ogólnie kwestię uzbrojenia, trzeba stwierdzić przede wszystkim, że na podziw i uznanie zasługują żołnierze AK próbujący wykonać nałożone nań obowiązki, przy dysponowaniu tak szczupłymi zasobami broni i amunicji. Dlatego

43. J.M. Ciechanowski, „Powstanie warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego”, Warszawa 1984, s. 87, 338; A. Borkiewicz, s. 36-38, tamże dokładne dane o stanie uzbrojenia warszawskich oddziałów AK przed wybuchem powstania; A. Przygoński, „Powstanie warszawskie w sierpniu 1944 r.”, t. I, Warszawa 1980, s. 73-74. Są pewne rozbieżności co do stanu uzbrojenia w różnych publikacjach, na przykład nieco inne ilości podane są w „Meldunku organizacyjnym nr 240” (AK, III, s. 332-333).

44. „NKWD i polskoje podpolje 1944-1945 (po ‘osobym papkam’ J.W. Stalina)”, pod red. A. F. Noskowej, Moskwa 1994, ss. 36, 44, 53-55, 79.

też – wobec bardzo słabego uzbrojenia – podejmowano głównie walkę konspiracyjną i partyzancką, dywersję i sabotaż, zdając sobie sprawę, że dysproporcje w uzbrojeniu sił polskich i niemieckich uniemożliwiają podjęcie otwartej walki. Powstanie traktowano jako zwieńczenie wysiłku zbrojnego podziemia. Anglosasi nie widzieli jednak potrzeby obfitego zaopatrywania polskiego podziemia w broń; w Polsce potrzebny był im raczej wywiad, sabotaż i dywersja, niż oddziały podejmujące powstańczą walkę. Uwzględniali bowiem szczególnie interesy polityczne najważniejszego wówczas dla nich sojusznika – ZSSR. W tej sytuacji słabość uzbrojenia była przeszkodą nie do usunięcia w realizowaniu wojskowych (powstanie powszechne, potem „Burza”) i będących ich konsekwencją politycznych celów dowództwa AK i władz polskich na obczyźnie.

Grzegorz MAZUR

Krzysztof TARKA

POLSKA HIERARCHIA A LITWINI

W Polsce mieszka kilkanaście tysięcy Litwinów. Nie ma dokładnych danych, co do ich liczebności, a szacunki wahają się od około 10 do 20 tys. (w przeprowadzanych po II wojnie powszechnych spisach ludności nie wyodrębniano kategorii „narodowość”, „mniejszość narodowa” czy „język ojczysty”).

W sposób zwarty Litwini zamieszkują niewielki obszar (około 200 km²) w północno-wschodniej części Suwalszczyzny, głównie gminy Puńsk (80% ludności), Sejny (30%) i Szypliszki (10%). Łącznie daje to około 7 tys. osób narodowości litewskiej. Jest to ludność autochtoniczna. Niewielkie, rozproszone grupy Litwinów żyją na terenie całego

kraju: w Suwałkach, Warszawie, Wrocławiu, Gdańsku, Szczecinie, Słupsku¹.

Litwini są katolikami obrządku łacińskiego. Według szacunków kościelnych na terenie diecezji ełckiej mieszka obecnie około 5,5-6 tys. wiernych, którzy chcieliby korzystać z posługi duszpasterskiej w języku litewskim².

Kwestią newralgiczną, rodzącą przez lata wiele kontrowersji, był język nabożeństw. Kilkudziesięcioletnie starania o przywrócenie litewskich nabożeństw w sejneńskiej bazylice zantagonizowały stosunki Litwinów z władzami kościelnymi (proboszczem i biskupem łomżyńskim) oraz parafianami narodowości polskiej. Napięcia między Litwinami a Polakami na terenie suwalskiego kościoła sięgają początków XX wieku. Przeszłość kładła się cieniem na współczesności. Po obu stronach pamięć o konfliktach sprzed lat wpływała na bieżącą postawę. W efekcie z pozoru drobne sprawy urastały do rangi poważnych problemów. Polacy i Litwini uparcie obstawali przy swoich stanowiskach, nie chąc zrozumieć i dostrzec racji drugiej strony. Spór zatracił racjonalny charakter, stąd tak trudno było o kompromis. Sprawa języka i miejsca nabożeństw dla jednych i drugich stała się kwestią honoru. Polacy bronili kościoła przed litwinizacją, Litwini – dopominając się o swe prawa – walczyli z polonizacją. Rugowanie języka litewskiego odczytywali jako chęć wynarodowienia ich. W Sejnach wierni narodowości litewskiej nie byli dyskryminowani jako parafianie, ale właśnie jako Litwini.

Bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej nabożeństwa w języku litewskim odprawiano w Puńsku, Sejnach i Smolanach. Nie trwało to jednak długo. Już we wrześniu 1945 r. z żądaniem zniesienia litewskich nabożeństw i kazań wystąpił kierownik Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa

1. C. Żółdowski, „Rozmieszczenie i liczebność mniejszości litewskiej w Polsce, *Zeszyty Naukowe Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego* 1992, nr 17, s. 183-185; *Rocznik statystyczny województwa suwalskiego* 1994, Suwałki 1994, s. 40-41; „Litwini w Polsce”. Z Eugeniuszem Pietruszkiewiczem, prezesem Stowarzyszenia Litwinów w Polsce, rozmawia G. Strumiłło-Miłosz, *Kultura* 1993 nr 3, s. 93-94.

2. Bp W. Ziemia, „Narodowa różnorodność bogactwem Kościoła ełckiego”, *Lithuania* 1995, nr 2 (15), s. 89.

Publicznego w Suwałkach ppor. Stasiukowski³.

Rozwiązanie problemu litewskiego władze państwowe widziały w przesiedleniu pozostałych w nowych granicach Polski Litwinów na wschód, do Związku Sowieckiego (podobnie jak Białorusinów, Ukraińców czy Rosjan). W obawie przed przymusowym wysiedleniem, znaczna część Litwinów (zwłaszcza z Sejny) podawała polską narodowość. PUBP w Suwałkach mógł więc powoływać się na formalny argument, iż zdecydowaną większość mieszkańców parafii sejneńskiej stanowią Polacy. Zresztą Litwini i tak mieli być niebawem wysiedleni⁴. W tej sytuacji litewskie nabożeństwa uważano za niepotrzebne.

W kurii biskupiej w Łomży naciski ze strony UB uznać musiano zapewne za ingerencję w wewnętrzne sprawy Kościoła i niechętnie im ulegano. Dobrą okazję do zlikwidowania litewskich nabożeństw w Sejnach stworzyła śmierć księdza Wincentego Astasiewicza. Prośby ludności litewskiej, by nowy proboszcz również znał język litewski, nie zostały przez kurię uwzględnione. W końcu 1946 r. ordynariusz łomżyński, biskup Stanisław Łukomski wyznaczył na to stanowisko księdza Józefa Złotkowskiego. Już niebawem nowy proboszcz tryumfalnie informował kurię: „W Sejnach z polecenia Najdostojniejszego Pasterza odprawia się wszystko w kościele po polsku”. W przekonaniu księdza Złotkowskiego „wszyscy Litwini rozumieją i mówią po polsku, więc nie ma trudności w porozumiewaniu się z penitentami i każdego załatwiamy, kto tylko przyjdzie”⁵. Jeszcze w 1946 r. zlikwidowano również nabożeństwa litewskie w Smolanach. Litwinom pozostały jedynie nabożeństwa w Puńsku.

Przez blisko 40 lat sejneńscy Litwini ślali petycje do biskupa łomżyńskiego, Episkopatu Polski, Wojewódzkiej

3. Archiwum Kurii Biskupiej w Elku, Nieuporządkowane akta b. Diecezji Łomżyńskiej. Parafia Sejny (dalej cyt. DŁ Sejny – K.T.), Ks. W. Astasiewicz do kurii, 20 IX 1945; tamże, PUBW w Suwałkach do kancelarii parafii suwalskiej, 5 XII 1945.

4. 22 IX 1944 r. PKWN podpisał układ z rządem Litewskiej Socjalistycznej Republiki Rad dotyczący ewakuacji obywateli polskich z terytorium LSRR i ludności litewskiej z terytorium Polski. Tekst układu: CA MSW, PKWN 5, k. 1-8.

5. DŁ Sejny, Ks. J. Złotkowski do kurii, 28 XII 1946.

Rady Narodowej w Białymstoku czy do Urzędu do Spraw Wyznań z prośbą o przywrócenie nabożeństw w ojczystym języku w miejscowej bazylice. Wprowadzeniu litewskich nabożeństw do kościoła w Sejnach przeciwna była kuria, proboszcz oraz parafianie narodowości polskiej.

W 1957 r. ordynariusz łomżyński, Czesław Falkowski polecił proboszczowi, księdzu Antoniemu Wężykowi, „zadośćuczynić” prośbom Litwinów i zorganizować ośrodek duszpasterski w... kaplicy w Żegarach⁶. Żegary położone były, co prawda, bliżej wiosek zamieszkałych przez Litwinów, ci jednak nie chcieli być parafianami „drugiej kategorii” i nalegali na wprowadzenie nabożeństw w kościele parafialnym. W całym sporze właśnie sprawa miejsca litewskich nabożeństw odegrała kluczową rolę.

Miejscowy proboszcz i biskup uważali, iż w rzeczywistości skargi Litwinów nie mają motywu religijnego. Doszukując się ich dywersyjnego charakteru obawiano się, że „mogą być inspirowane przez czynniki mało z Kościołem i religią mające wspólnego”⁷. Taka ocena wynikała z zaangażowania działaczy Litewskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego w lokalnych strukturach władzy i aparacie partyjnym. W Sejnach miano jednak do czynienia z rzeczywistym problemem. Wręcz rozpaczliwe starania Litwinów pozostawały ciągle bezowocne. Nie rezygnowali oni jednak i ślali do kurii nowe listy ze starymi postulatami, zapowiadając walkę aż do zwycięstwa.

Sprawa litewskich nabożeństw w Sejnach utknęła w martwym punkcie. Wydawało się, że wszystkie możliwości zostały już wyczerpane. Nieoczekiwanie, w sierpniu 1969 r. zagadnieniem zainteresował się osobiście Prymas, kardynał Stefan Wyszyński (w ubiegłych latach Sekretariat Prymasa Polski odsyłał prośby Litwinów bez komentarza do kurii łomżyńskiej, do wiadomości i rozpatrzenia).

W marcowym numerze paryskiej *Kultury* z 1969 r.

6. DŁ Sejny, Bp A. Mościcki do proboszcza w Sejnach ks. A. Wężyka, VIII 1957.

7. DŁ Sejny, Bp A. Mościcki do arcyb. poznańskiego A. Baraniaka, 24 VIII 1964.

ukazał się krótki artykuł „Dyskryminacja mniejszości narodowych w PRL”. Nieznany autor, ukrywający się pod pseudonimem Obserwator, pisał m.in.: „W ciągu ostatnich kilku lat pojawiła się nowa forma dyskryminacji mniejszości narodowych, stosowana przez polską hierarchię Kościoła Rzymsko-Katolickiego”. Dodawał on, iż „Kościół polski, który na świecie miał opinię obrońcy wolności, praw człowieka i ideałów równości i braterstwa, wskutek swej nieprzemyślanej polityki, dyskryminującej wiernych z mniejszości narodowych, może przyczynić się do dalszego spadku prestiżu Polski”. Jako przykład dyskryminacji podano m.in. sytuację Litwinów w Sejnach⁸.

W związku z artykułem w *Kulturze* Sekretariat Prymasa Polski 26 sierpnia 1969 r. zapytywał biskupa łomżyńskiego „czy nie można by tam [w Sejnach – K.T.] zorganizować nabożeństw litewskich?”⁹.

Sprawa doszła do sejneńskiego proboszcza. W piśmie do kurii z początku września ksiądz Stanisław Rogowski wyjaśniał, że podczas jego pracy duszpasterskiej w Sejnach „zaznacza się coraz większe braterstwo parafian. Nie podkreśla się różnic narodowościowych, a praca parafialna jest oparta na miłości człowieka”. Dodawał, że we wszystkich parafialnych uroczystościach licznie wspólnie uczestniczyli wierni obu narodowości. Litwini na równi z Polakami mogli korzystać z sakramentów (spowiedź, chrzest, małżeństwo), a dzieci objęte były nauką religii „bez żadnego wyróżnienia pod względem narodowości” (czyli w języku polskim). Proboszcz podał nawet przykład tolerancji: „Księża nie wymagają znajomości pacierza w języku polskim, jeżeli dzieci umieją po litewsku”¹⁰.

Sejneńscy duszpasterze nie dostrzegali dyskryminowania parafian narodowości litewskiej przez Kościół. Sytuację oceniali jako dobrą. Podkreślali, iż „Litwinów traktuje się w

8. Obserwator, „Dyskryminacja mniejszości narodowych w PRL”, *Kultura* 1969 nr 3, s. 70-71.

9. DŁ Sejny, Sekretariat Prymasa Polski do bpa A. Mościckiego w Łomży, 26 VIII 1969.

10. DŁ Sejny, Ks. S. Rogowski do kurii, 4 IX 1969.

parafii bardzo życzliwie”, a ogromnej większości z nich wystarczają nabożeństwa w języku polskim. Kolejny raz powtarzali chybiony argument, że wprowadzenia języka litewskiego domagali się wyłącznie wrogowie Kościoła: „Wystąpienia w sprawie wprowadzenia języka litewskiego do Kościoła są nieliczne i czynione na skutek propagandy Towarzystwa Litewskiego w Sejnach [LTS-K – K.T.], które ma charakter wybitnie ateistyczny, jak również na skutek agitacji pewnych czynników, którym zależy na rozbijaniu jedności parafialnej”. Księża pracujący w parafii zapewniali kurię, że „Dzieci i młodzież pochodzenia litewskiego w swoim narzeczu [!], dalekim od języka literackiego, nie rozumieją słownictwa kościelnego, natomiast doskonale znają język polski i chętnie biorą udział w katechizacji parafialnej. Nieliczne wyjątki są jedynie wtedy, gdy rodzice są nastawieni szowinistycznie, lub są ateistami”. Kolejny raz przestrzegali też kurię, iż „wprowadzenie języka litewskiego do Kościoła byłoby niecelowe, a wręcz szkodliwe dla życia religijnego. Jedność rodziny parafialnej byłaby zachwiana, wróciłyby dawne nieporozumienia, nastąpiłoby rozbiecie parafian na dwie grupy wzajemnie niechętne, a nawet wrogie”¹¹.

Po zebraniu opinii od sejneńskich księży biskup Aleksander Mościcki, wikariusz kapitulny diecezji łomżyńskiej, zapewnił 8 września 1969 r. Sekretariat Prymasa Polski, iż w Sejnach „jest spokój”. Tylko „niewielka grupa ludzi, kierowana z zewnątrz (...) kierując się nie pobudkami religijnymi, a politycznymi domaga się wprowadzenia języka litewskiego równoległe do języka polskiego w Kolegiacie Sejneńskiej”. Biskup stanowczo przed tym ostrzegął, gdyż zniszczy to „jedność parafialną, ponownie wywoła walkę narodowościową w terenie i gorszące awantury w kościele, widownią jakich była Katedra Sejneńska w przeszłości”¹². Sprawa wróciła więc na dawne tory. W sporze wokół litewskich nabożeństw artykuł Obserwatora nie był epizodem bez znaczenia. Być

11. DŁ Sejny, Księża z Sejn, Wyjaśnienia z terenu parafii Sejny dla kurii, 8 IX 1969.

12. DŁ Sejny, Bp.A. Mościcki do Sekretariatu Prymasa Polski, 8 IX 1969.

może po raz pierwszy Episkopat poważniej zainteresował się sytuacją w Sejnach.

Litwini jednak nie rezygnowali. Trwające blisko trzy dziesięciolecia zabiegi o wprowadzenie mszy w języku litewskim w Sejnach przyniosły wreszcie skutek, choć połowiczny. W lipcu 1973 r. nowy biskup łomżyński, Mikołaj Sasinowski, wydał dekret, na mocy którego poewangelicki kościółek Najświętszej Marii Panny w Sejnach formalnie przeznaczono dla ludności litewskiej¹³. Rubikon został przekroczony. Litwini nie zadowolili się takim rozwiązaniem, uważając je za przejaw dyskryminacji narodowościowej i stanowczo obstawali przy nabożeństwach w kościele parafialnym. Zbierali się w bazylice i bezpośrednio po zakończeniu mszy w języku polskim śpiewali litewskie pieśni religijne. Dla Litwinów (i Polaków także, choć z innych względów) samo miejsce (bazylika a nie kościół filialny) w całym sporze miało kluczowe znaczenie. Litwini czuli się pokrzywdzeni niedopuszczaniem nabożeństw w ich ojczystym języku do kościoła parafialnego. Świadczyli przecież finansowo na jego utrzymanie, brali udział w remontach. Pertraktacje z proboszczem i biskupem ciągle nie przynosiły upragnionego rezultatu.

Konflikt w Sejnach dawno przestał być sprawą lokalną. Informacje o nim dotarły nawet do kurii rzymskiej. Latem 1976 r. w Sejnach zjawił się ksiądz Władysław Kozłowski, pracujący w Radiu Watykańskim¹⁴. Nieoficjalny papieski delegat miał się chyba naocześnie zorientować w sytuacji. Mógł się przekonać o potrzebie wprowadzenia języka litewskiego do sejneńskiej bazyliki. Nie był to tylko problem kilkunastu litewskich „szowinistów”, jak uparcie sprawę przedstawiał proboszcz czy ordynariusz łomżyński.

W drugiej połowie lat 70. do kurii łomżyńskiej zaczęły napływać listy od emigrantów i organizacji litewskich ze Stanów Zjednoczonych, Kanady, Australii, Wielkiej Brytanii

13. Sprawę litewskich nabożeństw w Sejnach obszernie wyjaśniał wikariusz generalny kurii łomżyńskiej w liście do Z. Rzewskiego, 16 II 1976: DŁ Sejny.

14. DŁ. Sejny, Ks. S. Rogowski do bpa M. Sasinowskiego, 20 VII 1976.

oraz Niemiec, w których dopominano się przywrócenia litewskich nabożeństw w sejneńskiej bazylice. Biskup Sasinowski pozostał nieczuły na argumentację Litwinów. Podkreślał, iż msze w języku litewskim odprawia się przecież w Sejnach, a także w Żegarach, Puńsku i Smolanach. Dowodził, iż problem „samego miejsca odprawiania nabożeństw jest mniejszej rangi. Uparto zatem stawianie sprawy miejsca należy raczej do kategorii żądań niepoważnych”¹⁵. Długoletni spór świadczył, że było wprost przeciwnie. Miejsce nabożeństw (bazylika sejneńska) dla wszystkich stron: Litwinów, Polaków i władz kościelnych, miało wręcz kluczowe znaczenie. Nie mniej istotny był również jego symboliczny sens.

Po latach „walki” biskup Sasinowski nie zdobył się na gest. Dopiero objęcie diecezji łomżyńskiej przez biskupa Juliusza Paetza przyniosło przełom w Sejnach. Nowy ordynariusz nie był emocjonalnie ani osobiście skrupowany długoletnim sporem. Niewątpliwie ułatwiało mu to podjęcie decyzji o przywróceniu litewskich nabożeństw w bazylice. Litwini musieli na to czekać blisko 40 lat! Zmieniało się również nastawienie polskich parafian. Pamięć o wzajemnych konfliktach w minionych dziesięcioleciach, zwłaszcza o walkach w latach 1919-1920, powoli, w sposób naturalny, przestawała rzutować na bieżące wydarzenia.

Stałe msze w języku litewskim wprowadzono do kościoła parafialnego w Sejnach z dniem 16 października 1983 r. (w piątą rocznicę pontyfikatu Jana Pawła II). Duszpasterzem Litwinów sejneńskich został ksiądz Jan Jerzy Macek, proboszcz w Smolanach, Polak dobrze znający język litewski. W niedzielę i święta odprawiał on jedną mszę w sejneńskiej bazylice. Do jego obowiązków należało również słuchanie spowiedzi oraz przeprowadzanie chrztów, małżeństw i pogrzebów dla katolików narodowości litewskiej¹⁶.

W związku z wprowadzeniem litewskich nabożeństw ordynariusz łomżyński w liście do parafian sejneńskich

15. DŁ Sejny, Bp M. Sasinowski do Litwina z USA, 3 VI 1977. W drugiej połowie lat 70. na adres kurii łomżyńskiej i Episkopatu Polski nadeszło kilkadziesiąt (około 50) listów od emigrantów litewskich.

16. DŁ Sejny, Protokół ustaleń w sprawie duszpasterstwa wiernych narodowości litewskiej w parafii Sejny, 4 X 1983.

podkreślił: „Każdy naród i każda część narodu, nawet najmniejsza, żyjąca pośród innego narodu i wspólnie z innym narodem, posiada niezbywalne prawo, by wyrażać swą wiarę, by czcić i chwalić Boga we własnym, rodzimym języku – w języku swoich ojców i praojców. Ma to prawo również i wtedy, kiedy doskonale zna język narodu pośród którego żyje, z którym wspólnie żyje, dzieląc z nim wszystkie radości życia, jego troski, nadzieje”. Zaakcentował również znaczącą rolę papieża w podjęciu decyzji o wprowadzeniu litewskich mszy w Sejnach¹⁷.

Ustanowienie litewskich nabożeństw nie wywołało – wbrew obawom proboszcza i biskupa z ubiegłych lat – niepokojów w kościele i rozbitcia w parafii. Litwini wreszcie mogli się też poczuć jak równoprawni członkowie wspólnoty.

Krzysztof TARKA

17. DŁ Sejny, Słowo pasterskie biskupa łomżyńskiego J. Paetza do parafian sejneńskich na niedzielę 9 X 1983.

Marek RUDZKI

WINIETKI OKUPACYJNE (II)

PACYFIKACJA NAŁĘCZOWA

Prolog

Pacyfikacja Nałęczowa w lipcu 1943 jest następną winietką okupacyjną wartą opisanie i zapamiętania. Dramatyczne wydarzenia tego dnia, toczące się wokół osoby mego wuja, adwokata Adama Nagórskiego, nadawać by się mogły na scenariusz filmowy. Wypadki, które miały miejsce po pacyfikacji, dają okazję do przedstawienia działalności hr. Maurycego

Potockiego, a w tym wypadku zwłaszcza jego przyjaciela, Pętkowskiego, na rzecz ofiar niemieckich prześladowań. Działalność ta jest mało znana. Moje wspomnienie, ograniczone do jednego, dobrze udokumentowanego przykładu, stanowi przyczynek dla przyszłego historycznego opracowania tematu.

Maurycy Potocki miał przed wojną liczne kontakty z wysoko postawionymi w nazistowskiej hierarchii Niemcami, którzy odwiedzali Polskę. Gościł w Jabłonnie zapraszanego na polowania Göringa. Potocki usiłował wykorzystywać te kontakty w latach wojennych dla niesienia pomocy osobom aresztowanym. O akcji Potockiego pisze w swoich wspomnieniach Stanisław Wachowiak¹. Potocki odwiedził Göringa w Berlinie na samym początku okupacji. Według informacji Wachowiaka, wizyta ta nie przyniosła oczekiwanych skutków, ale inne stosunki pozwalały na interwencje w Gestapo, które dawały czasem pozytywne rezultaty. Prawą ręką Potockiego był ziemianin z poznańskiego, Pętkowski. Wachowiak wyraża się o nim z pewną niechęcią, nie uzasadnioną żadnymi konkretnymi faktami². Trzeba tu odnotować, że sądy Wachowiaka o ludziach, z którymi miał styczność, są bardzo subiektywne i mogą być niesprawiedliwe. W odniesieniu do osoby Pętkowskiego, nie podzielam jego opinii.

Moje informacje na temat działalności Potockiego i Pętkowskiego, opierają się na ustnych relacjach Adama Nagórskiego, udokumentowanych w ostrożnie pisanych dziennikach³. Pętkowskiemu udało się nawiązać niezwykle pożyteczny kontakt z bardzo wysokim funkcjonariuszem, czy wręcz szefem lubelskiego Gestapo, Müllerem. Mimo zajmowanego stanowiska, Müller należał do opozycji, był przeciwnikiem polityki terroru, zwalniał wielu ludzi z lubelskich więzień, z Zamku i Majdanka. Pętkowski miał z nim częste spotkania w roku 1943, a może również wcześniej. Adam Nagórski był dobrym znajomym Maurycego Potockiego przed wojną,

1. *Zeszyty Historyczne*, nr 77 i 78.

2. *Zeszyty Historyczne*, nr 78, str. 158.

3. Dzienniki Adama Nagórskiego są w posiadaniu autora. Niestety ani Wachowiak, ani Nagórski, nie podają jak Pętkowski miał na imię.

przyjmował go w swojej willi w Juracie i odwiedzał w Jabłonie. W czasie okupacji należał do tych, którzy przekazywali Potockiemu i Pętkowskiemu prośby o konkretne interwencje. W dzienniku jest wiele notatek o rozmowach w biurze Maurycego przy Mazowieckiej lub w Jabłonie. Jeszcze bliższą współpracę nawiązał Adam Nagórski z Pętkowskim. Dzieląc czas między Warszawą a Nałęczowem, wykorzystywał lubelskie możliwości Pętkowskiego dla ratowania osób aresztowanych w tym rejonie. Wielokrotnie spotykali się w Warszawie i Lublinie. Kulminacją tych wysiłków była na szeroką skalę prowadzona akcja na rzecz nałęczowian, wywiezionych na Majdanek w rezultacie pacyfikacji.

Pacyfikacja

W lipcu 1943 r. mieszkaliśmy w nałęczowskiej willi „Zacisze”, wyrzuceni rok wcześniej z zajętej przez Niemców, własnej willi⁴. W czasie opisywanych tu wydarzeń, poza mną i moim młodszym bratem Adamem, w domu byli moja matka, wuj Adam Nagórski, babka Walentyna Nagórska i nasza nieoceniona gosposia, a dawniej wychowawczyni, panna Janina Michalak. To ona właśnie obudziła nas o 6-tej rano tego pamiętnego dnia 15 lipca 1943: „Pacyfikacja! Nałęczów i okolice otoczone przez wojsko. Aresztują wszystkich mężczyzn”. Ubraliśmy się szybko. Mnie kazano włożyć krótkie spodnie, żebym wyglądał jak najdziecinniej. Skończyłem właśnie 14 lat. W napięciu oczekiwaliśmy pojawienia się Niemców. Dopiero koło 10-tej wszedł do naszej willi jeden tylko młody żołnierz z oddziału SS, który przeprowadzał akcję. Wuj Adam miał nadzieję, że może uda mu się uniknąć aresztowania i zaproponował Niemcowi kieliszek wódki. Żołnierz chętnie skorzystał z zaproszenia, usiadł przy stole, wypił wódkę, zjadł jakąś małą zakąskę. Stałem obok, kiedy niedbale oparty o stół pistolet maszynowy runął z trzaskiem na ziemię. Szczęśliwie był zabezpieczony. Cała wizyta nie

4. Marek Rudzki, „Winiетки okupacyjne”, *Zeszyty Historyczne*, nr 114.

wyglądała specjalnie groźnie. Wkrótce jednak Niemiec wstał od stołu, podziękował i zwrócił się do wuja: „A teraz muszę zabrać Pana ze sobą”. „Czy naprawdę Pan musi?” „Taki mam rozkaz”. Aresztowanych mężczyzn trzymano w ogrodzie willi przy alei Lipowej, w której mieściła się gmina, blisko „Zacisza”. Na ulicy wystawiono posterunki z karabinami maszynowymi.

Zbiegiem okoliczności, w dniu nałęczowskiej pacyfikacji, Pętkowski przyjechał do Lublina i miał poranną konferencję z Müllerem w budynku Gestapo. Jak potem opowiadał wujowi, Müller w pewnym memencie powiedział: „Będzie Pan miał dużo roboty, odbywa się właśnie pacyfikacja Nałęczowa, spodziewam się licznych aresztowań”. Pętkowski zaniepokoił się o wuja Adama, wiedział, że miał być tego dnia w Nałęczowie. Zapytał, czy Adamowi Nagórskiemu zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo. „Jeśli będzie opór zbrojny, jeśli zginie choć jeden Niemiec, nastąpi egzekucja” – odpowiedział Müller. „Wyślę więc samochód z nakazem aresztowania Pana przyjaciela i przywiezienia go na ważne przesłuchanie do Lublina. W ten sposób uniknie ewentualnej egzekucji. Rano go przesłucham i zwolnię”. W rezultacie tej rozmowy, czarny samochód z dwoma gestapowcami wyruszył wkrótce do Nałęczowa.

Ogród przy gminie zapełniał się coraz większą ilością aresztowanych. Dowódca akcji, pułkownik SS, zażądał od burmistrza Stanisława Ciechomskiego by przydzielił mu tłumacza. Ciechomski wybrał Adama Nagórskiego i w ten sposób wuj znalazł się nieoczekiwanie w gabinecie, który zajmował pułkownik. Był on typowym niemieckim oficerem, z monoklem w oku i bliznami na twarzy, po studenckich pojedynkach. Po chwili zapytał wuja: „Skąd mówi Pan tak dobrze po niemiecku?” „Jestem doktorem prawa z Heidelbergu”⁵. „Ja również” – odpowiedział pułkownik. W tym momencie, jak opowiadał wuj, zmieniła się zupełnie atmosfera. „Przestał traktować mnie jak więźnia, rozmawiał jak z dawnym kolegą uniwersyteckim”. Rozmowa zesła na tematy polityczne. Pułkownik ubolewał, że Polacy i Niemcy po-

5. Rok 1910.

zostają w konflikcie, zamiast wspólnie stawiać czoło grożącemu obu narodom straszemu niebezpieczeństwu ze wschodu. Wuj Adam prowadził dyskusję dyplomatycznie, ale podkreślił, jak trudno jest myśleć o jakiegokolwiek współpracy po czterech blisko latach ciężkiej okupacji, po tak wielu akcjach podobnych do tej, która właśnie ma miejsce.

Samochód z lubelskimi gestapowcami pojawił się w nałęczowskiej alei Lipowej w tym właśnie czasie. Gestapowcy zapytać musieli kogoś o adres Adama Nagórskiego. Każdy wiedział gdzie naprawdę mieszkamy, lecz skierowano ich do willi z której byliśmy wysiedleni. Opowiadał nasz wieloletni dozorca, Bronisław Ciozda, który w willi pozostał, że pytali o wuja Adama. „Powiedziałem, że Pan mecenas wyjechał na stałe do Warszawy, że nie znam adresu”. Niemcy zrezygnowali z dalszych poszukiwań, ale wstąpili do budynku gminy, gdzie odbyć musieli rozmowę z dwoma cywilnymi agentami Gestapo, przydzielonymi do grupy SS od początku operacji. Wysłannicy Müllera poinformowali ich, że niejaki Adam Nagórski, wyjątkowo niebezpieczny, jest specjalnie poszukiwany przez szefa lubelskiego Gestapo. Gdyby natrafili na jego ślad, mają go aresztować i odstawić do Lublina. Sami odjechali i zameldowali Müllerowi, że Nagórskiego nie udało się znaleźć.

Pozostali w Nałęczowie gestapowcy zadziałali sprawnie. Sprawdzili zapewne listę aresztowanych. Stwierdzili, że poszukiwany przez Lublin Nagórski znajduje się wśród zatrzymanych mężczyzn i że zdołał już nawet infiltrować otoczenie samego komendanta. Wkroczyli do gabinetu, oświadczyli że Adam Nagórski jest teraz więźniem Gestapo i kazali się zaprowadzić do domu, na rewizję. Stałem na ganku, kiedy cywilni gestapowcy przyprowadzili wuja. Wtedy dopiero powiało grozą. Udali się wprost do jego pokoju, gdzie za zamkniętymi drzwiami przeprowadzili rewizję, choć oczywiście nie mieli pojęcia czego mają szukać. Wyszli z wujem po kilkunastu minutach. Wynosili jakieś papiery, wśród nich ten sam dziennik z którego korzystam pisząc obecne wspomnienie. Przechodząc przez pokój babki wuj zwrócił się do niej: „Żegnaj, Masiu”. Wbiegłem do pokoju zaraz po ich wyjściu. Wiedziałem, że w szufladzie z apteczką

jest mydło do golenia, a w nim ukryty cały nasz ówczesny majątek – kilka złotych rublowych monet. Za ich posiadanie groziła kara śmierci. Znaleźli, czy nie znaleźli? Zawartość szuflady była w nieładzie („Sind Sie krank?” – pytali Adama gestapowcy) ale mydło leżało nie naruszone. Zabrałem je i ukryłem na najodleglejszym strychu w takich zakamarkach, że wiele potrzeba było potem wysiłków by je odnaleźć. Rozumowałem, że następna rewizja może nastąpić w każdej chwili.

W międzyczasie operacja niemiecka przeniosła się z gminy do budynku szkoły powszechnej przy ulicy Prusa. Tam przeprowadzono aresztowanych i tam podjechały ciężarówki. Wuja Adama eskortowali gestapowcy do tego właśnie budynku. Kazali mu iść naprzód, sami szli parę kroków z tyłu, z rewolwerami w ręku. Wuj myślał, że go pewno na tej pustej ulicy Prusa zastrzelą. W dużej sali na pierwszym piętrze zgromadzeni byli aresztowani. Pułkownik wydawał rozkazy, decydował kto ma być dokąd wywieziony. Nie zarządził egzekucji, bo nie było zbrojnego oporu, choć jak potem opowiadano, kilku mężczyzn z bronią w ręku pozostało w ukryciu; gotowi byli broni tej użyć gdyby ich wykryto. W pewnym momencie jeden z gestapowców uderzył wuja Adama w twarz. Pułkownik zerwał się oburzony i w ostrych słowach przywołał agenta Gestapo do porządku. Aresztowanych było około 200 mężczyzn. Wszyscy załadowani zostali do ciężarówek i przewiezieni do obozu na Majdanku. Wyjątek stanowili urzędnicy gminy, z burmistrzem Ciechomskim na czele, których pułkownik skierował do więzienia w Kazimierzu. Pozostał tylko Adam Nagórski, „specjalny więzień Gestapo”. „Pan Nagórski jest wolny!” – oświadczył pułkownik SS, „kolega” z Heidelbergu. Obaj gestapowcy zerwali się na równe nogi. Tłumaczyli, że jest on poszukiwany przez lubelskie Gestapo, przez samego Müllera. Pułkownik odpowiedział: „Ja tutaj dowodzę i powtarzam – Herr Nagórski ist frei”. Kazał oddać zabrane przy rewizji papiery i wręczył wujowi klucze od opustoszałej gminy. Pożegnał się, zasalutował i opuścił salę wraz z innymi Niemcami. Adam Nagórski pozostał sam.

Po wyprowadzeniu wuja z „Zacisza”, matka szybko zorientowała się dokąd go zabrano. Ogrodami przedostała się

na teren szkoły i weszła do parterowego mieszkania dyrektora, Władysława Ozgi. On sam już się w tamtych czasach ukrywał. Mamę przyjęły żona i córka, urocza Basia, moja koleżanka na tajnych kompletach, w której potajemnie się kochałem. Mama stanęła przy oknie i obserwowała ładowanie więźniów! Nie widziała wśród nich wuja Adama, ale trudno było wszystkich zobaczyć. Po jakimś czasie odjechały przeładowane ciężarówki, a za nimi formacje SS i cywilni agenci Gestapo. Pacyfikacja Nałęczowa była zakończona.

Czy jednak wszyscy odjechali? Z górnej sali szkoły dochodziły miarowe kroki, ktoś spacerował tam i z powrotem. Wuj obawiał się wyjść. Może jego prześladowcy pozostali, może czyhają gdzieś na niego i zastrzelą przy „próbie ucieczki”? Matka weszła powoli na górę. Uchyliły się drzwi w których ukazał się wuj Adam. „Nie ma Niemców?” „Nie ma!” Padli sobie w ramiona.

Akcja na rzecz więźniów Majdanka

Już następnego dnia wrócił z więzienia Gestapo w Kazimierzu sekretarz gminy, Niemkiewicz. Burmistrz Stanisław Ciechomski zwolniony został 20 lipca, a dwa dni później powróciło z Majdanka 13 spośród aresztowanych nałęczowian. Reszta pozostawała w obozie, a członkom rodzin, którzy jeździli do Lublina, nie udawało się nawiązać z nimi żadnego kontaktu. Atmosferę, która wtedy panowała w Nałęczowie, najlepiej oddaje notatka w dzienniku Adama Nagórskiego z niedzieli 18 lipca: „Po śniadaniu idę z chłopcami do kościoła. Na mszy przeważają kobiety. Gdy ksiądz wzywa, aby ludzie sobie wzajemnie pomagali, zwłaszcza teraz, w czasie żniw, gdy tylu mężczyzn brak, rozlegają się ciche, a potem coraz głośniejsze łkania”.

W tydzień po pacyfikacji, 22 lipca, Pętkowski przekazał wujowi Adamowi wiadomość z Warszawy, że udaje się do Lublina i wstąpi po niego samochodem do Nałęczowa. Przez kilka dni wuj czekał nie wychodząc z domu, ale Pętkowski nie pojawił się. Pojechał wobec tego dwukrotnie do Lublina, 26 i 29 lipca, mając nadzieję, że tam go zastanie. Podróż

odbywał chłopską furmanką, bo nie posiadając policyjnej przepustki kolejowej, nie mógł korzystać z pociągu. Pętkowskiego nie było, przyszła natomiast wiadomość, że ciężko zachorowała jego córka w Warszawie. Wuj Adam wrócił do Nałęczowa. W dniu 4 sierpnia pisze w dzienniku: „Koło 8-ej przychodzi dawna nasza robotnica ogrodowa Turkowa z Chruszczowa, a potem cały szereg interesantów z Charza [wsie w okolicy Nałęczowa]. Proszą mnie o napisanie w języku niemieckim podań o zwolnienie mężczyzn zatrzymanych 15 lipca. Z podaniami tymi idą do gminy. Zajęty jestem tymi podaniami cały dzień”.

Spotkanie z Pętkowskim nastąpiło w Lublinie następnego dnia, 5 sierpnia. Adam Nagórski zanotował: „Z Pętkowskim długo bardzo konferuję”. Zapewne wtedy wuj Adam dowiedział się, że prawdziwą przyczyną jego aresztowania przez gestapowców była próba ratowania go przed ewentualnymi konsekwencjami pacyfikacji. Następnego dnia Pętkowski miał spotkanie z Müllerem. Adam notuje 6 sierpnia: „Pętkowski załatwił sprawy pomyślnie”. Wiem z relacji wuja Adama – nie pisał o tym w dzienniku, który w każdej chwili mógł się znów znaleźć w rękach Gestapo – że Müller obiecał stopniowo zwolnić wszystkich więzionych na Majdanku nałęczowian. Podkreślił jednak, że musi otrzymać indywidualne podania o zwolnienie każdego z aresztowanych. Podania, podpisane przez członka rodziny, mają być w języku niemieckim i zawierać uzasadnienie prośby o zwolnienie. Przy okazji, Pętkowski załatwił dla wuja Adama kolejową przepustkę, dzięki czemu mógł 7 sierpnia wrócić do Nałęczowa pociągiem, a wkrótce potem pojechać do Warszawy.

Teraz dopiero rozpoczęła się na dobre akcja pisania podań. Od samego ranka 8 sierpnia przychodziły do „Zacisza” kobiety z Nałęczowa i okolicznych wsi objętych pacyfikacją. Pamiętam doskonale, jak wuj Adam siedział na południowej werandzie przy starej maszynie do pisania, rozmawiał ze swymi interesantkami i pisał jedno podanie za drugim. Jak można wnosić z dalszych notatek Adama Nagórskiego, podania doręczał Pętkowskiemu, który przekazywał je Müllerowi osobiście. Wśród interesantek były często osoby bardzo proste, bardzo nieszczęśliwe. Cytuję notatkę z 8

sierpnia: „Jedna z kobiet, której jedynego syna zabrano, ze łzami skarży się na swój los i wzrusza nas powiedzeniem, że ma pustkę w domu i ‘aby z tymi świętymi rozmawiam, co wiszą na ścianie’”.

W większości wypadków interesantki nie przychodziły z pustymi rękami. Wieś była wtedy względnie zamożna, przynajmniej jeśli chodzi o produkty żywnościowe. Były więc koszyki i kobiałki z osetkami masła, jajkami, miodem, kiełbasą, kurami. Wuj jednak zapowiedział stanowczo, że żadnego honorarium za napisanie podania nie bierze. Bolała nad tym bardzo nasza panna Janina. Nie powodziło nam się wtedy zbyt dobrze i kuchnia, choć nie głodowa, była skromna; mięso i masło stanowiły rzadkość. A tu tyle się marnowało dobra! Kobiety czekały swojej kolejki w kuchni, w towarzystwie panny Janiny, trudno więc się dziwić, że czasem wracały jednak do domu z pustawymi kobiałkami. Zdarzało się, że Ninka, bo tak ją nazywaliśmy, dyskretnie wołała brata i mnie i wręczała pajdę chleba grubo posmarowaną masłem i miodem, albo spory kawałek kiełbasy. Pamiętam, jak podczas jednego z obiadów pojawiła się na półmisku wspaniała pieczona kura. „Panno Janino, skąd ta kura?” – groźnym głosem zapytał wuj Adam. Biedna Ninka gęsto się tłumaczyła, choć wszyscy domyślaliśmy się prawdy. Kura była pyszna.

W dniu 10 sierpnia Adam Nagórski pojechał do Warszawy i następnego dnia spotkał się z Maurycym Potockim w jego restauracji przy Mazowieckiej⁶, a dwa dni później z Pętkowskim, z którym omawiał następne spotkanie w Lublinie. Pojechał tam 16 sierpnia. Pod datą 17 sierpnia notuje: „Spotykam na mieście sędziego [Michała] Tarkę [nałęczowianina] i dowiaduję się od niego, że w Nałęczowie wszystko w porządku, ale nikt z zatrzymanych 15 lipca nie powrócił”⁷. Pętkowski przyjechał do Lublina tego dnia późnym popołudniem i odbył wieczorną konferencję z Adamem. Następnego dnia, 18 sierpnia, wuj Adam spędził z nim cały dzień. Spotkali przypadkowo Tadeusza Dąbrowskiego z RGO, z

6. Wachowiak błędnie umiejscawia restaurację Potockiego przy Nowym Świecie. *Zeszyty Historyczne*, nr 78, str. 157.

7. Z wyjątkiem 13 zwolnionych bezpośrednio po pacyfikacji.

którym Pętkowski odbył konferencję. Na noc pojechali obaj do majątku Garbów pp. Broniewskich. Kulminacja tego lubelskiego spotkania miała miejsce 19 sierpnia. Adam pisze: „Pętkowski idzie na krótką konferencję, potem znów się spotykamy i chodzimy po mieście. Szukamy dla niego okazji samochodowej na powrót do Warszawy. Spotykamy Jana Zamoyskiego, obecnego ordynata. Razem z Józim [Makarewiczem, kuzynem Adama] odprowadzamy Pętkowskiego, który ma udaną konferencję. Czekamy na niego w Ogrodzie Saskim”. Była to niewątpliwie następna rozmowa z Müllerem, podczas której Pętkowski wręczył mu przywiezione z Nałęczowa podania. Lubelskie Gestapo mieściło się w alejach Racławickich, blisko Saskiego Ogrodu. „Przed 2-gą wracamy do miasta i idziemy razem na obiad do Karwowskiej. Pętkowski zaraz potem ma jechać samochodem [do Warszawy]. Ja jadę kurierem o 4.26 do Nałęczowa”.

Następne kilka dni w Nałęczowie wypełnione znów były przyjmowaniem interesantek i pisaniem dalszych podań. Pod datą 24 sierpnia Adam zanotował: „Chłopi nałęczowscy nie wracają z Lublina, pomimo oczekiwań, że wrócą nareszcie”. Przebija z tej notatki niecierpliwość i rozczarowanie, że wciąż nie ma żadnych rezultatów „udanej” konferencji. Następnego dnia Adam Nagórski pojechał do Warszawy. Z Pętkowskim widział się w restauracji Potockiego 27 sierpnia, a kilka dni później ustalał z nim szczegóły następnego wyjazdu do Lublina. Wrócił do Nałęczowa 31 sierpnia. Zanotował tego dnia: „Dowiaduję się, że w zeszłą środę [25 sierpnia], zaraz po moim wyjeździe, wróciło do Nałęczowa z Majdanka 90 mężczyzn aresztowanych w owym pamiętnym dniu 15 lipca. Zostało jeszcze około 70”. Lubelska konferencja Pętkowskiego okazała się więc jednak udana. Zwolnienie dużej grupy więźniów nastąpiło w pięć dni po spotkaniu z Müllerem. Decyzja musiała nastąpić natychmiast, biorąc pod uwagę czas potrzebny na administracyjne formalności. Można sądzić, że zwolniono tych, których podania znalazły się w ręku Müllera.

Umówiony z Pętkowskim, Adam Nagórski czekał w Nałęczowie na jego przyjazd, ale Pętkowski się nie zjawił. W dniu 3 września Adam pojechał do Lublina z nowymi podaniami. „Ze zdziwieniem dowiaduję się, że Pętkowskiego

nie ma". Oczekiwał go tam, bez skutku, przez kilka dni. Czekanie na Pętkowskiego bywało czasem jak czekanie na Godota, z tą tylko różnicą, że w końcu Pętkowski się jednak pojawił, a rezultaty były pozytywne. W dniu 6 września Adam zanotował: „Na mieście spotykam paru chłopów z Nałęczowa, którzy przywieźli paczki dla synów nie wypuszczonych jeszcze z Majdanka. Mają ich podobno niebawem zwolnić". Wrócił do Nałęczowa 8 września i zaraz tego popołudnia udał się w poszukiwaniu Pętkowskiego do Warszawy. Następnego dnia, 9 września, „przez telefon dowiaduję się, że Pętkowski wczoraj pojechał do Lublina. Wobec tego muszę zaraz jechać z powrotem". Wyruszył z Warszawy tego samego dnia: „Przed przyjazdem osobowego pociągu zajeżdża na peron kurier dla Niemców. Od Zugführera dostaję pozwolenie jazdy i mam wygodną podróż. Obiad jem w wagonie restauracyjnym". W ten sposób teczka z podaniami wróciła do Lublina bezpiecznie, bez ryzyka częstych na tej trasie rewizji. Pętkowski wyjechał na noc do jednego z okolicznych majątków. Dopiero 10 września „przed 11-tą spotykam się wreszcie z Pętkowskim. Spacerujemy po mieście i w alejach Racławickich. Prolonguję swoją przepustkę [kolejową] i dostaję oddzielną dla Waluni [moja matka; brat i ja byliśmy włączeni do tej przepustki]". Było to więc kolejne spotkanie Pętkowskiego z Müllerem, podania zostały doręczone. Po wspólnym obiedzie Pętkowski odjechał do Warszawy, a wuj Adam wrócił do Nałęczowa. Przepustka dla matki wzbudziła w domu radość i sensację. Już następnego dnia pojechaliśmy z mamą do Warszawy. Zdawałem wtedy pierwszą część egzaminów na małą maturę. Wuj Adam został w Nałęczowie. Teraz dopiero zaczął odpoczywać po trudach ostatnich tygodni, miał poczucie dokonanej misji.

W dalszych notatkach w dzienniku Adama Nagórskiego nie ma już wzmianki o nałęczowskich więźniach. Zwolnienia następowały stopniowo na przestrzeni września. Wiem, że wypuszczeni zostali wszyscy, z wyjątkiem kilku, którzy zmarli na Majdanku. Potwierdza to Michał Tarka⁸. Tarka przypuszcza, że do zwolnienia więźniów przyczynić się mógł „nowy

8. Michał Tarka, „Dzieje Nałęczowa", Nałęczów 1989, str. 159.

kurs” lubelskiego gubernatora Wendlera, który 2 sierpnia przyjął delegację lubelskiego RGO. Tarka nie mógł wiedzieć o interwencjach Pętkowskiego u Müllera. Być może, nowy lżejszy kurs, jeśli był naprawdę, stworzył wygodniejsze dla Müllera warunki działania. Nie było jednak żadnych zwolnień po spotkaniu gubernatora z przedstawicielami RGO, natomiast połowa zatrzymanych wyszła na wolność w pięć dni po konferencji Pętkowskiego z Müllerem.

Adam Nagórski spotkał się z Pętkowskim w Lublinie w dniach 1 i 2 października. Pętkowski miał konferencję z Müllerem, obaj byli u Dąbrowskiego z RGO. Wydaje się, że chodziło tu o sprawy nie związane z nałęczowską pacyfikacją. Wuj Adam pojechał potem do Lublina z Pętkowskim i Maurycym Potockim, samochodem Potockiego, 22 października. Spędzili w Lublinie kilka dni. Z dziennika wynika, że pobyt ten poświęcony był głównie towarzyskim spotkaniom, a Potocki i Pętkowski odwiedzali pozostałe jeszcze okoliczne majątki. Nałęczowscy więźniowie Majdanka byli już wtedy na wolności.

Epilog

Pod koniec roku 1943, lub na początku 1944, Müller odwołany został ze swego stanowiska w Lublinie i przeniesiony do Włoch. Pętkowski opowiadał wujowi Adamowi o pożegnalnej u niego wizycie. Powiedział Müllerowi, że w przyszłości otrzymać powinien polski order. Müller odpowiedział: „Wątpię, bym tego dożył. Z Polakami mogłem pracować. Włosi mnie pewnie po prostu zasztyletują”.

Nie są mi znane dalsze losy lubelskiego Müllera, nie wiem nawet jak miał na imię.

Maurycy Potocki był członkiem AK i brał udział w powstaniu. Po wojnie zmarł na emigracji w Londynie. Pętkowski pozostał w kraju i więziony był przez UB, oskarżony o kolaborację. Utrzymywał przecież kontakty z Niemcami... Oszczerce oskarżenia tego rodzaju miały niestety często miejsce w komunistycznej Polsce. Nie wiem ile czasu Pętkowski spędził w powojennym więzieniu; nie wiem nawet

czy więzienie przeżył. Przyszło mu zapłacić wysoką cenę za ratowanie życia tak wielu ludzi. Moje wspomnienie dotyczy jednej tylko sprawy. Pętkowski prowadził ich zapewne więcej. Nie powinien być zapomniany.

Marek RUDZKI

LISTY DO REDAKCJI

Fontenay, 4 czerwca 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

Do mojego artykułu „Pamiętki polskie w zbiorach Manuskryptów Narodowego Muzeum Historii Naturalnej w Paryżu” (*Zeszyty Historyczne* 116) zakradły się dwa błędy literowe. Na stronie 220 i 221 nazwisko Georga Cuvier zostało błędnie napisane jako Couvier. Na stronie 226 w zdaniu „Ptaki przesłane przez Dybowskiego wystawiono w odrębnej sali, m.in. 33 gatunki ptaków syberyjskich”, zamiast syberyjskich powinno być saharyjskich, chodzi przecież o kolekcję afrykańską Jana, a nie syberyjską Benedykta Dybowskiego.

Łączę wyrazy szacunku

Piotr DASZKIEWICZ

15 lipca 1996

Drogi Panie Redaktorze,

Do mego artykułu „Stan wyższej konieczności” (*Zeszyty Historyczne* 116) wkradło się kilka błędów. Chciałbym sprostować te, które zmieniają sens odpowiednich fragmentów tekstu:

Na str. 59 w drugim akapicie „wypadł” w druku fragment jednego ze zdań, czyniąc je niezrozumiałym. Odpowiedni ustęp winien brzmieć:

W konstrukcji tej kryje się immanentna i trudna do rozwiązania sprzeczność, jeśli przyjąć, że wymiar spra-

wiedliwości – w myśl trójpodziału władz winien być niezależny zarówno od egzekutywy jak i od legislatury. W dodatku komisja, badając okoliczności wprowadzenia stanu wojennego, musi ustalić fakty historyczne a zatem wykonać pracę należącą do zakresu badań naukowych.

Na str. 62 początek 3. od góry akapitu powinien brzmieć: „Nawet szef SED oświadczył w Moskwie...” (a nie „w Polsce”, jak wydrukowano).

Na początku strony 64. mowa jest o ważnym liście KPZS do kierownictwa PZPR z 5 czerwca 1981 r. List ten, co istotne, opublikowano dopiero po XI plenum, a nie, jak błędnie wydrukowano w 2. wierszu na tej stronie, „na plenum”.

Niemiecki skrót Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego NRD brzmi „MfS” (pierwsze litery pełnej nazwy ‘Ministerium für Staatssicherheit’) i nie ma nic wspólnego z symbolem brytyjskiego funta, który dwukrotnie występuje w tym skrócie na str. 72. W 2. akapicie na tej samej stronie błędnie wydrukowano „w województwach zagranicznych” zamiast „w województwach nadgranicznych”.

W ostatnim akapicie na str. 82 chochlik drukarski zmienił „zrozumienie tamtego okresu” na „zrozumienie tamtego obozu”.

Tomasz MIANOWICZ

24 czerwca, 1996

Szanowny Panie Redaktorze,

Odnośnie artykułu Marii Turlejskiej: „Przyczynek do losów prawników polskich w latach 1935-1953” sugeruję uzupełnienie tej historii.

Stanowisko prawników polskich w latach międzywojennych do Żydów było w pewnej części negatywne. Studenci wyznania mojżeszowego traktowani byli źle i mieli ograniczony dostęp na uniwersytety zgodnie z wprowadzonym w życie procentem odpowiadającym ilości mniejszości żydowskiej w Polsce. Były również getta ławkowe, zamieszki różnego rodzaju, ale śmiem twierdzić, nie zagrażało to życiu studentów żydowskich, choć było upokarzające.

W czasie wojny sytuacja zmieniła się drastycznie. Nawet adwokaci o przekonaniach narodowych, nawet przedwojenni antysemita, stanęli w obronie swoich kolegów adwokatów Żydów. Możliwe, że z początku nie zdawali sobie w pełni sprawy z tego czym to grozi. Wielu adwokatów z palestry warszawskiej przypłaciło własnym życiem chęć upomnienia się o los pokrzywdzonych i stanowisko godne i zgodne z prawem.

W roku 1954, w numerze *Kultury* 1/75-2/76 ukazał się artykuł pióra Wacława Szyszkowskiego pt. „Palestra Warszawska”.

Kazimierz Iranek-Osmecki czerpał z tego artykułu dane do rozdziału o postawie adwokatów w książce wydanej w 1971 r. pt. „He Who Saves One Life”.

„...sprawa żydowska zaciążyła na ustosunkowaniu się okupanta do adwokatury i na pierwszych zarządzeniach okupacyjnych, aczkolwiek pierwsze ofiary aresztów padły nie spośród adwokatów-Żydów, ale mówiąc językiem nazistów, u ‘aryjczyków’”. (W. Szyszkowski str. 152).

Już w styczniu 1940 r. komisarz (wyznaczony przez Niemców) warszawskiej rady adwokackiej, dr E. von Wendorff (*Volksdeutsch*, wykazujący w swoich papierach przed wojną, narodowość niemiecką), spytał członków rady o ich opinię na temat sprawy żydowskiej. (Sprawa ta była już w październiku lub listopadzie 1939 roku przesądzona, adwokaci Żydzi zostali wykreśleni przez odpowiednich niemieckich starostów, z listy adwokackiej). W lutym 1940 roku rada adwokacka wyraziła swoją opinię, w oparciu o konwencję podpisaną w Hadze w roku 1907 (przyjętą przez Polskę i Niemcy). Teza ta mówiła, „że skoro władze niemieckie są organem okupanta, nie są one władne w rozumieniu konwencji haskiej z 1907 r. zmieniać zasadniczych ustaw Państwa Polskiego, ani też wprowadzać postanowień prawnych (jak w danym wypadku zarządzeń antyżydowskich), które by były sprzeczne z obowiązującymi w Polsce ustawami. Teza ta została przyjęta przez wszystkich (z wyjątkiem jednego) członków rady”. (W. Szyszkowski str. 153-154).

W rezultacie tej uchwały, uznanej przez Niemców za demonstrację polityczną, skreślono z listy adwokatów wszystkich jej członków prócz jednego.

Na tym sprawa się nie skończyła. W maju – czerwcu tegoż roku zarządzili Niemcy weryfikację wszystkich adwokatów warszawskich, którzy mieli się stawić wg wyznaczonych terminów w Pałacu Brühla (siedziba gubernatorstwa). Każdy adwokat zapytywany był o jego stanowisko wobec Żydów. W wyniku tej ankiety Niemcy podzielili adwokatów na 3 grupy. W pierwszej grupie liczącej 80-100 osób zapytywani wdali się w dyskusję z dr. Gollerem (kwalifikującym adwokatów), powoływali się na konwencję haską, ustawodawstwo przedwojenne itd. i opowiedzieli się za prawami adwokatów Żydów. W drugiej grupie liczącej około 9 osób, pytani wstrzymali się od wypowiedzi. Trzecia grupa, stanowiąca większość, dawała wymijające odpowiedzi (około 350-370 osób).

O rezultacie ankiety zostało powiadomione Gestapo w al. Szucha. W dniach 10, 11 i 12 lipca 1940 r. aresztowano adwokatów z pierwszej grupy. Adwokaci ci wywiezieni zostali do Oświęcimia – część w dniu 14 sierpnia a reszta 17 września 1940 r.

Przeglądając uważnie książkę Władysława Bartoszewskiego, „1859 dni Warszawy”, zauważyłam, że aresztowania wśród adwokatów zaczęły się już w styczniu 1940 roku. Aresztowani wywożeni byli z początku do obozu w Sachsenhausen. Np. adwokat

Stefan Urbanowicz, b. dziekan Rady Adwokackiej aresztowany 11 lutego 1940, wywieziony do Sachsenhausen, zmarł 4 lipca tegoż roku.

Bardzo wielu adwokatów, którzy uniknęli aresztowania w pierwszych miesiącach okupacji, włączyło się w pracę konspiracyjną w AK lub w Delegaturze Rządu czy w innych organizacjach.

Straty wojenne palestry wyniosły ponad 30% stanu z września 1939 r. Liczba ofiar wynosi dokładnie 742 adwokatów. Ginęli oni w obozach koncentracyjnych, w miejscach straceń jak Palmiry i innych. Wśród ofiar terroru niemieckiego byli młodzi prawnicy i starsi wiekiem, profesorowie uniwersytetów, byli dziekani rad adwokackich i członkowie tych rad.

Koniec wojny nie przyniósł upragnionego pokoju. Rozpoczęły się nowe prześladowania i rządy bezprawia. Może dlatego spadło zainteresowanie prawem wśród uczącej się młodzieży i dlatego w roku akademickim 1979/1980 tylko trochę ponad 7% ogółu studentów poświęciło się studiom prawniczym.

Łączę wyrazy szacunku,

Krystyna J. ORŁOWSKA

SPIS TREŚCI

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: <i>Rozmowa z inż. Zdzisławem Julianem Starosteckim</i>	3
Tadeusz Dubicki: <i>Próba ucieczki płk. Becka z Rumunii (20.10.1940) w świetle archiwaliów rumuńskich</i> .	19
Andrzej Grzywacz: <i>Polski plan operacyjny „Wschód” a planowanie sowieckie w 1939 r.</i>	46
Eleasar J. Feuerman: <i>Moi lwowscy profesorowie</i>	55

DOKUMENTY

Aleksandr Lebied': <i>Zmierzch imperium albo odrodzenie Rosji</i>	73
Wojciech Rojek: <i>Dwa „jałtańskie” raporty ambasadora Kajetana Morawskiego</i>	79

WSPOMNIENIA

Roman Bortnowski: <i>Daniłowski Dietprijomnik</i>	90
---	----

CI, CO ODESZLI

Czesław Bielecki: <i>Teresa Lechnicka-Affeltowicz</i>	139
Maria Danilewicz Zielińska: <i>Przeoczony</i>	141

RECENZJE

Bogumiła Berdychowska: <i>To jest przełom... (Rozmowa z Eugeniuszem Mironowiczem)</i>	145
---	-----

Tadeusz Wyrwa: <i>Na rozdrożu interpretacji najnowszych dziejów Polski</i>	151
Nina Taylor: „Kresy” Jacka Kolbuszewskiego	166
Władysław Zajewski: <i>Zagadki Sejmu Czteroletniego</i>	170
<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	176

POLEMIKI

Józef Zorski: <i>Nieścistości p. Gerlacha</i>	178
<i>Odpowiedź R.T. Gerlacha</i>	182

OKRUCHY HISTORII

Andrzej Friszke: <i>Sprawa Hanny Rewskiej</i>	185
Grzegorz Mazur: <i>Uzbrojenie Armii Krajowej. Stan faktyczny</i>	195
Krzysztof Tarka: <i>Polska Hierarchia a Litwini</i>	214
Marek Rudzki: <i>Winiетки okupacyjne (II). Pacyfikacja Nałęczowa</i>	222

LISTY DO REDAKCJI

Piotr Daszkiewicz: <i>Sprostowanie pomyłek w jego artykule zamieszczonym w Zeszytach Historycznych nr 116</i>	235
Tomasz Mianowicz: <i>Sprostowanie błędów w tekście pt. „Stan wyższej konieczności” (Zeszyty Historyczne Nr 116)</i>	235
Krystyna J. Orłowska: <i>Polemika z artykułem Marii Turlejskiej pt. „Przyczynek do losów prawników polskich w latach 1935-1953” (Zeszyty Historyczne Nr 115)</i>	236

F 90